

LYNN ERICKSON

LABIRYNT

Tytuł oryginalny

Tangled dreams

Scandalous

1

Leżąca na laboratoryjnym szkiełku bakteria wydawała się pasywna i całkowicie niewinna.

Doktor Warren Yeager wysunął ręce z gumowych rękawic, w które wyposażony był ekran oddzielający go od mikroskopu służącego do oglądania jeszcze nie zidentyfikowanych bakterii, i zsunął z twarzy sterylną maskę.

Stojący obok dwaj lekarze w nieskazitelnie białych kitlach i równie białych czapeczkach i kaloszach, wpatrywali się w niego z napięciem. Nie zdejmowali jeszcze masek ani rękawic. W dusznym powietrzu mieszczącego się w budynku numer siedem laboratorium wyczuwało się niepokój. Doktor Yeager odwrócił się do Rose, swojej asystentki.

- Bakteria, którą tu mamy, jest niegroźna. Nie wykazuje cech złośliwych.

Przetarł oczy i jeszcze raz pochylił głowę nad mikroskopem nastawionym na badane szkiełko i odizolowanym ściankami dla ochrony przed bakteriami. Niegroźna teraz, pomyślał, ale kiedy się znajdzie w sprzyjających warunkach, będzie w stanie uśmiercić ogromną liczbę ludzi zamieszkujących Ziemię. Zdawał sobie sprawę, że nie powinien ulegać zbytnej ekscytacji, niemniej czuł ogarniające go podniecenie. Oto kolejna zagadka, którą będzie musiał rozwikłać.

Rose Freed, asystująca Yeagerowi w badaniach laboratoryjnych, odwróciła się do kolegów.

- W porządku - powiedziała zdejmując maskę.

Jeżeli doktor Warren Yeager orzekł, że ta śmiertelna bakteria jest w tym stadium niegroźna, nikt nie może tego podawać w wątpliwość. Szczególnie Rose.

Naukowcy zaczęli się uwalniać od ochronnego ekwipunku. Wiedzieli jednak dobrze, że siedemdziesiąt dwie godziny temu ten mikroskopijny organizm nie był tak pasywny po drugiej stronie Atlantyku, w odległej o prawie pięć tysięcy kilometrów Szkocji. Przez drobne skaleczenie w skórze dostał się do organizmu Jamie'ego Keitha i zabił go. „Silne nietypowe krwawienie” napisano w wysłanej z Londynu prośbie o nie cierpiącą zwłoki pomoc.

Warren podniósł się z laboratoryjnego stołka i w zamyśleniu zaczął przemierzać gabinet. Na jego twarzy malował się wyraz napięcia. Powoli zdołał opanować podniecenie, pamiętał bowiem o czekającej go jeszcze pracy.

Centrum Badań Kontrolnych nad Chorobami Zakaźnymi w Atlancie, w stanie Georgia, przez siedem dni w tygodniu otrzymywało ponad pięćset zgłoszeń z całego świata. Warren, który był dyrektorem Wydziału Specjalistycznego Badań nad Patogenami, niewielkiej, ale elitarniej komórki wchodzącej w skład olbrzymiego kompleksu Centrum, otrzymywał mnóstwo próśb o pomoc z różnych placówek zdrowia rozsianych po świecie.

Jednak tym razem przysłany zarazek nie mieścił się w żadnej znanej kategorii, stając się dla Warrena prawdziwym wyzwaniem. W jaki sposób zainfekował Jamie'ego Keitha? Skąd się tam wziął? Czy pochodził z otwartego niedawno starożytnego grobowca? Czy może z przestrzeni międzyplanetarnej, przywleczony wraz z pyłem z innych światów? Może przez całe tysiąclecia był ukryty w wyższych warstwach atmosfery ziemskiej? A może był mutacją znanego mikroorganizmu, nową jego postacią, leżącą teraz przed nim na szkiełku pod mikroskopem?

Intrygujące było także, dlaczego przestał być niebezpieczny po zaatakowaniu i uśmierceniu jednej ofiary?

- Tlen - powiedział Warren, ponownie siadając przy mikro- skopie i regulując ostrość widzenia. - Przypuszczam, że zabija go powietrze, ale na tym etapie badań nie mamy na to dowodu.

Rose Freed stanęła za jego szerokimi plecami.

- Jeżeli ginie w zetknięciu z powietrzem - odezwała się - to jak doszło do infekcji?

Warren wzruszył ramionami.

- Może dostał się do krwiobiegu bezpośrednio z jakiegoś roztworu pozbawionego tlenu.

- Wydaje mi się to pozbawione sensu - zabrał głos jeden z naukowców.

- A czy z początku nawet rozpoznanie nietypowej postaci dyzenterii wśród amerykańskich ochotników wojskowych nie wydawało się nam pozbawione sensu? - niecierpliwie zachnął się Warren. - Albo przypadek tajemniczej bakterii, która ubiegłego lata spowodowała śmierć co najmniej dwustu osób w Pakistanie?

- To była robota Rosjan - pewnym tonem stwierdziła Rose, dając wyraz swemu przekonaniu, że był to nieudany eksperyment z bronią bakteriologiczną.

- Nie można wykluczyć, że także nasi wojskowi mogli być autorami tego eksperymentu - odparł Warren. - Kto wie, z jaką tajemnicą mamy tym razem do czynienia?

- Czy możliwe, żeby Szkoci przeprowadzali z nim jakieś próby? - zapytała Rose.

Warren potrząsnął głową.

- Nie wierzę w to. Wiem dobrze, nad czym pracują. Nie sędzę, żeby potrafili wyprodukować coś takiego.

Nie było to powiedziane tonem protekcyjnym, Warren wiedział jednak dobrze, że on sam, dysponując odpowiednim czasem i warunkami, potrafiliby wyprodukować coś równie śmiertelnie, a co więcej, odpornego na zetknięcie z czymkolwiek łącznie z tlenem.

To jednak nie było jego zamiarem.

Jako dyrektor Wydziału Specjalistycznego Badań nad Patogenami, słusznie nazywanego medycznym Scotland Yardem, Warren uznawany był powszechnie za nieubłaganego i wytrwałego tropiciela. Miał dar, który oddana mu asystentka Rose nazywała „wreż niepojętym talentem docierania do ostatecznych tajemnic schorzenia”.

- Zamówię dla nas bilety do Londynu - powiedziała Rose.

- Polecę sam. - Warren podniósł wzrok. - Potrzebna mi jesteś tutaj, w Atlancie. Może będę mógł przesłać więcej preparatów z tą tajemniczą bakterią lub jakieś nowe dane do komputera i nie chcę, żeby zajmował się tym ktoś inny.

Rose nie okazała rozczarowania.

- Wobec tego przygotuję twoje rzeczy do wyjazdu. - W drodze do drzwi przystanęła na chwilę. - Powinieneś się trochę przespać.

- Prześpię się w samolocie - odparł Warren już nieobecny myślami, krającymi na powrót wokół pochłaniającej go tajemnicy mikroba przysłanego ze Szkocji.

W wieku trzydziestu dziewięciu lat Warren miał nazwisko, które otwierało przed nim wiele drzwi zamkniętych dla innych, chociaż świadomość tego faktu nie docierała do jego lotnego analitycznego umysłu. Dyplom Harvard Medical School otrzymał mając zaledwie dwadzieścia lat, następnie zajął się badaniami naukowymi w dziedzinie mikrobiologii, zdobywając po trzech latach stopień doktora. Wkrótce, dzięki niekonwencjonalnym, odważnym pracom naukowym nad chorobami zakaźnymi, jego nazwisko zaczęło się ukazywać w fachowej prasie medycznej. Miał dwadzieścia dziewięć lat, kiedy od rządu Stanów Zjednoczonych, otrzymał propozycję nie do odrzucenia: stanowisko jednego z dyrektorów Centrum w Atlancie, co oznaczało nie tylko całkowitą swobodę w pracy naukowej, ale także nieograniczone możliwości jej finansowania. Warren wiedział, że pracując w Centrum może prowadzić badania na całym świecie, nie będąc skrepowany ogra-

niczeniami w dostępie do funduszy. Trzeba powiedzieć, że w pełni korzystał ze swoich uprawnień.

Rose, której kobieca wrażliwość często cierpiała z powodu bezkompromisowej postawy Warrena, odciągnęła go kiedyś na bok w czasie ich służbowej wizyty w Teksasie.

- Zdaje mi się, że jesteśmy przyjaciółmi, prawda? - zaczęła ostrożnie.

Warren skinął machinalnie głową, bez reszty pochłonięty problemem epidemii cholery wśród meksykańskich robotników i szukaniem w myśli najlepszego sposobu na jej zwalczanie.

- Przypomnę ci więc jedną z naczelnych wskazówek naszego Centrum: pracując w terenie powinniśmy się zachowywać powściągliwie. Pamiętasz tę dyrektywę?

- Tak, oczywiście - przytaknął, zastanawiając się jednocześnie, czy nie dałoby się zamknąć szkół w zagrożonym okręgu na cały wrzesień. Takie posunięcie mogło spotkać się z ostrym protestem tutejszego środowiska.

- Musisz sobie zatem uzmysłwić, że tutejsi lekarze mają już ciebie po uszy. Działasz jak buldożer.

- Buldożer?

- Właśnie. - O głowę niższa od Warrena, Rose potrząsnęła ciemną czupryną i zniecierpliwionym gestem oparła ręce na biodrach, krągłych i kobiecych. - Albo zaczniesz zachowywać się inaczej, albo grzecznie ale stanowczo poproszą nas, żebyśmy wracali do domu.

- Nigdy by się....

- Och, odważyliby się. Musisz się odprężyć, Warren. Traktuj tutejszych lekarzy jak ludzi.

- Czy naprawdę jestem taki okropny?

- To delikatnie powiedziane.

Owego upalnego teksańskiego dnia Rose energicznie roztoczyła nad nim opiekę. Wzięła go na kolację z dobrym winem i na koniec, bez większego protestu z jego strony, zaciągnęła do łóżka.

Było to ich pierwsze i ostatnie zbliżenie.

- Nie powinniśmy byli - wyjąkał potem, z trudem dobierając słowa.
- To nam przeszkadza w pracy.

Wynik zabiegów Rose był taki, że Warren starał się hamować swoje ostre reakcje w stosunkach z teksańskimi lekarzami i dopiął celu. Poważnym i oficjalnym tonem podziękował Rose za jej rady i od tej chwili trzymał się od niej z daleka. Z Departamentu Zdrowia Publicznego w Teksasie nadeszły podziękowania i gratulacje, po czym wrócili do Atlanty, gdzie Rose wkrótce poznała Mortona Freeda, który nie tylko był przystojny, ale w przeciwieństwie do Warrena odznaczał się wrodzoną delikatnością. Ślub odbył się już po trzech miesiącach. W chwili ołśnienia Warren domyślił się, że Rose, mając trzydzieści dwa lata, zaczynała się czuć niepewnie bez męskiego ramienia i nie chciała przegapić szansy.

Był zimny, styczniowy wieczór. Kiedy Warren opuścił blok numer siedem, myślał przede wszystkim o Rose. Nie mógł sobie wyobrazić, co zrobiłby bez niej. Układała plan jego zajęć, pilnowała, żeby jadał posiłki, zanosila do prania jego bieliznę. Był od niej w dużym stopniu zależny. Ale cóż, czy nie najważniejsze było to, że miał umysł wolny od codziennych trosk i mógł spokojnie oddać się pracy?

Swoim japońskim autem wracał do siebie drogą, która prowadziła przez zalesione przedmieście Decatur. Na miejscu wjechał prosto do garażu w kompleksie bloków mieszkalnych, w których oprócz niego mieszkało ponad dwieście innych osób zatrudnionych w Centrum. Całość składała się z trzech praktycznie zaplanowanych budynków. Wygodne położenie i półroczny kontrakt były szczególnie zachęcającym argumentem przy wynajmie. Mieszkania były jedno- i dwuosobowe z

dostępem do pralni – co prawda dzięki Rose Warrena to nie interesowało – domy wtopione w uroczy krajobraz, wolne od insektów, może z wyjątkiem karaluchów, które pojawiały się sporadycznie.

Rose już była w jego mieszkaniu. Zdążyła ułożyć w szafie bieliznę i powiesić koszule odebrane z pralni, a teraz zaczęła właśnie układać w walizce jego rzeczy na drogę.

- Zjadłeś dzisiaj śniadanie i obiad? – spytała, groźnie popatrując na niego znad walizki.

- Obiady przed telewizorem nie są atrakcyjne, Rose. – Warren zamknął drzwi wejściowe i pośpiesznie poszedł do sypialni, skąd wyłonił się za chwilę obładowany pismami medycznymi.

- Chciałam ci też przypomnieć, że mógłbyś się zastanowić nad spisem problemów, które należałoby omówić w klubie lekarskim. Rozmawialiśmy na ten temat, pamiętasz? – zapytała.

-No... tak.

Odsuwając na boki stos papierów na biurku, znalazł w końcu notatki sprzed kilku lat dotyczące przebiegu hemofilii u osób dotkniętych tą chorobą. Może natknie się tam na coś, co mogłoby im pomóc. Umysł miał bez przerwy zaprzątnięty nie dającym mu spokoju obrazem ciała młodego Jamie'ego Keitha zaatakowanego przez mikroorganizm, który spowodował obrzmienie i następnie rozpad komórek krwi. Poczul przyływ dobrze mu znanej profesjonalnej dociekliwości. Musi szybko znaleźć się w Londynie i rozszyfrować tajemnicę tej nowej bakterii.

Kiedy Rose zamknęła już zapakowaną walizkę, uważnie rozejrzała się po pokoju. Było w nim czysto, a mimo to odnosiło się wrażenie bałaganu. Rose znalazła studentkę, która zgodziła się przychodzić raz w tygodniu i sprzątać. Warren był jednak nieugięty w sprawie biurka, którego nie pozwalał tknąć.

- Nie wolno jej dotykać ani jednej kartki. Dokładnie wiem, gdzie co leży.

- Potrzebny ci komputer - radziła Rose. - Dlaczego nie miałbyś wprowadzić na dyskietki wszystkich notatek? Mógłbyś tu w końcu przyzwoicie mieszkać.

- Teraz muszę się dostać na najbliższy samolot do Londynu. Rose już nie miała siły walczyć z wyglądem Warrena. Rozchełstana żółta koszula pod swetrem, podniszczona marynarka, którą nosił siedemnaście lat temu w Harvardzie, wymiętoszone sztruksowe spodnie i te okropne welurowe buty.

Warren zdawał sobie sprawę, że Rose nie aprobuje zarówno jego braku zainteresowania wyglądem zewnętrznym, jak i trybu życia. Nie było w tym nic dziwnego, większość ludzi była podobnego zdania. Jeszcze w szkole średniej w New Jersey koledzy dokuczali mu z tego powodu. Niektórzy przezywali go „chodzącym mózgiem”, a bardziej gruboskórni „mrukiem”. Warren przechowywał te epitety gdzieś w zakamarkach pamięci, odgrzebując je niezwykle rzadko. Żył w świecie, który sobie sam stworzył - rządziły w nim szare komórki. Był to świat, w którym czuł się najlepiej - u siebie. Nawet gdy kiedyś, jeszcze w czasach szkolnych, trener drużyny futbolowej zobaczywszy go na korytarzu zachwycił się jego wzrostem i sylwetką, nie dał się wciągnąć w sport.

- Powinieneś grać w piłkę, młody człowieku. Ważysz pewnie ponad siedemdziesiąt kilogramów i jesteś co najmniej o dziesięć centymetrów wyższy od kolegów. Do zobaczenia na boisku, po południu - rzucił trener energicznie i odszedł.

- Tak jest - posłusznie odpowiedział Warren, ale nadal pochłonięty był wyłącznie udanym rezultatem doświadczenia, jakie rano przeprowadził w pracowni biologicznej i o trenerze zapomniał w chwili, kiedy go stracił z oczu. Zupełnie też nie zauważył, że wyrósł na przystojnego, dobrze zbudowanego mężczyznę o wyrazistej twarzy, wijących się, gęstych, ciemnych włosach oraz piwnych oczach, których spojrzenie było ciepłe i otwarte. Podobał się dziewczętom, ale

jednocześnie je onieśmiał. Jego rodzice i starszy brat nie byli tym zdziwieni. Mówili mu, że jest chłopcem Wyjątkowym i że jego wyjątkowość działa jak miecz obosieczny: może satysfakcjonować, ale może też boleśnie ranić. Niezbyt rozumiał, o co im chodzi, przynajmniej wtedy.

W Harvardzie również pozostał odludkiem. Jego intelekt osiągnął niezwykle wysoki poziom, przytłumiając zdolność reagowania na bodźce zewnętrzne. Miał opinię człowieka nieczulego, szorstkiego i aroganckiego. Opinia ta ciągnęła się za nim przez całe lata, aż do chwili obecnej.

Rose zajęła się z kolei opakowaną w folię tacką z pasztetem w cieście, którą wsunęła do piecyka.

- Stanowczo musisz coś zjeść. Nie miałeś kęsa w ustach od... wczoraj, kiedy przysłano tego mikroba.

- Spóźnię się na samolot. - Spojrzał na zegarek. Za dwadzieścia pięć ósma. Burczało mu w żołądku, uznał więc, że jednak ma jeszcze chwilę czasu, a poza tym czy kobieta, która potrafi dopilnować, żeby się ogolił, pozwoli, żeby się spóźnił na samolot?

Zjadł co nieco i już mieli wyruszyć na lotnisko, kiedy zadzwonił telefon. Warren zauważył szybkie spojrzenie Rose na natarczywie alarmujący przedmiot i jej natychmiastową reakcję, jak gdyby zeszytywnienie całego ciała. W Warrenie walczyły dwa sprzeczne odczucia. Z jednej strony od razu wiedział, kto znajduje się po drugiej stronie kabla, z drugiej zaś udawał, że wszystko jest w porządku.

Starał się nie słuchać, co mówi Rose.

- Ach, to ty, Morty... Tak... - Długa cisza. - Mówiłam ci przecież. Tak, chodzi o tego mikroba. Tak, Warren leci do Londynu. Nie... - Teraz Rose ściszyła głos. - To niesprawiedliwe, Morty. Wykonuję tylko swoje obowiązki. - Dłuższa cisza. - Przepraszam. Tak, zrobię to w drodze do domu. Parówki i pepperoni? Dobrze. Jak też cię kocham, pa. - Spokojnie skończyła rozmowę, po czym ruszyła do przedpokoju.

Warren podniósł ciężką walizkę i wyszedł za nią, cicho zamykając drzwi. W czasie jazdy na lotnisko ani razu nie próbował spojrzeć Rose w oczy.

Następnego dnia rano w Londynie, na lotnisku Heathrow, przywitał go Gregory Smythe, wicedyrektor departamentu w Ministerstwie Zdrowia Publicznego. Z szerokim uśmiechem poklepał Warrena po plecach. Zнали się jeszcze z Harvardu.

- Bój się Boga, chłopie - powiedział Greg. - Czy to jest ta sama elegancka marynarka, którą ci matka przysłała na Boże Narodzenie? Już nie pamiętam, na którym to było roku.

Warren spojrział na Grega z ukosa, ale natychmiast opanował niechęć.

- Mam także te same buty. - Minęło wiele lat, ale okazało się, że ich bliskość z lat studenckich przetrwała. No, pomyślał Warren, Rose przypięłaby mi złoty medal w nagrodę za zabiegi, żeby utrzymać koleżeńskie stosunki z Gregiem. Uświadomił sobie, że musi pamiętać, że jest w Londynie gościem. Tylko uprzejmość i tym podobne brednie.

Ciało Jamie'ego Keitha było w Londynie, trzymane w specjalnej izolatce, poinformował go Gregory w czasie jazdy do zakładu.

- Lekarzowi dokonującemu sekcji w Glasgow, a jest to doskonały specjalista, bardzo nie podobało się to, co zobaczył u Keitha. Pominawszy władze lokalne zadzwonił do nas. Całą sprawę udało się załatwić bardzo spokojnie. Powiem ci coś - tu Greg ściszył głos do szeptu - kiedy zobaczyłem Keitha, przyszło mi na myśl, że to znowu żółty deszcz.

Żółty deszcz. Warren przebiegł w pamięci zarejestrowane na ten temat dane. Dokładnie pamiętał, że żółty deszcz jest trucizną pochodzenia biologicznego, powodującą krwawienie z wszystkich otworów ciała - oczu, uszu, nosa, ust.

- Wyeliminowaliśmy tę możliwość - powiedział Warren. - To jest zupełnie coś innego.

- Naturalnie, przeprowadziliście całą serię badań? Warren skinął głową potakująco.

- Przeprowadziliśmy próby na odbiegające od normy stężenie ponad trzydziestu różnych metali, przy użyciu zwykle stosowanych metod: spektrofotometrii neutronowej...

Krocząc zamaszycie obok Grega do jego zakładu, Warren wyliczał wszelkie techniki stosowane w laboratorium w Centrum dla zidentyfikowania obcych substancji.

- Nie znaleźliście niczego, co mogłoby pomóc w rozpoznaniu istoty tego zatrucia?

- Do tej pory nie.

- Rozumiem.

Mimo że Warren przebadał ze swoim zespołem przyslaną próbkę na wszelkie możliwe sposoby, koniecznie chciał zobaczyć ciało Keitha. Było w nim coś z upartego detektywa, charakteryzowały go precyzja w działaniu i wysokie wymagania w stosunku do samego siebie.

Greg doskonale znał Warrena od tej strony i chętnie oddał mu we władanie swoje laboratorium, sam dyskretnie trzymając się na uboczu.

O jedenastej przed południem Warren zdjął ochronne ubranie i zjadł podaną mu przez Grega kanapkę. Między jednym a drugim kęsem oświadczył:

- Muszę jechać do Duncllyde. Czy możesz mi wynająć samochód? Oczywiście na koszt Centrum.

- Uprzedziłem twoje życzenie, chłopie. Zamówiłem ci miejsce w samolocie odlatującym jutro rano do Glasgow. Na lotnisku będzie czekał samochód do twojej dyspozycji. W hotelu Duncllyde zarezerwowałem ci pokój na czas nieokreślony. Możesz w nim mieszkać tak długo, jak uznasz to za konieczne. I jeszcze jedno - wszystkie koszty pokrywa rząd Jej Królewskiej Mości. Jesteśmy zadowoleni, że chcesz nam pomóc.

Warren przez całą noc czytał raporty lekarskie i w czasie lotu co chwila zapadał w drzemkę. Kiedy ocknął się kolejny raz, już nad Glasgow, zdał sobie sprawę, że jego głowa nie zniesie dalszego braku snu i dla jasności myślenia potrzebna mu jest stanowczo długa, regenerująca noc.

Zgodnie z obietnicą samochód czekał na lotnisku; co więcej, na przednim siedzeniu leżała mapa Glasgow i okolic. Dziękuję, Greg, pomyślał.

Koniuszkiem palca powiódł wzdłuż drogi prowadzącej na wschód i nieco na południe od Glasgow, równoległe do rzeki Clyde. Zatrzymał palec w miejscu, gdzie zaczynała się boczna droga prowadząca do Dunclyde i uderzył paznokciem w zaznaczony na mapie punkcik. Obliczył, że miasteczko leży w odległości mniej więcej dwudziestu dwóch kilometrów. Włączył stacyjkę i ruszył z lotniska w drogę, o włos unikając zderzenia z ciężarówką, gdyż zapomniał, że w Anglii obowiązuje ruch lewostronny. Drogi były tu dosyć dobre, natomiast niezbyt dobrze działało ogrzewanie i żeby móc coś widzieć przez ciągle zamarzającą przednią szybę, musiał mieć przez cały czas włączone wycieraczki.

Był w Szkocji tylko raz, i to latem. Padało wówczas niemal bez przerwy i świat dokoła wydawał się oszałamiająco zielony. Natomiast tym razem krajobraz był szary i nieprzyjazny. Ciągłe mijał niezliczone fabryki z przysiębiająco dymiącymi kominami, które kilometrami ciągnęły się wzdłuż rzeki Clyde. Ciemno-szare styczniove niebo, nagie drzewa i spieniona rzeka wijąca się z południowego wschodu, wszystko to jak gdyby się sprzysięgło, żeby Warren poczuł się zdezorientowany i bardzo samotny bez Rose. W Atlancie zimą przynajmniej sosny są zielone, a słońce świeci często pełnym blaskiem. Natomiast tutaj, choć była już dziesiąta rano, słońce koloru bladej cytryny zaledwie wynurzało się znad wzgórz, które wyglądały jak śpiące psy. Na plecach poczuł zimny dreszcz.

Dunclyde, przeczytał na drogowskazie, trzy kilometry. Wiedział od Grega, że Jamie Keith zmarł w małym pensjonacie w centrum miasteczka. W kieszeni miał karteczkę z adresem tego domu. Na posterunku policji uzyskał zgodę na wejście do pokoju Keitha. „Tylko nie nadeptuj tam zbyt wielu nagniotków – upomniał go Greg. – Wiem, że wy, Jankesi, lubicie wkraczać z odciągniętymi kurkami strzelb i tak dalej, ale Szkoci są nieco pobudliwi, łatwo się obrażają, szczególnie kiedy przysyła im się kogoś z Londynu”.

Zgoda, pomyślał Warren. Rose pewnie powiedziała mu to samo. Będzie uprzejmy i taktowny, a przynajmniej będzie się starał.

Tuż na wschód od Dunclyde, u podnóża łagodnie wznoszących się wzgórz Pentland, jego uwagę zwrócił niepozorny, dość niezgrabny parterowy budynek. Stojący tylną ścianą do drogi, ledwo zauważalny, budził osobliwy niepokój.

Warrena ogarnęło dziwne uczucie, czuł przyspieszone bicie serca. Dojeżdżając do drogi prowadzącej do budynku zwolnił nieco. Zobaczył niedużą, zgrabną tabliczkę z napisem: „Laboratorium Analiz Lekarskich w Dunclyde”. Nieokreślone dotąd wrażenie, jakie sprawił na nim ten budynek, nagle przeobraziło się w nieodparte przecucie, że to może być miejsce, w którym pojawił się tajemniczy zarazek.

W ślad za tą ekscytującą hipotezą wyłoniło się logiczne pytanie: dlaczego Greg nie powiedział mu o tym laboratorium? Nagły głośny sygnał samochodu przejeżdżającego obok nieomal go przestraszył. Spojrzał na zapotniałe wsteczne lustro, skinął machinalnie dłonią i ruszył już prosto do Dunclyde. Zanim prawidłowo zaparkował na ulicy przed pensjonatem, w którym umarł Jamie Keith, kilka razy otarł się lewą przednią oponą o krawężnik.

Właścicielka pensjonatu, pani Doris, była bardzo uprzejma.

Telefonowano do niej z policji i była przygotowana na przyjazd doktora Yeagera.

Salonik był przytulny i gościnny, pachniał olejkiem cytrynowym. Pani Doris pojawiła się podniecona, wycierając po drodze w kuchenny poplamiony fartuch delikatne ręce z widocznymi niebieskimi żyłkami.

- Moi goście są bardzo zdenerwowani, panie doktorze - powiedziała. - Może pan sobie wyobrazić. Nagła śmierć tego młodego człowieka, a teraz policjanci, którzy niczego nie wyjaśniają, raczej próbują całą sprawę zatuszować.

- Tak, rozumiem, pani Doris - odparł Warren.

Miał ochotę powiedzieć, że jej pensjonariusze mają słuszne powody do zdenerwowania, ale zatrzymał tę mrozącą krew w żyłach uwagę dla siebie.

- Już wiemy, że zarazki, które spowodowały śmierć Jamie'ego, nie są groźne. Ręczę za to.

Pokój, który zajmował Jamie Keith, był mały, ciemny i schludny. Znajdowała się w nim komódka, krzesło, podwójne łóżko, staromodna umywalka i lustro upstrzone plamkami rdzy. Obok krzesła ustawiono stojącą lampę z abażurem wykonanym frędzlami. Pod drzwiami leżał wytarty dywan w kształcie półkola. Warren zatrzymał się na progu i uważnie zlustrował całe wnętrze. Nie widział zegara, którego tykanie wskazywało na dostojny wiek. Zarówno pokój, jak i prowadzący do niego ciemny korytarzyk, przepojone były wonią stęchlizny.

W domu panował spokój. Pensjonariusze byli - co oczywiste - jeszcze w pracy. Warren zamknął za sobą drzwi i ruszył w kierunku łóżka.

Przypominał sobie, jak i gdzie znaleziono ciało Keitha. Gdzie pracował? W restauracji, czy może w pubie? Albo na kolei? Wyjaw mi swój sekret, Jamie.

W pokoju było czysto. Nie zdziwił się, przypomniawszy sobie słowa Grega:

- Pani Doris zrobiła, co wydawało jej się najlepsze, i zanim ekipa lekarska mogła ją powstrzymać, zdążyła być w łazience z wiadrem i szczotką.

- Wspaniale.

- No, widzisz. Ale rozumiesz, w pokoju był taki bałagan, że z początku pomyślała o jakimś wypadku, który może się przydarzył Keithowi. Miejscowi lekarze podtrzymywali tę wersję, ale teraz boję się, że wszystkie indagacje i twój przyjazd wzbudziły podejrzenia. Ona chyba zaczyna myśleć, że śmierć Keitha jest bardzo dziwna i tajemnicza. Próbujemy ukrywać szczegóły, ale ludzie będą gadać.

Warren wszedł do łazienki, która aż po sufit była wyłożona białą glazurą. W pęknięciach płytek i w kątach dostrzegł trochę brudu i pleśni, ale nie było śladu krwi. Niestety, o to pani Doris zadbała.

Próbował wyobrazić sobie przebieg wypadków. Jamie Keith umarł gdzieś między pierwszą a drugą trzydzieści w nocy. Zażył aspirynę, co może sugerować, że zanim zaczął krwawić, miał temperaturę i bolała go głowa. Czy przemierzał tamten wytarty dywan i otworzył okno, zastanawiając się być może, czy wezwać pomoc? Następnie, wkrótce po pojawieniu się temperatury, zarazek wywołał potężny krwotok wewnętrzny.

Keith został znaleziony w łazience, w zaciśniętej dłoni trzymał zasłonę od prysznicza ściągniętą w dół. I tyle krwi... Nic dziwnego, że pani Doris pomyślała o jakimś wypadku.

Warren nie pozwolił sobie na rozwijanie dramatycznego scenariusza, myślał tylko o zmarnowanym życiu chłopca i czuł przemożną chęć znalezienia miejsca pochodzenia zarazka. W pokoju Keitha nic nie wzbudziło jego podejrzeń, opuścił go więc nie dotykając niczego.

Panią Doris zastał w wypełnionej parą kuchni.

- Zastanawiam się, czy nie mogłaby mi pani powiedzieć czegoś na temat życia Keitha: gdzie pracował, czy miał jakieś towarzystwo, czy gdzieś ostatnio wyjeżdżał, czy może miał dziewczynę?

Pani Doris oderwała się od pieca kuchennego, nalala dwie filiżanki mocnej, aż czarnej herbaty i zaprosiła Warrena do stołu. Wiedziała, że Jamie miał zwyczaj zachodzić do piwiarni River's Edge na kilka kufelków jasnego piwa i że jego dziewczyna mniej więcej przed miesiącem przeniosła się do Glasgow. Nigdy nigdzie nie wyjeżdżał. Właściwie nie miał przyjaciół i że prawdę mówiąc był „z lekka tępawy”. Urodził się i wychował na farmie na północ od rzeki Clyde, ale jego rodzina wymarła. „Panie świeć nad ich duszami”.

- Był woźnym - mówiła kiwając głową. - Biedny chłopak, cóż innego mógł robić? Widzi pan, był zanadto ślamazarny.

- A gdzie pracował?

- No, za miastem. Na pewno mijał pan ten dom po drodze. Nigdy nie miałam ochoty mu się przyjrzeć. Taki dziwaczny.

Serce Warrena zaczęło bić szybciej.

- Nazywa się to „Laboratorium Analiz Lekarskich”. Całkiem nie pasuje do miasta. Co pan o tym myśli?

Po przyjeździe do hotelu natychmiast chwycił za słuchawkę.

- Niech cię licho porwie, Greg - rzekł, gdy kolega odebrał telefon. - Powinieneś był mi powiedzieć!

- Wiem - odparł Greg pełnym skruchy głosem. - Sto razy miałem, ten zamiar.

- Więc dlaczego tego nie zrobiłeś?

- Nie mam żadnego dowodu na to, że MacLaren miał coś wspólnego ze śmiercią Keitha. Cieszy się wielkim uznaniem i pracuje na subwencji rządu. To jasne, że nie mogę wtykać nosa w to, co robi. Ale ty możesz.

- MacLaren - przerwał mu Warren. - Czy to ten biolog, który pracuje nad wyodrębnieniem czynnika obniżającego krzepliwość krwi?

Czy mi się zdaje, że spotkałem się z jego nazwiskiem w kilku periodykach?

- Cieszy się dobrą opinią, Warren. To porządny chłop. Mimo zmęczenia, Warrena ogarnął gniew i niedowierzanie.

- Nie mogłeś powiedzieć mi chociaż tego, że Keith był woźnym w jego laboratorium?

- Nie mogłem sobie pozwolić nawet na to.

Warren zamilkł. Po chwili namysłu rzucił w słuchawkę:

- A więc wyłączasz się z całej sprawy i tylko ja wychodzę na tego złego Amerykanina, który zaczyna zadawać pytania.

- Warren, on mimo wszystko jest moim rodakiem i nie mogę pakować go w jakieś tarapaty.

- Jakies tarapaty - mruknął pod nosem Warren. Zrozumiał, że jest w tej sprawie zdany na samego siebie. Środowisko naukowców brytyjskich rozpinało parasol nad swoimi ludźmi i Greg Smythe solidarnie robił to samo. Dla rozwiązania tej tajemniczej zagadki wezwał kogoś z zewnątrz - z Centrum w Atlancie. Bardzo wygodne wyjście.

- W tej sytuacji nie sądzę, żebyś chciał zadzwonić do MacLarena i poinformować go, że chcę się z nim spotkać?

- Istotnie, wolałbym tego nie robić.

- Rozumiem, ale czy sądzisz, że mnie przyjmie?

- Naturalnie. Sam doktor Yeager? Będzie zachwycony.

- Wątpię, Greg. I ty także nie jesteś tego taki pewny.

- Przyjmie cię jak naukowca, Warren.

- Tylko czy pokaże mi swoje laboratorium, notatki i wyniki badań?

- Warren odłożył słuchawkę.

Droga do laboratorium była długa, obrzeżały ją krzaczaste zarośla, których nagie o tej porze roku gałązki jak gdyby w błagalnym geście zwracały się ku niebu. Zaczęło padać i w samochodzie dokuczliwe było już nie tylko zimno, ale także wilgoć. Warren czuł się zmęczony ciągłym

wysiłkiem, żeby pamiętać o utrzymaniu się lewej strony. Poza tym miał przeciążony umysł i, jak mu się zdawało, nie myślał już tak sprawnie jak powinien.

Niewielka recepcja była dobrze oświetlona i wygodnie urządzona. Na stoliku do kawy leżały periodyki i magazyny, ale Warren nie miał zamiaru ich wertować i czekać, aż recepcjonistka będzie wolna. Podszedł do niej natychmiast.

- Chciałbym się widzieć z doktorem MacLarenem - oświadczył. - Nazywam się Warren Yeager. Doktor Yeager - podkreślił. - Z Atlanty.

- Och, tak mi przykro, doktorze Yeager - zaczęła czystą angielszczyzną wyspiarzy - ale muszę pana zapisać na wizytę. Pojutrze, czy to panu odpowiada?

Pochyliła rudobrazową głowę wertując kartki kalendarza przeznaczonego do zapisywania wizyt.

- Proszę posłuchać. - Warren zdecydował się na ton autorytatywny. - Przebyłem długą drogę i nie mam czasu do stracenia.

Recepcjonistka natychmiast przybrała pozę obronną, w jej oczach pojawiły się gniewne błyski. Pamiętając o przestroгах Rose, Warren spuścił z tonu.

- Coś pani powiem - odezwał się. - Jeżeli pani zadzwoni do doktora MacLarena, jestem pewny, że da się to jakoś załatwić.

Spojrzała na niego sceptycznie.

- Doktor nie lubi, kiedy mu się przeszkadza.

Mówiąc to nacisnęła jednak guzik konsoli.

- Przepraszam bardzo, panie doktorze - rzuciła w mikrofon - ale jest tu pewien pan...

- Doktor Warren Yeager - odpowiedział jej Warren. - Z Atlanty.

- Co takiego? - dobiegł go głos MacLarena. - Czy dobrze słyszałem nazwisko? Doktor Yeager?

- Tak - potwierdziła recepcjonistka, obdarzając Warrena po raz drugi sceptycznym spojrzeniem.

- Na litość boską - powiedział MacLaren - proszę go natychmiast przyprowadzić i nie pozwolić mu ani chwili czekać, panno Townsend.

Ian MacLaren powitał Warrena wylewnie.

- To prawdziwy zaszczyt - powtórzył dwa razy. - Szkoda, że pan nie uprzedził mnie wcześniej, doktorze. Zostawiłbym swoją robotę i zabrał pana w objazd po kraju.

Ton MacLarena był bardzo przyjacielski zważywszy, że Warren wtargnął w jego prywatne życie bez uprzedzenia. Ponadto, Warren nie miał jeszcze sposobności wyjawić przyczyny swego nagłego pojawienia się w Dunclycie.

- Zakładam, że przyjechał pan obejrzyć Glasgow? - indagował Warrena MacLaren wskazując mu krzesło po drugiej stronie biurka. - Czy chodzi panu o obejrzenie nowej kliniki chorób zakaźnych?

- Nie, na razie nie to jest celem mojego przyjazdu.

Warren nie usiadł. Musiał się mieć na baczności, bo w swobodnym zachowaniu Iana MacLarena było coś niepokojącego. Coś, co nie pasowało do małego, czystośćkiego gabinetu. Warren spodziewał się innego przyjęcia. Przecież MacLaren musiał się domyślać, dlaczego Warren się tutaj znalazł. Wskutek tajemniczego zakażenia umiera woźny, a po trzech dniach nieoczekiwanie przyjeżdża urzędowo lekarz z Centrum Badań Kontrolnych nad Chorobami Zakaźnymi...

Również postać Iana MacLarena odbiegała od typowego wizerunku naukowca. Był wysokim, atletycznie zbudowanym mężczyzną o rudych włosach, rumianej twarzy, zdrowej cerze i bystrym spojrzeniu niebieskich oczu. Miał wygląd człowieka dużo przebywającego na powietrzu - powiedzmy, gracza w rugby.

Nie osądźaj książki po jej okładce, upomniał siebie Warren.

- Więc czym mogę panu służyć? - zapytał Ian z szerokim uśmiechem.

- Mam pewien problem - zaczął Warren, próbując zachować zimną krew. - Dotyczy pańskiego pracownika, Jamie'ego Keitha.

- Biedny chłopak - powiedział Ian tonem z lekka zaczepnym. -
Tragiczna historia.

- Przypuszczam, że zna pan powód jego śmierci.

- Nie bardzo rozumiem...

- Zakażenie nieznanym mikroorganizmem, doktorze. Krwotok wewnętrzny. Dosłownie wykrwawił się na śmierć.

MacLaren podniósł głowę jak gdyby zaskoczony.

- Nie wiedział pan o tym?

- Jestem ogromnie zapracowany i...

- Tak zapracowany, że nie słyszał pan nawet o wypadku tak groźnego zakażenia? - Warren już bez ogródek wytoczył armaty.

- Zakażenie?

- Doktorze, nie okłamujmy się. Pańskie badania dotyczą antykoagulacji, Nie wiem, do jakich rezultatów doprowadziły te badania, jakie siły pan wyzwolił.

- Proszę posłuchać. - Uprzejmy dotąd głos Szkota był teraz agresywny. - Nie może być mowy o żadnych tajemniczych siłach.

Moje badania są ściśle określone i nie przekraczam żadnych granic. Tak, koledzy z Centrum, idziecie fałszywym tropem.

- No... nie sądzę, doktorze.

Twarz MacLarena była teraz pełna napięcia. Wpatrywał się gniewnie w Warrena.

- Całe to oskarżenie jest całkowicie niewiarygodne - stwierdził. - Nie macie najmniejszego pojęcia, o czym mówicie.

- Nie mam zamiaru stać tu i słuchać tych wykrętów - powiedział Warren. - Oczekuję od pana współpracy.

Cisza przeciągała się. Wreszcie z twarzy Iana stopniowo znikło napięcie. Usiadł, skrzyżował ręce na szerokiej piersi i nie spuszczał oczu z Warrena warknął:

- Niech pan siada i zaczniemy mówić o tej sprawie jeszcze raz od początku. Przepraszam, jeśli się trochę uniosłem.

- Nie musi pan przeproszać – powiedział Warren siadając.
- Jasne, że dołożę wszelkich starań, żeby panu pomóc w pracy w stopniu, jaki pan uważa za konieczny, doktorze Yeager. Wszyscy naukowcy współpracujący w tym laboratorium nad antykoagulatorem pospieszą panu z pomocą.
- Doceniam to, co słyszę, i dziękuję. – Nawet Rose nie zdobyłaby się na lepszą odpowiedź.
- Jest jednak pewien problem – ciągnął Ian – polegający na tym, że mój zespół pracuje według ściśle ułożonego harmonogramu. Fundusze, rozumie pan? Czas jest tu zawsze sprawą decydującą.
- Oczywiście.
- Mam jednak w laboratorium kogoś, kto wie absolutnie o wszystkim, co się tu dzieje..
- Aha, chce mnie splawić i oddać w ręce kogoś, kto mu podlega, pomyślał Warren z irytacją.
- Mówię o panie Lundstrom, Margery Lundstrom – ciągnął Ian, nie zrażony błyskami oburzenia w oczach Warrena. – To naprawdę kapitalny pomysł. Do tego, niech pan sobie wyobrazi, Margery jest pana rodaczką. Pracuje na uniwersytecie w Minneapolis na stanowisku konsultanta w dziedzinie finansów. Specjalizuje się w rozdzielaniu funduszy na badania naukowe. Co pan na to?
- Interesujące – odparł Warren bez przekonania.
- Dobrze. – Ian przycisnął guzik interkomu na biurku. – Panno Townsend, proszę zadzwonić do Margery i poprosić, żeby przyszła do mojego gabinetu.
- Warren podniósł się z krzesła, z wściekłością wsunął ręce do kieszeni i zaczął przemierzać gabinet tam i z powrotem.

2

Jeszcze trzy dni, westchnęła Margery Lundstrom i podniosła głowę znad złożonych w harmonijkę wydruków komputerowych. Odsunęła do tyłu krzesło, ołówek wetknęła za ucho i wstała, żeby rozprostować kości. Siedziała zgarbiona w małej pakamerze służącej jej za gabinet, od wczesnego ranka zatopiona w rachunkach laboratorium.

Ściany jej prowizorycznego gabinetu zbudowane były z mocnych płyt betonowych pomalowanych na urzędowy kolor – beż. Stało w nim kilka metalowych szafek na segregatory i sfatygowane krzesło, na którym Margery położyła stos papierów zdjętych z biurka. Małe okienko, niczym nie zasłonięte, wpuszczało do środka nieco bladego światła styczniowego dnia w Szkocji. Na jednej ze ścian wisiał – wyraźnie od bardzo dawna – dyplom Iana MacLarena z uniwersytetu w Edynburgu, a obok drugi, z okręgowego szpitala w Londynie, stwierdzający, że jako miejscowy lekarz zdobył specjalizację w zakresie patologii i mikrobiologii.

To wszystko. Żadnych kwiatów zdobiących ściany, reprodukcji czy fotografii. Margery siedziała w tym maleńkim pomieszczeniu prawie od trzech tygodni, zapoznając się ze stanem prac laboratorium MacLarena, finansowaniem tych prac przez rząd i postępem badań. Na prośbę wyodrębnionego zespołu w rządzie brytyjskim, odpowiedzialnego za finansowanie badań naukowych, Margery zgodziła się sprawdzić księgowość Laboratorium w Dunclde, co miało zadecydować o przyznaniu nowych funduszy na kontynuację prac.

Była to robota, do której Margery była szczególnie predysponowana. Zawsze świetna studentka, ukończyła biochemię na uniwersytecie w Chicago, a następnie wydział handlu. Po uzyskaniu

stopnia magistra pracowała bardzo intensywnie, porządkując księgowość w klinikach zajmujących się badaniami naukowymi. Dyrektorzy laboratoriów, nieodmiennie reprezentujący typ roz-targnionego profesora, postępowego i często genialnego, ale zupełnie nie interesującego się księgowością, wysoko cenili medyczne wykształcenie Margery i uważali jej kwalifikacje za czarną magię.

- Wielki Boże! - zachłysnął się kiedyś pewien dyrektor-badacz naukowy. - Potrafi pani sporządzić bilans i jednocześnie wie pani, co to jest enzym!

Kiedy się dowiedziała o pracy w Dunclyde, niemal rzuciła się na tę ofertę. Propozycja ta odpowiadała jej pod każdym względem. Pokrywano wszystkie koszty związane z przyjazdem, termin rozpoczęcia i zakończenia pracy zbiegał się z feriami Bożego Narodzenia na uniwersytecie w Minneapolis, gdzie prowadziła zajęcia związane z obu jej specjalizacjami - wykłady dla studentów przygotowujących się do studiów medycznych i dla studentów specjalizujących się w różnych zagadnieniach handlowych. Dawało jej to wiele satysfakcji. Z jednej strony obracała się w kołach elitarnego świata nauczycieli akademickich, z drugiej zaś miała kontakty z dynamicznym światem interesu.

Chodząc dokoła biurka i rozcierając ręką zdrewniałą szyję, zmarszczyła nagle czoło. Przyjmowała zwykle zlecone prace poza-universyteckie w czasie letnich wakacji, nie mogła się jednak oprzeć pokusie wyjazdu do Dunclyde podczas zimowej przerwy świątecznej, zwłaszcza że była to pierwsza oferta pracy za granicą. Teraz jednak zdała sobie sprawę, że trzy dni nie wystarczą do zakończenia tej pracy. Przede wszystkim musi brać pod uwagę sprawę swojego etatu. Otwierała się szansa na jego dostanie w czasie najbliższego lata, nie mogła więc sobie pozwolić na ryzyko zaprzepaszczenia tej możliwości przez spóźnienie się na wykłady z powodu pracy zleconej. Nie mogła

jednak zaprzeczyć, że Dunclyde było niezwykłą okazją i sam dziekan wydziału zachęcał ją do przyjęcia tego zlecenia.

- To doświadczenie rozszerzy pani horyzonty - mówił Kenneth Rickters. - Okaze się nieocenione zarówno dla pani, jak i pani studentów.

Jeszcze trzy dni. Spojrzała na leżącą na biurku stertę papierów i zacisnęła usta. Było coraz bardziej oczywiste, że finanse Laboratorium Dunclyde są rozpaczliwie pogmatwane i Ian nie ma szansy na ponowne przydzielenie funduszy jeśli do marca nie wykaże pozytywnych wyników swoich badań nad antykoagulantami. Margery wiedziała jednak dobrze, że laboratorium ciągle nie ma znaczących osiągnięć i dwa miesiące niczego tutaj nie uratują.

Przypomniała sobie przedwczorajszą rozmowę z Ianem, którą odbyli w malowniczym pubie z fantazją nazwanym „Skean Dhu”, czyli Pod Czarnym Sztyletem.

- Czas - powiedział wtedy Ian, uderzając pięścią w stary, porysowany, drewniany blat baru. - Potrzeba mi tylko czasu. Nie mogę wynaleźć cudownego środka w ciągu miesiąca czy nawet roku, Margery. Przecież rozumiesz, jak ważne są te prace. Antykoagulant, środek chemiczny, który nie dopuszcza do łączenia się cząstek koloidalnych w większe zespoły, ma decydujące znaczenie w leczeniu chorób serca, nie mówiąc już o innych zastosowaniach. Jestem już bardzo blisko! Margery, musisz ich przekonać, żeby mi w dalszym ciągu przydzielali fundusze!

- To nie zależy ode mnie, Ian - odpowiedziała spokojnie, nieco spłoszona jego gwałtownością. - Oni uznają tylko moje kwalifikacje księgowej.

Ian spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Księgowa, rzeczywiście! Jesteś przecież cholernie ważna. Będą się z pewnością liczyć z twoim zdaniem, te ważniaki w przeklętym Londynie!

Był zdesperowany i chyba uważał, że zrzucenie całego ciężaru na jej barki może go uratować.

Margery położyła białą, delikatną dłoń na jego zaciśniętej pięści.

- Jakoś to będzie, Ian. Nawet gdybyś nie dostał tych pieniędzy, zawsze zostają ci wpływy z produkcji heparyny.

- Ba! To za mało. Musiałbym zwolnić z pracy dwie trzecie zespołu. Badania musiałyby się jeszcze bardziej przeciągnąć. Poza tym heparyna może produkować każdy, tak jak aspirynę, do cholery!

Margery dobrze wiedziała, co to jest heparyna, powszechnie stosowany antykoagulant, od lat znany na rynku. Spełniała w leczeniu dużą rolę, ale dawała czasem efekty uboczne i Ian usiłował opracować formułę nowego leku. W rządzie, w Londynie, chciano, żeby laboratorium Iana produkowało raczej więcej leków, które sprzedawałyby się łatwo, tak jak heparyna, ale Ian zupełnie niedawno nie zgodził się na taką produkcję, uzasadniając to potrzebą badań ściśle naukowych, a nie nastawionych na zyski.

Margery ostrożnie uzupełniła swój komentarz.

- Twoje laboratorium jednak mogłoby produkować więcej heparyny. Jest na nią zapotrzebowanie. Wskazywałam ci tę możliwość.

Na policzkach Iana pojawiły się czerwone plamy.

- Na Boga, dziewczyno! Ty też o tym?! Myślałem, że zrozumiałaś, o co mi chodzi.

Nieco szorstki, z charakterystycznym zaśpiewem szkocki akcent Iana uwydatniał się jeszcze bardziej w chwilach wzburzenia. Gdyby nie był tak podniecony, Margery słuchałaby go z przyjemnością.

- Ian, przepraszam, chodziło mi o...

- To ja przepraszam. - Ian objął głowę dłońmi i potrząsnął nią. - Dałem się ponieść emocjom, nie panuję nad sobą, ale to jest dzieło mojego całego życia, Margery, wiesz o tym. - Na jego tężejącej twarzy pojawił się chytry uśmieszek. - Co tam, dziewczyno, dokończ swojego drinka i pójdziemy się napić herbaty.

Ze skrzyżowanymi na piersiach rękami Margery przemierzała swój kantorek tam i z powrotem. Biedny Ian. Nie może chyba liczyć na szczęście. Londyn potraci za poniesione straty i zostawi laboratorium bez funduszy. Przetrwac może jedynie dział produkcji. Mimo nadrabiania miną, Ian musi sobie w końcu zdać sprawę z tego, że zbliża się kres jego pracy badawczej.

Myślała o tym ze ściśniętym sercem. Przyjechała do Dunclady spodziewając się żmudnej pracy, ale zupełnie nie spodziewając się, że zobaczy tu energicznego młodego lekarza, dyrektora laboratorium o gęstej, rudej czuprynie, którego uśmiechowi i wrażliwości nie potrafiła się oprzeć. Polubiła Iana z kilku powodów – za jego inteligencję, otwartość, bezpośredniość i naturalność. Skomplikowało to nieco jej pracę. Czuli, że mogłaby się w nim zakochać, a on także dawał do zrozumienia, że nie jest mu obojętna.

Jakie to dziwne, myślała, że spodobał się jej mężczyzna taki jak Ian. Jej życie prywatne nie obfitowało w burzliwe wydarzenia. Margery zazwyczaj trzymała mężczyzn na dystans. Nawet teraz, kiedy osiągnęła trzydziestkę, nie brała poważnie pod uwagę małżeństwa, zwłaszcza po lekturze ostatnich statystyk. Wynikało z nich, że jeżeli kobieta nie wyjdzie za mąż przed dwudziestym piątym rokiem życia, jej szanse na małżeństwo spadają poniżej pięćdziesięciu procent.

Historia z Ianem naprawdę była niefortunna. Czuli, że z ich znajomości mogłoby coś wynikać, ale nie było na to czasu. Za kilka dni wróci do Minneapolis i zacznie nowy semestr. Romans na taką odległość jest przecież nierealny.

Ian MacLaren. Błyskotliwy, pomysłowy, ale przytłoczony sytuacją gospodarczą, kiedy na rynku zaciążyła podaż ropy wydobywanej na Morzu Północnym i rząd musiał bardzo ostrożnie opracowywać budżet. Trudno w takiej sytuacji uniknąć ofiar, ale dlaczego wśród nich miał być Ian? Margery chciała zrobić wszystko, co w jej mocy, sporządzając sprawozdanie z kontroli księgowości. Zdecydowałaby się nawet

przemówić za nim, gdyby to miało pomóc, Ale bezduszna administracja rządowa jest nieczuła, jak czołg przetacza się nad takimi skromnymi ludźmi jak Ian.

Margery westchnęła i spojrzała na maleńkie okienko. Znowu pada. Zimno, szaro, zacina deszcz nasączający ziemię i zmywający z nieba wszelkie barwy. Zima w Szkocji. Posępny okres, kiedy niski kąt padania promieni słonecznych powoduje, że zmrok zapada już o drugiej po południu. Jedyne, co pozwalało przetrwać tę porę roku, to ciepła życzliwość ludzi. W ich kominkach zawsze żarzył się dokładany ciągle węgiel, było ciepło, podawano sycące potrawy i dodawano sobie otuchy serdecznym słowem.

No i był tu Ian. Od razu w naturalny sposób zapytał ją o jej spuchniętą kostkę i o tej sprawie już się więcej nie mówiło. Było to na lotnisku w Glasgow, gdzie się poznali. Po długim locie kostka była obrzmiała i zeszywniała, bardzo utrudniając chodzenie. Po wielu latach Margery myślała, że przestał ją obchodzić jej chód, tymczasem okazało się, że nagle przykłada do tego wielkie znaczenie.

- Narty? - zapytał Ian widząc, jak utyka.

Margery wiedziała, jak szybko przy swej jasnej cerze się czerwieni. Zmieszana, szybko schyliła głowę.

- Nie. Wypadek samochodowy. W dzieciństwie. - Starła się powiedzieć to pogodnie.

Ian ze zrozumieniem pokiwał głową i od tej pory mówił wyłącznie na temat laboratorium. Musieli przejechać co najmniej pół drogi do maleńkiego Duncllyde, odległego o dwadzieścia kilometrów od Glasgow, żeby Margery wreszcie uwierzyła, że Ian naprawdę nie zwraca uwagi na jej kostkę. Wezbrała w niej fala ciepła dla tego rudego mężczyzny, którego dopiero poznała. Omal go nie ucałowała... co zresztą zrobiła, ale to przyszło później.

Kiedy minął pierwszy tydzień w Duncllyde i z powodu Bożego Narodzenia Margery miała dzień wolny od pracy, Ian zaproponował jej

spędzenie trzech dni w domu jego matki w Edynburgu. Pochlebilo jej to zaproszenie. Zarumieniła się z radości, bardzo zadowolona z tego, że nie będzie musiała spędzić świąt sama w pokoiku sławetnego hotelu w Duncllyde.

- Bardzo się cieszę, dziękuję - odpowiedziała z uśmiechem i tak się jakoś stało, że znaleźli się razem przy kufelku piwa w pubie Pod Czarnym Sztyletem, Ian był tak czarujący, że Margery mogła zapomnieć o swojej normalnej taktyce obronnej wobec mężczyzn. Bawiła się świetnie w jego towarzystwie, śmiała się dużo, odczuwając rzadką w swym życiu przyjemność wspólnej zabawy... a także coś więcej, Ian pociągał ją, działał na nią jak magnes, budziło się do niego uczucie.

Boże Narodzenie w Edynburgu było jakby wyjęte z powieści Dickensa. Pani MacLaren, podobnie jak syn, była wysoka, postawna kobieta. Jej rude włosy zaczynały już siwieć. Dom zbudowany z solidnych cegieł miał tylko jeden kominek w saloniku i pozbawiony był telefonu. Emanował taką samą gościnnością jak jego właściciele.

Spadł nawet śnieg, choć tylko raz, i pokrył świeżym, białym puchem szarą zimę szkockiej zimy. Pani MacLaren przygotowywała obfite kolacje: jedli łososia z rusztu, dziczyznę, ziemniaki i oczywiście bożonarodzeniowy pudding. Na śniadanie były parówki, płatki owsiane na mleku bądź piklingi. Na podwieczorek do herbaty podawała kruche trójkątne ciasteczka z dżemem lub z bitą śmietanką, do wyboru. Potem pojawiała się szklaneczka starej, złocistej whisky. W nocy, w małej sypialni na poddaszu, którą oddano do dyspozycji Margery, panowało lodowate zimno, ale kiedy się wślizgiwała między dwie kołdry i czuła rozkoszne ciepło termoforu, uśmiechała się w ciemności sama do siebie. Jaki świetny pomysł! Jak mądrze zastosowany! Więc to był powód, dla którego wymyślono termofor!

Dużo z Ianem spacerowali. Kiedy oglądali zamek w Edynburgu, Margery potknęła się przechodząc obok stosu kamieni, Ian chwycił ją za rękę i kiedy nieśmiało mu dziękując podniosła głowę, stwierdziła, że nie

tylko nie puścił jej ręki, ale że intensywnie wpatruje się w jej twarz. Stali tak przez dłuższą chwilę, w zimnym powietrzu mieszały się ich oddechy, on nie cofał swojej ręki, ona położyła dłoń na jego ramieniu. To, co się między nimi rodziło, przeszło oboje dojmującą radością.

Usiadła za biurkiem, czując, jak udziela się jej desperacja Iana. Znowu pochyliła głowę nad kolumnami liczb, rozpaczliwie rozdarta między chęcią znalezienia pomocy dla Iana a świadomością, że jego praca jest skazana na zaprzepaszczenie. I, co najgorsze w tym wszystkim, ona powinna wkrótce odlecieć do Minneapolis, zostawiając Iana sam na sam z jego losem. Pewnie nigdy więcej go nie zobaczy. Cóż jednak począć? Czy mogłaby tutaj zostać? Przede wszystkim Ian nie wystąpił z taką prośbą. Równie dobrze jak ona wiedział, że każde z nich ma swoje życie. Tak czy owak, Margery musiała się przyznać do tego, że nie miałyby ochoty mieszkać w Szkocji. Nie był to jej kraj i Ian zdawał sobie z tego sprawę.

Przyszła jej na myśl pewna refleksja, pod wpływem której posmutniała. Otóż uświadomiła sobie, że na uczuciu do Iana zaciążyła litość. Niestety, litość i romans wykluczają się wzajem.

Może istotnie była "królową lodu", jak nazywano ją w szkole średniej. Może jej koleżanki i koledzy znali ją lepiej niż ona sama siebie. Nic sobie nie robiła z tego przezwiska, gdyż wiedziała dobrze, że chociaż za chłodną maską skrywała nieśmiałość, miała w sobie prawdziwy gejzer ciepłych uczuć, niewidoczny dla innych. Uczuć ludzkich, normalnych. Tylko po prostu zbyt wiele bólu sprawiało ich wyrażanie. Nikt tego nie rozumiał. Musiała sobie ciągle powtarzać, że stoi ponad gadatliwymi dziewczętami o dużych biustach wodzącymi wszędzie rej, czy tymi zmysłowymi, które myślą wyłącznie o chłopcach. Nikt nic nie mówił o jej ułomności, ale była to jak gdyby bariera odgradzająca ją od życia. Może była to jej wina, że przywiązywała do tej drobnej fizycznej ułomności zbyt dużą wagę. Do pewnego stopnia obwiniała też swoich rodziców, którzy czy to z poczucia winy, czy ubolewania nad tym

faktem, wmawiali w nią, że wszystko jest w porządku i nie chcieli w ogóle o tym mówić.

- Masz taką wspaniałą głowę, jesteś taka mądra - mówili bez przerwy. - Tylko to się liczy, to jest najważniejsze.

I tak wzrastała ze swoją ułomnością. Przeszła kilka bolesnych operacji, które hic nie dały. Z czasem przyswoiła sobie chłodny, opanowany sposób bycia, pozornie wyrażający poczucie wyższości. W rzeczywistości było odwrotnie. Dreczyło ją poczucie, że jest gorsza, co sprawiło, że była szczególnie niezręczna w kontaktach z chłopcami, a później z mężczyznami. Margery Lundstrom, „królowa lodu”, nie miała ani jednej randki nawet jako studentka ostatniego roku. Było to dla niej ciągle bolesne wspomnienie. Nie miało dla niej znaczenia to, że była wysoka i smukła, że miała naturalne, charakterystyczne dla typu nordyckiego jasne włosy, świeżą alabastrową karnację i duże, szeroko osadzone, niebieskie oczy. Nigdy nie zauważała zachwyconych spojrzeń, jakie rzucali jej mężczyźni, natomiast zawsze, co się zdarzało nieczęsto, widziała zaciekawiony i współ- czujący wzrok utkwiony w jej ułomnej kostce.

„Królowa lodu”. Epitet ten stopniowo jak gdyby przeniknął jej osobowość i wpłynął na wyobrażenie samej siebie, stając się normą jej sposobu bycia. Zdawała sobie sprawę, że słabnące zainteresowanie Ianem jest oznaką jej ciągłej niemożności poddania się uczuciom.

Z irytacją wzięła do ręki kilka kartek i ponumerowała je. Można odłożyć wciągnięcie ich do księgi głównej co najmniej na miesiąc. Do tego czasu Ian prawdopodobnie będzie mógł wykazać się jakimiś nowymi wynikami.

Nagle telefon na biurku zadzwonił tak przenikliwie, że aż się wzdrygnęła. Usłyszała głos Gwen Townsend, jak gdyby zasapany i lekko zalękniony.

- Czy może pani przyjść do gabinetu Iana? - Recepcjonistka zniżyła głos. - Jest tam jakaś gruba ryba ze Stanów. Chce, żeby mu

ułatwić prace kontrolne. Nazywa się doktor Yeager, przyleciał z Atlanty, z Centrum Badań Kontrolnych nad Chorobami Zakaźnymi.

Margery była zdumiona. Co lekarz z Ameryki może robić w Dunclycie? Cóż, może uda się jej wybawić Iana chociaż z tego kłopotu.

- Oczywiście, zaraz tam będę - powiedziała wsuwając na nogi wygodne pantofle na niskim obcasie, które jak zwykle zrzuciła w czasie pracy. Zawsze nosiła pantofle na niskim obcasie - w wysokich czuła się niepewnie i bolała ją kostka. Jednym z jej nieziszczalnych marzeń było zatańczyć z wdziękiem w butach na wysokich obcasach, takich, w jakich tańczyła Ginger Rogers. Rozrzucone na biurku papiery zebrała i położyła jedno na drugim, zapominając o ołówku za uchem. Poprawiła wąską, szarą spódniczkę i białą bluzkę, po czym ruszyła na spotkanie z grubą rybą.

Centrum, Centrum... Centrum Badań Kontrolnych nad Chorobami Zakaźnymi. Każdy wiedział, co to za instytucja. Często o niej pisano w prasie i mówiono w telewizji i radiu. W Atlancie znajdowała się centrala całej siatki placówek tej instytucji, Margery wiedziała o tym, ale dlaczego ktoś z tego szacownego zakładu chciałby kontrolować małe, pracujące zupełnie na uboczu laboratorium w Szkocji?

Jakie nazwisko wymieniła recepcjonistka? Yeager? Odniosła wrażenie, że nie jest jej obce. Zaczęła szukać w pamięci. Musiała je słyszeć w telewizji lub spotkać w jakimś piśmie medycznym. Yeager. Tak! Przypomina sobie! Przeprowadzał skomplikowane badania nad jakąś tropikalną chorobą występującą w Ameryce Środkowej. Margery przypomniała sobie o tym dzięki temu, że jako studentka pisała pracę na temat tego zarazka, szczególnie złośliwego i wyniszczającego, który dawał u chorego objawy zbliżone do dyzenterii. Tak, Yeager. Warren Yeager.

Usta Margery wykrzywił grymas. Yeager miał okropną opinię. W środowisku lekarskim znany był z niepospolitej inteligencji - utalentowany, to prawda, ale niesłuchanie trudny we współpracy,

egoista pozbawiony wrażliwości, bez ogródek mówiący prawdę w oczy. Człowiek, który prawie uwierzył, że jest wybrańcem losu i wszystko mu się należy, choćby ze szkodą dla innych. Dobrze znała ten typ mężczyzny – urodzony geniusz od kołyski do grobu, indywidualista, którego tłumaczyć mogły jedynie jego niepospolite zdolności. Do licha, co on tu robi?

Szybko szła długim korytarzem do gabinetu Iana. Teraz wiedziała, dlaczego na nią rzucił ciężar wizyty doktora Yeagera. O Boże!

Poznała po Ianie, że czekał niecierpliwie. Stał za biurkiem mówiąc coś do mężczyzny odwróconego do niej plecami. Oczywiście, musiał to być Yeager. Na razie widziała tylko wysokiego, ciemnowłosego mężczyznę w starym znoszonym trenczu. W sztywnej postawie i wyprostowanych szerokich plecach wyczuwało się napięcie.

- Margery - powitał ją Ian. - Jak to dobrze, że przysłaś. Chciałbym, żebyś poznała...

- Warren Yeager - krótko przedstawił się mężczyzna, gwałtownie odwracając się i wbijając wzrok w jej twarz.

Z pewnością musiał się tu zachowywać grubiańsko, pomyślała Margery. No cóż, zgodnie z panującą o nim opinią. W tej chwili jednak Ian przedstawiał ich sobie, więc zdobyła się na uśmiech, ten jej chłodny, uprzejmy uśmiech, który nieraz już pomógł osadzić kogoś zbyt pewnego, siebie. Wyciągnęła wąską, białą rękę, która zginęła w mocnej dłoni Yeagera. Rzucił się w oczy jego wzrost, szerokie bary, gęste kruczoczarne włosy i ciemnobrązowe oczy o przenikliwym spojrzeniu. Pięknie zarysowana broda miała zaznaczony pośrodku ledwo widoczny rowek. Z jego postaci promieniowała przemożna energia, charakterystyczna dla światowej klasy sportowców. Szczególnie uderzyło ją to w momencie, kiedy uściśnieli sobie ręce. Był niesłychanie męski, zupełnie nie jak uczonego tego formatu. Ogromnieją to zaintrygowało.

- Bardzo mi miło pana poznać, doktorze Yeager - powiedziała cicho.

- Margery, mam zamiar cię wykorzystać - odezwał się Ian. - Doktor Yeager chciałby obejrzeć laboratorium. Przyjechał tu, żeby zapoznać się ze sprawą śmierci Jamie'ego Keitha. Doktor Yeager jest zdania, że Keith mógł się zainfekować tu, w pracy.

Ian mówił tonem spokojnym, ale Margery знаła go na tyle, że natychmiast wiedziała, co się pod tym kryje.

- Jamie Keith? - spytała ze zdziwieniem. - Myślisz o tym młodym chłopcu, który zmarł w zeszłym tygodniu? - Odwróciła się twarzą do Iana. - Myślałam, że uległ jakiemuś wypadkowi, upadł, zdaje się, w łazience?

- To chyba nie był wypadek, pani... Przepraszam, zapomniałem nazwisko - powiedział Yeager.

- Lundstrom - rzekł Ian, z widocznym trudem zdobywając się na uprzejmość.

- Pani Lundstrom. - Doktor Yeager zwrócił się teraz bezpośrednio do Margery, którą ponownie uderzył jego agresywny sposób bycia. - Nie spodziewam się, żeby pani wiedziała dostatecznie dużo o chorobach zakaźnych, ale powiem pani, że Jamie Keith umarł z powodu gwałtownego krwotoku spowodowanego jakimś zarazkiem, który jak dotąd jest mikroorganizmem nie dającym się zakwalifikować do znanych kategorii, ale który może okazać się śmiertelny.

- To śmieszne - warknął Ian.

- Ciekawi mnie, skąd pan wie o śmierci Jamie'ego Keitha? - spytała Margery zmieszana. - Pan przecież pracuje w Centrum w Atlancie?

- Tak. Jestem w Atlancie dyrektorem specjalnego oddziału zajmującego się patogenezą chorób zakaźnych. Szpital w Londynie, który robił sekcję zwłok Keitha, zwrócił się do mnie o pomoc. Nie mogli ustalić przyczyny śmierci, spotkali się z przypadkiem zupełnie wyjątkowym. Nie wydaje mi się jednak, żebym się musiał tłumaczyć ze swojej obecności w tym miejscu.

Na twarzy Margery pojawiły się wypieki. Kątem oka spostrzegła niecierpliwy gest Iana. Musi być wściekły na tego brutalnego, aroganckiego Amerykanina i trudno mu się dziwić. Nie do wiary! Jak można pomyśleć, że w laboratorium Iana mogło, dojść do zakażenia, i w rezultacie uśmiercenia, biednego Jamie'ego Keitha!

- Margery, proszę cię, oprowadź doktora Yeagera po całym budynku. Wszędzie. Nie mamy tu nic do ukrycia. - Tym razem Ian mówił głosem chłodnym, a nawet lodowatym jak zimowe powietrze i ołowiane niebo za oknem.

- Proszę tędy, doktorze Yeager - powiedziała Margery gestem zapraszając go, aby szedł pierwszy, gdyż nie chciała, żeby spostrzegł jej ułomność.

Warren Yeager uprzejmie skłonił głową żegnając Iana, po czym zwrócił się do Margery:

- Przede wszystkim chciałbym zobaczyć pomieszczenia laboratoryjne, gdzie prowadzi się badania, a następnie zwierzęta. Potem kartotekę doktora MacLarena.

- Nie sądzę... - zaczęła Margery.

- Moje uprawnienia obejmują także kontrolę kartotek. Doktor MacLaren godzi się z tym. Twierdzi, że nie ma nic do ukrycia.

- Jestem pewna, że jeżeli tak twierdzi, to znaczy, że istotnie nie ma sobie nic do zarzucenia - prychnęła Margery.

Przeszli korytarzem zaledwie kilka metrów, kiedy Yeager stanął i odwrócił się do niej twarzą.

- Proszę posłuchać, boję się, że moja wizyta zaczęła się trochę niefortunnie. Obawiam się, że nawet przy największych staraniach nie potrafię być układny. Do tego niesłychanie niepokoi mnie sprawa tej bakterii. No i od dwudziestu czterech godzin nie spałem ani chwili. Proszę mi zatem wybaczyć. W każdym razie zamierzam obejrzeć tutaj wszystko, zajrzeć do każdego kąta i każdego zakamarka, choćby bez pani pomocy.

Margery spostrzegła, że istotnie wygląda na bardzo zmęczonego. Głęboko odetchnęła i postanowiła być uprzejma, no... powiedzmy, powściągliwie uprzejma.

- Proszę bardzo, doktorze Yeager.

- Niech mi pani mówi Warren, dobrze? To ciągle powtarzanie „panie doktorze” nie ma sensu. Poza tym nie jestem pani lekarzem. - Mimo dobrych chęci uśmiech, jaki udało mu się wywołać na twarzy, nie był naturalny.

Margery wyraziła zgodę skinieniem głowy, ale rozmyślnie nie zaproponowała mu tego samego. Ręką wskazała drogę do głównego holu. Weszli do ogromnego laboratorium, w którym prowadzone były główne badania. Dwunastu pracowników w białych kitlach siedziało nad mikroskopami. Stukając klawiszami wprowadzali dane do komputera, napełniali i opróżniali próbki bądź robili rozmazy na szkiełkach laboratoryjnych, nanosząc bakterie na odpowiednio przygotowane pożywki.

Każdemu z nich Warren zadawał pytania dotyczące szczegółów technicznych. Kiwał głową i mruzczał coś do siebie, robiąc ołówkiem notatki na odwrocie biletu lotniczego, z czego wynikało, że nie miał przy sobie nic innego, na czym mógłby pisać.

Podczas gdy Margery stała beczynnym, coraz bardziej zniecierpliwiona bezproduktywnym marnowaniem czasu, kiedy w kantorku czekało na nią tyle roboty, Warren wszystkiego był ciekaw, wszystkich wypytywał i ciągnął jak mógł za język oraz otwierał drzwi do wszystkich pomieszczeń.

Dunclde Hotel był jedynym hotelem w miasteczku. Niewielki i niezbyt stary, ale stylowy, został zbudowany i ozdobiony na wzór architektury okresu Jakuba I, a więc typowej dla pierwszej połowy XVII wieku. Angielscy i amerykańscy turyści szczególnie sobie ten styl

upodobali. Pokoje były wygodne, a hotelowa restauracja była jedyną w Dunclyde, gdzie można było dostać nie tylko rybę z frytkami.

Margery i Ian siedzieli przy stoliku blisko kominka, kończąc pożywną zupę ogonową.

- Jest to najbardziej impertynencki i denerwujący facet, jakiego kiedykolwiek spotkałam - orzekła Margery.

- Cóż, Marge, przypuszczam, że tylko wykonuje swoją pracę. Robi to, co do niego należy.

Tego wieczoru w zachowaniu Iana Margery wyczuwała jakby rezerwę. Czyżby Warren Yeager bardziej wytrącił go z równowagi, aniżeli chciałby się z tym zdradzić?

- Wykonuje pracę! Wszędzie weszły i wtyka ten swój nos. Czego on chce? Co spodziewa się znaleźć? Jakaś truciznę czy... czy jakieś biologiczne źródło śmiertelnego zagrożenia?

Ian obrzucił ją błyskawicznym spojrzeniem.

- Oczywiście, nic z tych rzeczy. - Poklepał ją po dłoni. - Przestań o nim myśleć. Niedługo wyjeżdżasz i chciałbym, żebyś wywozila stąd jak najmiłsze wspomnienia.

Uśmiechnęła się do niego ciepło.

- Och, Ian, wiesz, że tak będzie. Chciałabym tylko jakoś bardziej ci pomóc. Postaram się, żeby moje sprawozdanie wypadło jak najlepiej...

- Wiem, że to zrobisz - powiedział Ian z czułością w głosie. Jego dotyk podniecał ją. Może później pójda do jej pokoju i...

- Proszę, proszę, doktor MacLaren i panna Lundstrom - dobiegł ich głos za plecami.

Ian wstał nie wykazując entuzjazmu, natomiast Margery zacisnęła usta. Nogi krzesła zaskrzypiały na posadzce i Warren Yeager, wielki i zmoknięty, usiadł przy ich stoliku.

- Dobry wieczór. Znowu pada - oznajmił. - Dobrze tu dają jeść?

- Prawdę mówiąc, właśnie mieliśmy z Margery wychodzić - zaczął Ian.

- Naprawdę? Może jednak przedtem mógłby mi pan udzielić odpowiedzi na kilka pytań? - Warren powiedział to tak, jak gdyby postanowił zignorować jego słowa.

Twarz Iana wyraźnie stężała.

- Na wszystkie pytania odpowiedziałem panu dzisiaj po południu, doktorze Yeager. - Jak zwykle w chwilach irytacji dobitniej uwydatniał się jego szkocki akcent.

Oparty o stół łokciami, Warren pochylił się do przodu, obdarzając Iana przenikliwym spojrzeniem.

- A jakie jest pana zdanie na temat śmierci Jamie'ego Keitha? Co pan o tym myśli?

Ian wzruszył ramionami.

- Jeżeli to nie był wypadek...

- To nie był wypadek, zapewniam pana. On się zupełnie wykrwawił. Nie znaleziono żadnego uszkodzenia ciała, wykluczono też hemofilię.

- Może więc jakaś wada wrodzona? - spróbował Ian. - Na przykład brak odporności płytek krwi.

- Bzdury. Stać pana na coś więcej, MacLaren.

- Nie mam doświadczenia w diagnostyce - odparł Ian bez wyraźnego przekonania.

- Jest tu za dużo zbiegów okoliczności. Śmierć, zapyziałe miasteczko, doświadczalne laboratorium - ciągnął Warren. - Nie martwcie się, znajdę na pewno powiązania. Zawsze udaje mi się znaleźć klucz do zagadki.

- Proszę bardzo, doktorze, niech pan się nad tym głowi, a my tymczasem...

- Dobrze pan sobie wychował Margery. Próbowała dzisiaj stawać na głowie, żeby laboratorium wypadło jak najlepiej.

Margery podniosła się z krzesła gwałtownym ruchem.

- Przepraszam panów, wyjdę na powietrze.

Nie była w stanie wytrzymać już ani chwili dłużej tej pełnej wzajemnej niechęci atmosfery okropnego męskiego sporu. No tak, błąd. Teraz obaj będą patrzeć, jak przemierza jadalnię w drodze do drzwi. Modliła się w duchu, żeby jak najmniej rzucała się w oczy jej ułomność, próbowała iść powolnym i pewnym krokiem. Może się uda, może nie będzie to tak widoczne.

Poszła do pokoju po płaszcz, po czym szybko zeszła na dół i pchnęła wejściowe drzwi. Mżyło, powietrze było chłodne i rześkie, niebo jednolicie granatowe, bez gwiazd i księżyca. Światło latarni jasno oświetlało mozaikę z mokrych kamieni, którymi wybrukowana była ulica. Niedaleko ktoś zapuścił silnik samochodu, dodał gazu, rozległ się dziewczęcy śmiech i znowu zapadła cisza.

Margery głęboko wciągnęła powietrze w płuca, wtuliła szyję w kołnierz płaszcza z wielbłądziej wełny, wsunęła ręce do kieszeni i ruszyła przed siebie.

Warren Yeager. Był po prostu niemożliwy. Zachowywał się, jak gdyby uważał, że tylko on ma rację, zaś wszyscy pozostali to albo naiwni, albo ignoranci, albo zwyczajnie mają źle w głowie. Spadł im niespodzianie na kark, dodając jeszcze jeden kłopot do tych, których i tak nie brakowało Ianowi. Zachowanie Yeagera było denerwujące, a do tego obraźliwe. Sprawdzało się wszystko, co Margery o nim słyszała.

Przyspieszyła kroku, żeby się rozgrzać. Małe kropelki deszczu łaskotały ją po policzkach i osiadały na rzesach. Zdawało się jej, że słyszy za plecami echo kroków stukających o mokry bruk, tak jakby ktoś za nią szedł. Bała się obejrzeć za siebie, więc przyspieszyła i rozglądając się dokoła z coraz większym przerażeniem, wypatrywała jakiegoś oświetlonego pubu czy domu... Czegokolwiek!

- Proszę poczekać! - usłyszała wołanie. - Margery!

Poznała głos Yeagera. W pierwszej chwili odetchnęła z ulgą, ale natychmiast wezbrała w niej irytacja. A więc szedł za nią... Głębiej schowała głowę w kołnierz i przygarbiła ramiona, jak gdyby odgradzając

się od tego głosu, ale kroki dopędziły ją błyskawicznie i duża postać Warrena Yeagera znalazła się tuż obok niej.

- To jednak pani - powiedział. - Tak właśnie myślałem.

- Przepraszam bardzo, marzyłam o samotnym spacerze.

- Ależ proszę, nic nie szkodzi. - Zupełnie jakby nie rozumiał, co się do niego mówi. - Muszę z panią porozmawiać.

Zatrzymała się i stanęła z nim twarzą w twarz?

- Dlaczego nie zostawi mnie pan w spokoju? Nie wiem nic poza tym, co już panu powiedziałam. Jestem jedynie Iana, to jest doktora MacLarena, konsultantką w sprawach finansowych. Nie mogę panu w niczym pomóc.

- Musi mi pani pomóc - odparł Yeager porywczo. - Jest mnóstwo rzeczy, o których pani wie, nawet nie zdając sobie sprawy z ich znaczenia. Gdyby tylko zechciała mi pani poświęcić trochę czasu...

- Skąd bierze się u pana ta pewność, że w laboratorium Iana jest coś nie tak? A może to pan się myli? - zapytała.

Na chwilę zapadła cisza.

- Bardzo rzadko się mylę - odparł w końcu. - Moja praca polega na tropieniu źródeł zakażeń i jestem w tym naprawdę dobry. - Jak gdyby pod wpływem wewnętrznego impulsu dodał: - Tak samo dobry jak pani w swojej pracy.

Westchnęła z irytacją, odwróciła się i ruszyła naprzód. Yeager ujął ją za ramię swoją dużą dłoń, której silny uścisk czuła przez materiał płaszcza. Wstrząsnął nią nerwowo dreszcz. Bez przerwy myślała, jak niepewnie chodzi po takich nierównych kocich łbach. Ciekawe, czy on także to zauważył?

- Za kilka dni wyjeżdżam. Jestem pewna, że nic nie mogę dla pana zrobić - wymamrotała.

- Margery. - Jego głos był naładowany nieopisaną determinacją. - Czy zdajesz sobie sprawę z powagi sytuacji? Ten zarazek spowodował wykrwawienie się na śmierć człowieka. Chwała Bogu, że zachowano

ostrożność w zetknięciu ze zwłokami. Proszę sobie tylko wyobrazić tysiące, miliony ludzi umierających w ten sposób. Moje zadanie polega na wykryciu źródła tego zakażenia.

Margery wstrząsnął dreszcz. Nie wiedziała, czy pod wpływem wyobrażenia obrazu, jaki przed nią odmalował Warren, czy uścisku jego dłoni.

On jakby nie zauważał bliskości ich ciał w ciemnościach, ale ona czuła ją aż nadto dojmująco. Kroczył tuż przy jej boku wysoki mężczyzna, poły jego trencza powiewały na wietrze, szerokie ramiona i postawna sylwetka górowały nad nią jak wieża. W mroku widoczny był tylko owal jego bladej twarzy z dwiema czarnymi plamami w miejscu oczu. Przy nim miała poczucie winy, brakowało jej tchu. Był twardym, bezceremonialnym człowiekiem, który sądził innych według miary, którą była jego własna przytłaczająca siła i inteligencja.

- Pewnie zmarłaś - powiedział rzeczowo, kiedy poczuł jej drżenie.
- Wracamy.

On nie pytał, tylko po prostu mówił. Margery była zbyt rozdygotana, żeby się przeciwstawić.

Ruszyli razem z powrotem, omijając kałuże. Oboje milczeli. Ręka Warrena nie puszczała jej łokcia. Margery słyszała jego oddech, ani przez chwilę nie traciła poczucia jego bliskości.

Po spacerze na zimnie hotel wydawał się wręcz sauną.

- Proszę przemyśleć to, co mówiłem, Margery. Jestem przekonany, że musiałaś widzieć coś, co może mieć znaczenie. Najmniejszy drobiazg może mi pomóc. Nazwiska ludzi, z którymi kontaktuje się MacLaren, może jakieś faktury na dziwną dostawę, wypłaty za niesprecyzowany czas pracy i tym podobne fakty. - Warren mówił tonem rzeczowym, błagalnie jednak patrząc jej w oczy.

Margery nie mogła oderwać wzroku od jego twarzy, szerokich ust z wąską górną wargą i zaskakująco pełną dolną, od prostego dużego nosa z drgającymi nozdrzami. Była to twarz stanowcza, o surowych rysach,

nie złagodzonych zaokrąglenia- mi. Trudno powiedzieć, że był przystojny, ale na pewno miał twarz człowieka twardego, rzetelnego i konsekwentnego.

W pewnej chwili odzyskała poczucie rzeczywistości, spuściła wzrok i powiedziała cicho:

- Tak, przemyśle to, co mówiłeś. - Natychmiast jednak poczuła wyrzuty sumienia i podnosząc oczy na Warrena dodała: - Ale jestem pewna, że nie ma tam nic podejrzanego.

- Tego nigdy się nie wie - odparł Warren. - Więc do jutra.

- Dobranoc.

Zobaczyła, że Warren wraca przez hol do drzwi wejściowych. Gdzie on idzie? Czy ma zamiar przekonywać jeszcze kogoś innego i prosić go o pomoc? A może idzie szpiegować Iana, czy nawet włamać się do jego laboratorium?

Margery otrząsnęła się z ponurych myśli. Może raczej idzie poszukać jakiejś samotnej kobiety - taki wielki, prawdziwy mężczyzna jak on. Bywają kobiety, które lubią ulegać takiej sile, wtedy same czują się małe, słabe i uległe. Tak, bywają takie kobiety, ale ona, Margery, do nich nie należy.

A gdzie jest Ian? Zapewne poszedł do domu, zadzwoni do niej później. Idąc na górę, znowu poczuła złość. Warren zepsuł im wieczór, Ian musi być wściekły, do tego ona wyszła tak wcześnie. Niech to licho porwie!

Kiedy zgasiła światło i wsunęła się pod koldrę, przypomniała sobie, jak zareagowała na dotyk ręki Warrena. Jasno uprzytomniła sobie, że nie była w stosunku do niego uczciwa. Zapomniała, czy może wolała nie pamiętać, o pewnym incydencie. Otóż w budynku laboratorium było pewne pomieszczenie, do którego nikomu nie wolno było wchodzić - mały pokój przylegający do gabinetu Iana, zawsze zamknięty na klucz. Przypomniała sobie o tym niemal z lękiem. Były tam próbki i całe wyposażenie potrzebne w badaniach naukowych. Pewnego dnia,

zupełnie niechący, zajrzała tam szukając Iana, który był z tego powodu bardzo wzburzony. Był to jedyny raz, kiedy zachował się wobec niej bardzo ostro, w sposób nieopanowany.

Czy właśnie o tym Warren Yeager chciałby wiedzieć?

Scandalous

3

Spojrzała na swój mały podróżny budzik.

Trzecia. Przewracała się z boku na bok nie mogąc zasnąć, a teraz okazuje się, że za cztery godziny musi wstać.

Rozmowa z Warrenem Yeagerem wyprowadziła ją z równowagi. Na dodatek, jak gdyby jeszcze nie dość miała kłopotów wdała się w bezsensowny flirt z Ianem. Czyżby zrobiła to z całym rozmysłem, wiedząc, że i tak nic z tego nie będzie? Przed wszystkim jednak nie widziała wyjścia z finansowych kłopotów laboratorium. A teraz doszła jeszcze do tego śmierć Jamie'ego i doszedł Warren Yeager, który próbuje wciągnąć ją w swoje dziwne poszukiwania nieznanego mikroba.

Uderzyła pięścią w poduszkę i jeszcze raz przewróciła się na drugi bok. W głowie miała zamęt. Nie mogła przestać myśleć o tamtym prowizorycznym laboratorium przylegającym do gabinetu Iana. Co on tam robił? Czy to możliwe, żeby eksperymentował na jakimś nowym, potencjalnie niebezpiecznym mikroorganizmie, który zainfekował i uśmiercił Jamie'ego Keitha?

Nie, wmawiała sobie. To niemożliwe, żeby Ian robił coś takiego. Był otwarty i szczerzy. Nie miał nic do ukrycia.

Z drugiej strony, zakładając, że Warren Yeager zapoznał się dobrze z przysłanym materiałem, powstaje pytanie, w jaki sposób Jamie Keith mógł się zarazić? Może zakradł się po coś do laboratorium, czego nie powinien był robić, albo stłukł probówkę w czasie sprzątanania i zapomniał – albo się bał – powiedzieć komuś o tym. Pamięta, że Ian nazwał go kiedyś chłopcem nieco ciężko myślącym.

Postanowiła, że rano poszuka Iana, żeby zobaczyć, w jakim jest nastroju. Potem zakopie się w papierkach i spróbuje napisać pierwszą

wersję sprawozdania dla rządu brytyjskiego. Przykre zadanie, ale musi to zrobić.

Spodziewała się, że spotka Iana w którymś laboratorium, ale okazało się, że był w swoim gabinecie. Było coś dziwnego w tym, że biurko było puste, Ian zaś siedział patrząc gdzieś przed siebie.

- Dzień dobry - powiedziała wesoło.

- O, Margery. Nie słyszałem, kiedy weszłaś. - Odniosła wrażenie, że z trudem się opanował.

- Przeszkadzam ci? - zapytała i odwróciła się z zamiarem wyjścia.

Uśmiechnął się i wyprostował.

- Ależ nie. Usiądź i dotrzyмай mi towarzystwa - powiedział. - Bardzo mi przykro z powodu wczorajszego wieczoru. Wiem, że powinienem był zadzwonić, ale nosiło mnie. Wsiadłem do samochodu i jeździłem bez celu do północy. Czy Yeager nudził cię jeszcze?

- Nie, zupełnie nie - skłamała. - Ależ on jest nieustępliwy, nie sądzisz? - Podniosła głowę. - Nie pracujesz?

Twarz Iana spowaźniała.

- Dzisiaj raczej schroniłem się tu przed tym Sherlockiem Holmesem z Atlanty.

Margery usiadła i założyła nogę na nogę. Jakie to niepodobne do Iana, żeby nie pracować, zwłaszcza teraz, kiedy liczy się każda minuta. Również jego uśmiech wydał się jak gdyby wymuszony. Yeager naprawdę wyprowadził go z równowagi.

- Przecież - zaczął Ian - każdy słyszał o Centrum Badań Kontrolnych nad Chorobami Zakaźnymi w Atlancie. Wykonują nadzwyczajną robotę. Nadzwyczajną. - Zamyślił się. - A Yeager jest tam czołową postacią. Mój Boże, wszystkie medyczne szkoły i instytucje zabijają się o jego wykłady.

- On ma wykłady? - Margery jakoś nie mogła sobie wyobrazić Warrena Yeagera stojącego przed audytorium i nie demonstrującego swojej intelektualnej wyższości. Sama była nauczycielem akademickim i

wiedziała, że utrzymanie uwagi słuchaczy wymaga ogromnej dyscypliny wewnętrznej i dbałości o własną postawę, a także aparycję. Nie wspominając już o szacunku dla osób siedzących przed wykładowcą. Czy Warren szanuje kogoś oprócz siebie?

- No, nie potrafię określić, ile zaproszeń Yeager przyjmuje - wyjaśniał Ian - jednak czytałem kilka fragmentów z jego wystąpień.

- Nie wyobrażam sobie, że mogłabym siedzieć i go słuchać. Okropność - powiedziała Margery zdecydowanym tonem.

Ian zaśmiał się cicho.

- Rzeczywiście, to okropny nudziarz. I jest tak potwornie zadufany w sobie.

- Skoro już o tym mówimy - Margery uznała, że moment jest właściwy - to czy uważasz, że Jamie Keith mógł zarazić się tu, w laboratorium?

- To niemożliwe - rzekł Ian pospiesznie.

- Ale doktor Yeager...

- To nie wchodzi w rachubę. - Ian ściągnął usta w gniewnym grymasie. - Gdyby ci mądrale z Centrum posiadli całą wiedzę, nie byłoby w ogóle chorób, nie sądzisz?

Margery nie potraktowała tego retorycznego pytania poważnie. Podniosła się z krzesła przyrzekając sobie w duchu, że porozmawia z Ianem później, kiedy będzie w lepszym nastroju.

- Gdzie się wybierasz? - zapytał zwykłym tonem. Przez moment wahała się, po czym odpowiedziała:

- Muszę popracować nad sprawozdaniem.

- Sprawozdanie - mruknął pod nosem. - Przypuszczam, że palisz się do tego, żeby jak najszybciej wysłać je do Londynu.

- Przepraszam, muszę.

Ian także podniósł się powoli.

- Odprowadzę cię do twojego pokoju.

- Może powinniśmy przemknąć się tam jak najciszej, żeby uniknąć spotkania z naszym Sherlockiem Holmesem? - powiedziała siląc się na nonszalancję.

- Dobry pomysł - odparł Ian i zdecydowanym ruchem ujął ją pod ramię. - Był tu dziś rano jeszcze przed Gwen. Uważam, że zachowuje się niesłychanie prowokująco.

Margery wyczuła nerwowe drżenie jego ręki.

- A może rzeczywiście powinieneś mu pozwolić, żeby obejrzał tu, co chce. Wiesz co? Puść obiegami pismo zalecając każdemu pracownikowi, żeby mu udzielał wszelkich informacji, o jakie poprosi.

- Dlaczego miałbym to robić? - Niebieskie oczy Iana patrzyły z lekka podejrziwie.

- Żeby się go jak najszybciej pozbyć.

- Szczerze mówiąc, najchętniej bym go stąd wyrzucił. Londyn powinien być mnie zawiadomić o jego przyjeździe.

- Istotnie, ktoś powinien był to zrobić.

- Ale nie moi brytyjscy koledzy. O, nie - stwierdził sarkastycznym tonem. - Niech Bóg broni, żeby splamili sobie czymś ręce. Ci cholerni Anglicy nie znoszą zamieszania. - Ian pieniał się ze złości.

- Więc zadzwonili do Atlanty i nasłali na ciebie Yeagera! - Nie wiedziała, jak go uspokoić.

- Przyjemność, którą można porównać do wizyty poborca podatkowego dobijającego się do drzwi.

- Powiedz mi po prostu, czy mogę ci w jakiś sposób pomóc.

Pochylił się i musnął ustami jej błady, gładki policzek.

- Powiem ci, dziewczyno, powiem.

Margery zabrała się do sprawozdania, ale nie mogła przestać myśleć o Ianie. Jaki się zrobił niespokojny od momentu pojawienia się Warrena! Myślała również o Warrenie, o jego przytłaczającej obecności i bijącej od niego energii, Ian i bez niego miał dość kłopotów, był za łagodny i za skromny, nie zasługiwał na to, co go spotkało.

Podsumowała kolumnę różnych zakupów do laboratorium dokonanych w październiku. Na dole kolumny umieściła gwiazdkę i obok niej zapis, że dwieście siedemdziesiąt sześć funtów wydano na nowe stołki laboratoryjne. Niepotrzebny wydatek, zważywszy, że już latem zeszłego roku laboratorium borykało się z problemami finansowymi. Zastanowiło ją, kto wydał zezwolenie na taki wydatek?

Zaczęła wertować faktury. Jest. Podpisał Sid White. Sid był zaledwie technikiem laboratoryjnym i wydawanie przez niego takich zezwoleń w ogóle nie wchodziło w rachubę. Z drugiej strony Margery wiedziała, że większość laboratoriów wydaje krocie na niepotrzebne zakupy. Naukowcy znani są z braku zainteresowania sprawami finansowymi. Przypuszczała, że dopóki będą istnieć laboratoria medyczne, nie zabraknie roboty i dla niej.

Ian był jednym z tych badaczy, których opinia bardzo by ucierpiała, gdyby trzeba było zwolnić pracujących w laboratorium techników i zaniknąć część pomieszczeń w budynku do chwili otrzymania nowych funduszy. Natomiast w jakimś innym ośrodku badań znany uczonego, którego nazwisko pojawia się w najnowszych numerach prasy fachowej, uważa, że może liczyć na dotacje niemal nieograniczone. Co tedy robi? Szasta pieniędzmi jak pijany marynarz i pewnego dnia odkrywa, że kurek z pieniędzmi został zakręcony. No i wtedy wzywa się kogoś takiego jak Margery...

Uderzała mechanicznie ołówkiem w leżącą przed nią kartkę. Dlaczego, dziwiła się, Ian czy inny naukowiec dopuszcza do tego, żeby niebezpieczne dla ludzi preparaty leżały, ot tak sobie, gdzieś w laboratorium, żeby taki Jamie Keith miał do nich dostęp? To się nie mieści w głowie. Margery dobrze wiedziała, jak wielkie znaczenie ma fakt, że mikroorganizm z laboratorium Iana nie został zidentyfikowany. Oznaczało to, że w Centrum w Atlancie nie widziano przedtem takiego mikroorganizmu, nie było także doniesień o nim w prasie medycznej ani informacji w pamięci komputera. Margery pomyślała, że Ian powinien

inaczej zareagować na przywiezioną przez Warrena wiadomość, okazać większe zdziwienie czy choćby zainteresowanie. Tymczasem nic z tych rzeczy. Był tylko zły z powodu przyjazdu Yeagera i jak najszybciej chciał się go pozbyć.

Czyżby Ian coś ukrywał? W tajemnicy pracował nad nową bakterią w nadziei na wybitcie się i uzyskanie dalszych dotacji?

Uświadomiła sobie, że jest tu zaledwie od trzech tygodni. Zdawało się jej, że dobrze poznała Iana, ale czy rzeczywiście?

W telefonie stojącym na jej biurku odezwał się brzęczyk interkomu. Przerwała rozmyślenia i podniosła słuchawkę.

Był to Ian.

- Posłuchaj, pytałaś, czy możesz coś dla mnie zrobić?

- Oczywiście.

- Oddałabyś mi wielką przysługę, gdybyś na jakiś czas zabrała stąd Yeagera.

Margery wyczuła w jego głosie napięcie. Co takiego zrobił Warren tym razem?

- Zgadzasz się? - pytał Ian głosem niemal histerycznym.

- Z radością. Ale gdzie mam go... To znaczy, co właściwie mam z nim zrobić?

- Nie wiem - bąknął Ian. - To jakiś golem czy kosmita. Nie śpi, nie je...

- Wezmę go na lunch - wpadła na pomysł. - Może uda mi się go namówić, żeby coś ze mną zjadł.

- Świetnie. Zdaję się na ciebie.

Margery wstała, uporządkowała biurko, następnie zamknęła na klucz w szafie wszystkie papiery. Nie chciała, żeby czytał je Ian, jeżeli wejdzie do jej pokoiku. Do diabła, pomyślała, czuję się jak Judasz.

Warren Yeager. Gdzie go szukać? I co za przykre zadanie, to zabranie go na lunch. O czym będą rozmawiać? O mikrobach? O Centrum w Atlancie? O nim samym?

Zatrzymała się w toalecie dla pań, żeby umyć, ręce i sprawdzić w lustrze swój wygląd. Była blada, wyglądała jak widmo. Zrobiła więc coś, czego nigdy nie robiła w pracy – nałożyła na policzki trochę różu i umalowała usta, następnie energicznie rozczesala włosy i ujęła je z tyłu w klamrę.

- Idiotka – mruknęła skończywszy. Co ją może obchodzić, jak wygląda w oczach Warrena Yeagera? Miała nadzieję, że może to odwróci jego uwagę od nieszczęsnej kostki? Wzruszyła ramionami i ruszyła długim korytarzem w poszukiwaniu tego nieznośnego mózgowca.

Znalazła go w jednym z laboratoriów eksperymentujących na zwierzętach. Krążył wokół klatki z kilkoma białymi szczurami, trzymając w rękę strzykawkę z cienką igłą do zastrzyków podskórnych.

- Przepraszam, doktorze – zaczęła przystanawszy blisko drzwi.

Żadnej odpowiedzi.

- Doktorze Yeager? – Czyżby był głuchy? – Warren!

- Hm? – Zrobił rozmaz krwi z igły na szkiełku mikroskopowym i dopiero wtedy podniósł wzrok.

- Ach, Margery – powiedział z roztargnionym uśmiechem i ponownie spojrzął na szkiełko.

- Czy jadłeś coś dzisiaj? – Dość dużo wiedziała o zapominalskich profesorach, ale nikt, jak się zdaje, nie potrafiłby zdystansować Warrena.

- Później, dziękuję.

Tego się nie spodziewała. Musiała zmienić taktykę.

- Myślałam, że może chciałbyś się rozejrzeć trochę po okolicy. Skoro jesteś w Szkocji...

- Naprawdę nie mam czasu.

- Ale moglibyśmy porozmawiać. Myślałam... myślałam o niektórych sprawach. – Jak ona nie znosiła kłamać!

Podniósł głowę nagłym ruchem, ich spojrzenia spotkały się. Można się go było przestraszyć. Promieniował taką energią i zdecydowaniem,

że Margery słowa uwieźły w gardle. Niesforny kosmyk jego falujących, ciemnych włosów opadł mu na wysokie czoło. Jest przystojny, uznała Margery i natychmiast odsunęła tę myśl. Warren szybkim ruchem odłożył szkiełko laboratoryjne, wyłączył lampkę oświetlającą mikroskop i wstał.

- Idę po płaszcz. Weźmiemy mój samochód.

Powstrzymała nagły niewytłumaczalny odruch, żeby stanąć na baczność.

- Świetnie, zaczekam przed budynkiem - powiedziała posyłając mu sztywny uśmiech.

Warren prowadził samochód po drodze pełnej zakrętów tak samo, jak robił wszystko, co go nie interesowało - to znaczy źle. Margery siedziała jak najbliżej drzwi, z przerażeniem obserwując potniejącą szybę, którą Warren przecierał kolistymi ruchami dłoni, żeby coś przez nią widzieć.

- Szkoda, że nie wzięłaś innego samochodu - powiedziała chwytając się nerwowo deski rozdzielczej, kiedy z nadmierną prędkością pokonywał zakręt na pagórku i zjechał na prawą stronę szosy.

Zauważył ten ruch.

- Przestraszyłem cię.

- Nie... to znaczy, trochę. Nigdy nie przepadałam za jazdą samochodem. - Pomyślała, że nie przepada od czasu tamtego wypadku, po którym na zawsze pozostał jej ból w kostce. Miała wtedy dziewięć lat.

- Rose twierdzi, że powinni odebrać mi prawo jazdy - powiedział jakby do siebie.

- Może rzeczywiście.

Kto to jest Rose? - zastanawiała się w myślach.

- Jesteś żonaty?

- Mój Boże, nie.

Margery zamilkła.

Zaparkowali samochód przed hotelem Dunclyde. Znajome kąty. Była zadowolona, że może wysiąść. Tymczasem Warren, czy przez uprzejmość, czy ze współczucia dla niej, obszedł dokoła samochód i ujął ją pod ramię, pomagając jej pokonać krawężnik. Jednak potknęła się lekko i chwyciła go za rękę dla utrzymania równowagi.

- Przepraszam - powiedział nie patrząc na nią.

Miała ochotę rzucić mu bez osłonek, że nie potrzebuje jego pomocy. Zamiast tego jednak zmusiła się do uśmiechu.

Usiedli przy stoliku w rogu ciemnej i ciepłej sali. Oprócz nich jadło już lunch kilku gości hotelowych i grupa pięciu irlandzkich biznesmenów, wyraźnie podchmielonych. Warren położył dłoń na karcie dań.

- Więc? - zagadnął. - Co przegapiłem w laboratorium?

Margery odchrząknęła.

- Najpierw zamówmy coś.

Otworzyła kartę ze spisem potraw i zaczęła czytać. Jednocześnie czuła na sobie jego pełne napięcia spojrzenie. Niespokojnie poruszyła się na krześle. Wreszcie podniosła wzrok.

- Nie przeglądasz menu?

- Zamów coś dla nas obojga.

- Ale nie wiem, co lubisz.

- Ja też nie wiem.

Po lekko uniesionych kącikach ust poznała, że kpi z samego siebie. Co za cud!

- Zapiekanka z mięsa z ziemniakami - powiedziała kelnerowi. - Dwa razy. Aha, ja jeszcze poproszę o herbatę.

Spojrzała na Warrena.

- Dla mnie proszę zaparzyć kawę. - W dalszym ciągu nie spuszczał z niej wzroku.

O co mu chodzi? Co on takiego widzi w mojej twarzy, zastanawiała się. Jak w oczach słynnego doktora Yeagera przedstawiała się skromna doradczyni w sprawach finansowych, przysłana z Minneapolis?

Uprzymomniła sobie, że niekiedy zwraca uwagę mężczyzn. Miała długie, smukłe ręce i nogi, ładną talię, ale zbyt mały biust. Twarz nie była najgorsza, z całą pewnością nie rzucająca się w oczy ani szczególnie pociągająca, ale przyjemna, w nordyckim typie, ujmująca i harmonijna. Czy Warren widzi te jej zalety, czy ograniczył się tylko do zauważenia ułomności?

Wydawało się, że wpatruje się w nią tak natarczywie nawet o tym nie wiedząc.

Czy nigdy nie usłyszał od matki, że jest to bardzo niegrzeczne, a nawet aroganckie?

- Stygnie ci kawa - powiedziała suchym tonem.

Wsywał do filiżanki dwie łyżeczki cukru i przez całą minutę mieszał ją mechanicznie.

- Czy... uczysz czegoś?

Potwierdziła skinieniem głowy.

- Rachunkowości. Specjalizuję się w rachunkowości instytucji medycznych i badawczo-naukowych.

- A szpitale?

- Przez jedno lato pracowałam w małym prywatnym szpitalu, porządkując księgowość. Ale przede wszystkim pracuję dla organizacji korzystających z różnych subwencji.

- Czy to jest praca z ramienia rządu?

- Nie całkiem. Jest to wąska specjalność. Pracuję na zamówienia sektora prywatnego, czasem także rządowego.

- Dużo podróżujesz?

Potrząsnęła głową przecząco.

- To jest pierwsza praca za granicą, jakiej się podjęłam. Bardzo mi to pochwaliło, że biuro w Londynie poprosiło właśnie o mój przyjazd.

- Wobec tego pewnie wzięłaś z uniwersytetu roczny urlop?
- Nie - tłumaczyła mu Margery. - Jestem tu tylko na czas przerwy semestralnej. Muszę wrócić. Mam dostać etat i nie chcę, żeby mi przepadł.

Pokiwał głową.

- Centrum w Atlancie mogłoby mieć dla ciebie stałą pracę, i to we wszystkich sekcjach.

- Naprawdę? - spytała zdumiona, że Warren w ogóle zauważa problemy tego rodzaju. Prawdopodobnie wiedział, co mówi. Wyobrażała sobie, że dotowana przez rząd instytucja rangi Centrum gospodarowała pieniędzmi swobodnie.

- Czy liczysz się z wydatkami, z możliwością strat?

Warren zaczął się śmiać.

- Ja? Nigdy. W ogóle o tym nie myślę, a właściwie myślę tylko, co powiedziałyby Rose. Ona jest w tych sprawach niezastąpiona.

Znowu ta Rose. Rozbudziło to w Margery ciekawość, a jednocześnie zdała sobie sprawę, że atmosfera przy ich stoliku uległa subtelnej zmianie. Warren siedział naprzeciw odprężony, jego głęboki śmiech przyjemnie dźwięczał jej w ucho. W pewnej chwili ze zdumieniem stwierdziła, że wszystko obok zaczyna pulsować życiem. Supełki tweedowej wełny, z której uszyta była marynarka Warrena, zapachy dochodzące z kuchni, błyski światła na ząbkach widelców w czasie jedzenia, wszystko to nagle zaistniało wyraźnie.

Głęboko wciągnęła powietrze w płuca, niemal spłoszona tajemną siłą, która sprawiła, że stała się tak niezwykle wrażliwa na otaczającą ją rzeczywistość.

Co to za siła? Gdzie jest jej źródło?

Przyniesiono zapiekankę, bardzo gorącą, pachnącą, bardzo brytyjską.

Kiedy Warren nareszcie zabrał się do jedzenia, robił wrażenie człowieka, który niemal przymierał głodem. Pochłoniął nie tylko całą

porcję, ale do tego koszyczek ciepłych bułeczek, obficie smarując je masłem. Nieco dziwne, ale ten widok sprawił Margery przyjemność. Mężczyzna jego wzrostu i wagi – oceniała go mniej więcej na dziewięćdziesiąt kilogramów – musi dobrze zjeść.

I znowu zadała sobie pytanie, skąd biorą się w niej takie myśli? Czyżby wrodzony instynkt macierzyński?

Warren siedział teraz wygodnie, dopijając swoją kawę, po czym skrzyżował ręce na piersi.

– Byłem głodny.

– Owszem, zauważyłam.

– Teraz – zaczął, ignorując jej sarkazm – powiedz mi, co widziałaś czy zapamiętałaś.

Kawałek kartofla utknął jej w gardle. Czyżby się istotnie spodziewała, że jedzeniem odwróci jego uwagę od właściwej, zajmującej go sprawy?

– Mówię o tym zarazku – niecierpliwiał się Warren. Margery szybko zdecydowała, że musi coś powiedzieć, bo inaczej Warren się zorientuje, że pod fałszywym pretekstem wyciągnęła go z laboratorium.

– Chodzi mi o pewne notatki – zaczęła z wahaniem. – Notatki, na które natknęłam się tuż po przybyciu.

– Notatki? – nalegał. – Masz na myśli zapiski albo wzory chemiczne? Co to były za notatki?

Przeszywał ją wzrokiem. Wydawało się, jak gdyby tym lunchem naładował swoje akumulatory i jego mózg zaczął pracować ze szczególną precyzją.

– Nie jestem pewna. – Szybko szukała w myślach właściwych słów.

– Natknęłam się na nie w gabinecie Iana.

– I co dalej?

– No, więc zaczęłam wertować te kartki – brnęła dalej – ale wtedy wszedł Ian i zabrał mi je. – Wersja dość bliska prawdy, pomyślała,

przypominając sobie gwałtowną reakcję Iana, kiedy zobaczył ją w tamtym małym pokoiku, swoim prywatnym laboratorium.

- Czy pamiętasz, co te notatki zawierały?

Potrząsnęła przecząco głową.

- A wiesz, gdzie je położył?

- Nie.

Dlaczego osłania Iana? Dlaczego nie mówi Warrenowi wszystkiego, co wie? Zamiast tego robi aluzje, wskazuje palcem na Iana, ale ciągle nie może się zdobyć na pełne zaufanie do Warrena. Ta ostrożność i powściągliwość doprowadziły do tego, że poczuła się okropnie. Warren zaś nadal nie spuszczał z niej wzroku. Wydawało się, że czyta w jej myślach.

Uświadomiła sobie z przeraźliwą jasnością, że od pierwszej chwili Warren nie wie, czemu budzi w niej lęk. Ona zaś, ilekroć była zmieszana bądź przyparta do muru, stawała się lodowato chłodna, zamykała się w sobie. Uznała, że nie lubi Warrena za jego twardą postawę, bezkompromisowość i arogancję. Rozmowa z nim wyczerpywała ją i peszyła.

Zastanawiała się, czy myślałaby tak samo, gdyby nie dręczyła jej ciągle świadomość ułomności, tego nieszczęsnego utkania?

Czuła się nieswojo i pragnęła tylko tego, żeby jak najszybciej wstać od stolika i schować się gdzieś daleko przed jego badawczym wzrokiem.

- I to wszystko? - zapytał Warren. - Widziałas jakieś notatki, oczywiście nie mając pojęcia czego dotyczą i... Ian ci je zabrał?

- Tak, mniej więcej tak - odparła zakłopotana.

- I odciągnęłaś mnie od roboty, żeby mi powiedzieć tylko tyle?

Margery wyprostowała się z godnością.

- Musiałaś przecież koniecznie coś zjeść.

- Obawiam się - powiedział Warren powoli i z namysłem - że będę musiał zadzwonić do kolegów w Londynie i poprosić o pomoc.

- Nie rozumiem...

- Będę musiał wszcząć zakrojoną na szeroką skalę kontrolę działalności laboratorium w Dunclyde. Oczywiście, dotyczy to także samego Iana MacLarena.

Margery siedziała słuchając słów Warrena spokojnie, w rzeczywistości jednak rozpaczliwy imperatyw moralny walczył w niej z chęcią osłonięcia Iana. Jak to się stało, że spadł na jej barki aż taki ciężar?

- Przypuszczam - ciągnął Warren - że inspekcja laboratorium Iana w stanie, w jakim się ono teraz znajduje, zniszczy jego dobrą opinię.

Margery nie dała po sobie poznać, co myśli.

- Byłoby z pewnością lepiej dla wszystkich, gdyby mi się udało spokojnie znaleźć tego mikroba - dokończył Warren.

- Lepiej przede wszystkim dla ciebie - rzuciła szorstko.

- Dla każdego.

Opuścił skrzyżowane na piersiach ręce i pochylił się nad stolikiem, wpatrując się w jej twarz tak intensywnie, jak gdyby była jakimś szczególnym okazem na szkiełku pod jednym z jego elektronowych mikroskopów.

- Nie wiem, jak to wyrazić - rzekł po chwili obojętnym tonem. - Kiepski ze mnie majster w doborze słów, ale znam się dobrze na tym, co robię, i mam szczególny zmysł, jeśli można to tak wyrazić, do wykrywania tajemnic. Można to nazwać, powiedzmy, darem. Chodzi o to, że Ian MacLaren, czuję to, coś ukrywa. Myślę, że źle ulokowałaś swoją lojalność.

Wstała tak nagle, że musiała dla utrzymania równowagi przytrzymać się stolika. Na jej szyi i policzkach pojawiły się czerwone plamy.

- Dlaczego nie powiesz jaśniej, co masz na myśli?

- Dobrze. Myślę, że twoje stosunki z MacLarenem powstrzymują cię od powiedzenia mi wszystkiego, co wiesz.

- Doktorze Yeager - odpowiedziała Margery, powoli cedząc słowa. Serce waliło jej jak oszalałe. - Nie jestem pionkiem w rękach żadnego mężczyzny, ani Iana, ani z całą pewnością pańskich.

Sięgnęła po płaszcz, odwróciła się i skierowała do wyjścia.

- Poczekaj, Margery - usłyszała za plecami głos Warrena. - Samochód. Muszę cię odwieźć.

Odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie. Dziękuję. Wezmę taksówkę, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Scandalous

4

Kiedy smukła sylwetka Margery Lundstrom zniknęła za drzwiami, Warren przygnębiony pokiwał głową. Jeszcze raz zachował się jak człowiek nieokrzesany. Odwieczna historia. Obojętne, co mówił i jakim tonem, zawsze kogoś obrażał, irytował albo zwyczajnie był źle rozumiany, zwłaszcza przez kobiety. Oczywiście z wyjątkiem Rose. Rose wykazywała zrozumienie dla jego bezpośredniości, nigdy nie miała mu jej za złe. No, ale Rose jako mężatka mogła mieć lepsze samopoczucie.

Natomiast z Margery... wszystko wyglądało inaczej. Była wspaniałą kobietą z tymi swoimi wyjątkowo jasnymi włosami o złotawym odcieniu, nieskazitelnie porcelanową karnacją i wyrazistymi, harmonijnymi rysami twarzy. Warren lubił kobiety eleganckie i inteligentne, takie jak Rose. Właściwie nie potrafiłby dokładnie powiedzieć, jaki typ kobiet najbardziej mu odpowiada, gdyż prawdę mówiąc jego kontakty z pićią odmienną ograniczały się do zawodowych. Bywało, że zastanawiał się, jak by to było, gdyby miał żonę i rodzinę tak jak jego brat Stan i nagle wyłoniłby się w laboratorium jakiś problem, albo ktoś z zagranicy przysłał prośbę o ekspertyzę, albo Rose zwróciłaby się o pomoc o jakiejś sprawie. Radości życia rodzinnego musiałyby wtedy zejść na drugi plan.

Margery Lundstrom, zadumał się siedząc samotnie naprzeciw opuszczonego przez nią krzesła. Skąd pochodzi? Aha, przypomniał sobie, z Minneapolis. Zastanawiał się, jak mogła wyglądać jej przeszłość – Margery nie miała na palcu obrączki. Bogowie, co się dzieje, nagle interesuje się obrączkami kobiet. Dotąd nie zwracał uwagi nawet na kolor oczu, a teraz zauważył, że Margery ma oczy niebieskie – wyraziste i jasnoniebieskie.

A ten jej chód, to lekkie utykanie. Większość ludzi nawet by tego nie zauważyła, ale Warren część stażu w klinikach spędził na ortopedii i takie rzeczy zauważał natychmiast. Pewnie niedawno skręciła kostkę. Zastanowiło go to...

Do diabła, dotąd wszystko układało się dobrze. Trzeba przyznać, że szukała go, zaproponowała lunch, mniejsza o ten naiwny pomysł, który miał jej ułatwić nakłonienie go do wyjścia. No i cóż on zrobił? Dał się namówić, ale zachował się jak gbur. Skutki tego mogą być katastrofalne, bo na pewno uraził jej ambicję. Margery naprawdę była mu potrzebna do ujawnienia tajemnicy MacLarena, bo dużo wiedziała o pracach laboratorium. A tymczasem on tak bezmyślnie ją do siebie zraził!

Dlaczego tak nerwowo zareagowała na jego uwagę? Było widoczne, że ją i MacLarena coś łączy. Zauważył to nawet on, choć rzadko zawracał sobie głowę podobnymi drobiazgami. Boże, jak bardzo pragnął, żeby zjawiała się tu Rose. Musi przekonać Margery, że powinna mu pomóc.

Poszedł do swojego pokoju, żeby zadzwonić do Grega Smythe'a. Jak na złość Greg wyszedł na lunch i Warren musiał czekać na telefon od niego. Nie znosił czekania. Rozsadzały go energia, natłok pytań i naukowych hipotez. Obecnie nie dawała mu spokoju myśl, że ten nowy, nie zidentyfikowany zarazek może właśnie teraz kogoś atakuje. Śmiercionośna bakteria może znowu zabić, jeżeli w porę nie wykryje miejsca, gdzie została wyhodowana, i nie unieszkodliwi jej.

Z rękami w przepastnych kieszeniach sportowego płaszcza przemierzał pokój wielkimi krokami. Był przekonany, że to tu, w Dunclyde, w laboratorium badań medycznych znajduje się źródło tego nowego złośliwego zabójcy, nie miał jednak na to, żadnych dowodów ani sposobu na ich uzyskanie. Co z tego, że był o tym przekonany? Sam instynkt niczego nie dowodzi. Do rozwikłania tej zagadki potrzebny był

czas, ale czas mógł oznaczać atak na kolejną ofiarę, jeszcze jedną niepotrzebną śmierć.

Zatrzymał się przy oknie. W lustrzanej powierzchni szyby jawiła mu się twarz Margery. Twarz urocza. Z przyjemnością na nią patrzył, kiedy siedzieli przy stoliku naprzeciw siebie. Mógł wtedy przyglądać się jej do woli, analizować szczegółów po szczególe i znowu obejmować wzrokiem całą jej delikatną urodę: duże niebieskie oczy, zgrabny prosty nos i wąską kształtną głowę. Zauważył też jej ładną szyję, proste, jasnozłociste lśniąco włosy ściągnięte do tyłu i ujęte w gustowną klamrę. Jej brązowe rzęsy u nasady miały także złotawy odcień, jak gdyby nakładała na nie złoty proszek szczoteczka do rzęs.

Dziwiąc się sam sobie znowu zastanawiał się, z jakiego Margery pochodzi środowiska. Jeszcze nigdy nie interesował się przeszłością żadnej kobiety. Nawet o Rose nic nie wiedział, kiedy i gdzie była urodzona, co robiła do czasu, gdy ją poznał. Kiedy odezwał się telefon, szybko podniósł słuchawkę.

- Greg?

- Tak. O co chodzi?

- O laboratorium. Mam rację, Greg.

W słuchawce zapadła cisza.

- Potrzebny nam jest dowód, Warren.

- Na litość boską, Greg! Wiem o tym i staram się go znaleźć. Mam jednak za mało czasu.

- Nigdy go nie ma za dużo.

- Są jakieś nowe przypadki?

- Jak dotąd, nie. Przeprowadziłem kontrolę we wszystkich szpitalach w Glasgow, teraz pojedziemy do Edynburga i do innych miast w Szkocji, potem do Londynu.

- To będzie trwać do sądnego dnia - przerwał Warren.

- Masz jakieś inne pomysły, jankesie?

- Przyślij do Duncllyde swoich ludzi, niech dokładnie przeczesaą tutejsze laboratorium. Jeśli okaże się to potrzebne, niech zwolnią laborantów na czas kontroli, żeby nie przeszkadzali.

- Nie mogę tego zrobić, Warren. Nie mam dowodów, które by to usprawiedliwiały. Nie zgłoszono dotąd nowych przypadków, ofiar twojego zarazka-wampira. Nie ma przypadków, nie ma problemu. Może się mylisz, może ten zarazek nie istnieje...

- Nie ma mowy o pomyłce, Greg. Widziałem go na własne oczy. W Atlancie mamy dokumentację.

- Sporządzoną w oparciu o jedną próbkę laboratoryjną. Nie stwierdziliście nawet złośliwości tej bakterii.

O tym, że Greg nie może nic zdziałać, Warren wiedział doskonale. Równie bezradne było Centrum. Potrzebny był dowód.

- Co to chciałem powiedzieć? - mówił Greg. - Chyba nie obraziłeś MacLarena?

- Tylko trochę - sucho odparł Warren. - Przeżyje.

- Jest naprawdę jednym z naszych najlepszych naukowców. Jak dotąd, nie ma żadnych dowodów świadczących o związku jego laboratorium z twoimi mikroorganizmami. Nie możemy...

- Rozumiem. To ja mam znaleźć tę nie istniejącą bakterię, i to bez zadawania komukolwiek pytań i bez zagładania za jakiegokolwiek drzwi. Tak, Greg?

- No... cóż - dobiegł go głos zmieszanego Grega. - Tak, bracie, jeżeli potrafisz.

Odłożywszy słuchawkę, Warren krążył po pokoju myśląc intensywnie. Ostatecznie, mógłby sprowokować do działań tego molocha, jakim jest jego instytucja, ale mogłoby to zabrać nie tylko tygodnie czy miesiące, ale nawet lata. Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej Stanów Zjednoczonych, któremu podporządkowane było Centrum w Atlancie, nie mogło sobie pozwolić na żaden ruch godzący w obce państwo. W przeciwieństwie więc do tego blefu, kiedy to odgrażał

się Margery, że „zawezwie kolegów” z Londynu, prawda była taka, że gdyby chciał uruchomić kanały urzędowe, musiałby przyznać na samym wstępie, że równa się to tłuczeniu głową o ścianę.

Zostawała mu tylko jedna droga – działanie na własną rękę, nieoficjalnie. Musiał znaleźć źródło, z którego pochodził zarazek, i to znaleźć je jak najszybciej, zanim ten bakcyl wymknie się niepostrzeżenie i zaatakuje znowu, Ian MacLaren coś ukrywa i Warren był zdecydowany rozwiązać tę zagadkę.

Zrobił wszystko, żeby zebrać jak najwięcej informacji dotyczących śmierci Jamie'ego Keitha. Nie miał wielkich nadziei na jakieś rewelacje wnoszące do tej sprawy coś istotnego.

Była to raczej praca polegająca na chodzeniu od osoby do osoby, ale trzeba ją było wykonać przed kolejną rozmową z MacLarenem czy Margery. Przede wszystkim skontaktował się z policjantami, którzy owej fatalnej nocy odebrali histeryczny telefon pani Doris.

- Wie pan – powiedział jeden z policjantów – łazienka wyglądała jak rzeźnia. Mój brat jest rzeźnikiem i powiem panu...

- Biedaczysko – dodał drugi. – Był tak wykrwawiony... wyglądał jak figura z marmuru. I ani śladu żadnej rany. Z początku myślałem, że to samobójstwo, ale nie znaleźliśmy nawet skaleczenia.

- Krwawa jatka – dorzucił kierowca karetki pogotowia. – Jeszcze czegoś podobnego nie widział. Przestraszyli mnie, głuptaka, tom założył rękawiczki i maskę. Jak przykazali, lichu nie śpi.

Doktor Carlisle, lekarz, który robił obdukcję zwłok, był korpulentnym starszym panem, pełnym godności, z popękkanymi żyłkami na policzkach. Był bardzo inteligentny.

- Zetknąłem się z takim przypadkiem po raz pierwszy w życiu. Staralem się nawet dowiedzieć, czy Keith był może w tropikach lub gdzieś za granicą, Próbowałem na pobranej od niego krwi we własnym zakresie zrobić posiew. Przejrzałem książki lekarskie, jakie sam

posiadam, i wszystkie, do których mogłem mieć dostęp. Dlatego właśnie zatelefonowałem do Londynu. Niech mi pan powie, doktorze, co to było? Jaka może być diagnoza?

- Jeszcze nie wiemy - wyznał Warren. - Pracujemy nad tym.
- Zdaje się, że nie zgłoszono nowych przypadków?
- Jak dotąd, nie.
- Czy spodziewa się pan, że mogą się pojawić?
- Na razie niewiele mogę powiedzieć - odparł Warren wymijająco.
- Oczywiście - zgodził się doktor Carlisle.

Warren wrócił do laboratorium i zaczął wypytywać laborantów o Jamie'ego Keitha - jak się zachowywał, w jakich godzinach pracował. Pytał o wszystko, co przyszło mu do głowy. Nie wyniknęło z tych rozmów nic istotnego. Nie pominął nawet opiekuna zwierząt, którego skłonił do sporządzenia pisemnej listy przyczyn padnięcia jego podopiecznych w ciągu ostatniego miesiąca. Następnie poszedł do gabinetu Iana MacLarena, skąd zadzwonił do firmy dostarczającej zwierzęta do laboratorium z pytaniem o przeciętną śmiertelność zwierząt. Nie przekraczała normy.

MacLaren wszedł do gabinetu w momencie, kiedy Warren kończył już rozmowę.

- Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu - powiedział Warren wskazując na słuchawkę. - Centrum uiszcza rachunki za każdą dłuższą rozmowę.

- Wszystko w porządku, doktorze - niemal przymilnym tonem odparł Ian. - Znalazł pan już coś?

Warren miał ochotę zazgrzytać zębami z wściekłości. Ma oto przed sobą człowieka, który mógłby udzielić mu odpowiedzi na wszystkie pytania. Był nawet taki jeden moment, kiedy miał nieprzepartą ochotę pochwyć MacLarena i potrząsać nim dotąd, aż wyzna wszystko. Chciał krzyknąć, tłuc nim o ścianę, zamiast tego jednak zdusił w sobie złość i powiedział spokojnie:

- Jeszcze nie.

- Jestem przekonany, że Keith był odosobnionym, bardzo rzadkim okazem szczególnego organizmu. Nie można także wykluczyć wyjątkowo silnej reakcji alergicznej. U szczurów stwierdzono..

- Tak, możliwe - mruknął Warren pod nosem, pragnąc jedynie wyjść z tego gabinetu i znaleźć się jak najdalej od układowego, uprzedzająco grzecznego MacLarena.

- Nie sprawdził pan przypadkiem, czy Keith zażywał jakieś lekarstwa? - zapytał Ian.

Warren szybko skierował spojrzenie na MacLarena, zderzając się z jego wzrokiem. Zmarszczył brwi.

- Nie - powiedział - ale może pan być pewny, że to zrobię.

Po chwili wsiadł do samochodu i ruszył w krótką drogę dzielącą laboratorium od Dunclyde. Było ciemno choć oko wykol. Przednia szyba zamarała bez przerwy, szron osadzający się na słupkach ogrodzeń i gałęziach drzew tworzył fantastyczne, tajemnicze kształty. Sceneria ta przywołała mu na pamięć Sherlocka Holmesa i jego pogon za psem Baskerville'ow. On sam także tropił groźnego potwora, jechał w pogoni za nim wśród bagiennych mgieł. Miał nadzieję, że i jemu los będzie sprzyjać.

W saloniku pani Doris świeciło się, więc Warren mógł przedstawić właścicielce swą prośbę. Zgodziła się bez oporów.

- Oczywiście, panie doktorze. Może pan obejrzeć wszystko, co zostało po Jamiem. Biedaczyna nie miał tego zbyt wiele.

Większość kartonowych pudeł Warren przerzucił szybko. Zainteresowało go tylko jedno, zawierające papiery Keitha. Były tam rachunki, listy i potwierdzenia wpłat. Szukał w nich rachunków wystawionych za wizyty lekarskie. Mógłby wtedy zapytać lekarza leczącego Keitha, czy zażywał jakieś lekarstwa. Nie wydawało się prawdopodobne, żeby jakaś recepta mogła spowodować tak

dramatyczne krwawienie, ale spokojna i celnie wymierzona drwina MacLarena mocno go dotknęła. Zirykowało go, że wcześniej nie pomyślał o sprawdzeniu i tej okoliczności.

Przerzuciwszy całą stertę papierów, zniechęcony przysiadł na piętach. Nic. Absolutnie nic. Żadnego rachunku, zawiadomienia o wyznaczonej wizycie lekarskiej, żadnego potwierdzenia, że Keith był kiedykolwiek z wizytą u lekarza. Cholera. Nie miał czasu, żeby dalej iść tym tropem.

Po wyjściu z pensjonatu pani Doris poczuł się głodny. Była szósta trzydzieści, za wcześnie na kolację, za późno na podwieczorek. W jasno oświetlonym sklepie kupił smażoną rybę z frytkami, z którą wrócił do samochodu. Zawinięto mu to danie niezbyt wytwornie, ale frytki były chrupiące i gorące, skropione octem, i chociaż papier szybko przesiąkł tłuszczem, ryba była o wiele lepsza aniżeli elegancko podawana w restauracjach czy na pokładzie samolotu. Miał za sobą męczący dzień. Chciałby wrócić już do hotelu i usiąść w przytulnej jadalni, która wkrótce wypełni się ludźmi, ale to nie wchodziło w grę. Z przyjemnością napiłby się dobrej kawy i wychylił szklaneczkę łagodnej whisky z kanciastej butelki stojącej na półce w barze hotelowym. Chciałby także spotkać tam Margery i wysączyć z nią bez pośpiechu drinka, a nawet dwa, i potem zjeść wspólnie kolację. Zastanowił się, czy znowu umówiła się z Ianem? Czy z nim flirtowała? Uśmiechała się do niego? Czy go dotykała, może nawet całowała? Czy to możliwe, żeby byli kochankami?

Szybko zrezygnował z tych rozmyślań. Jakie to w końcu ma znaczenie? Może powinien był wziąć z sobą Rose. Ona z pewnością wiedziałaby, jak sobie radzić w tej trudnej sytuacji, wiedziałaby także, czy Margery i MacLaren mają romans.

Przed powrotem do hotelu i odszukaniem Margery miał jeszcze coś do załatwienia. Podjechał pod posterunek policji, zaparkował samochód i wygramolił się z niego powoli i niezgrabnie. Na dworze było ciemno,

zimno i mokro. Przypuszczał, że znowu wieje wiatr od Morza Północnego, niosąc z sobą z obszaru arktycznego zamarzającą mżawkę. Dunclde położone było w głębi kraju, daleko od morza, mimo to docierał tu arktyczny chłód.

Policjanci byli sympatyczni i uczynni, poczęstowali go filiżanką kawy.

- Keith? Zaraz zobaczymy. Hej, Arnie, czy mamy coś, co należało do tego faceta?

- Ubranie i to, co miał w kieszeni - odparł Arnie. - Nic więcej.

Warren przejrzał rzeczy należące do Keitha, starannie ułożone w plastikowej torbie oznaczonej karteczką. Keith James Osborn. Nic. Kilka szylingów, łańcuszek z kluczami, brudna chusteczka do nosa z plamkami krwi.

Warren podziękował policjantom, opuścił posterunek i jeszcze raz wszedł do wynajętego samochodu. Aż do następnego dnia już nic nie mógł zrobić. Jak długo można tak się wałęsać i zadawać pytania z błyskiem nadziei, że może jednak szczęście dopisze? Centrum nie zgodzi się na zbytne przeciąganie poszukiwań, zwłaszcza jeżeli nie będzie nowych przypadków. Warren jednak uparcie wierzył, że właśnie tu, w Dunclde, jest źródło niebezpieczeństwa. Czuł to i nie miał zamiaru zrezygnować z poszukiwań.

Zmęczony włączył stacyjkę. Poza hotelem nie było gdzie jechać. Może jednak natknie się na Margery. Nie opuszczała jego myśli nawet na chwilę.

Nie było jej ani w jadalni, ani w barze. Miał zbyt napięte nerwy, żeby zapytać recepcjonistę, czy jest w swoim pokoju. Zresztą co mógłby zrobić, nawet gdyby tam była? Stał przy wypolerowanym do połysku, wysłużonym barze i zamówił whisky. Była wręcz aksamitna, gładko przechodziła przez gardło. Szybko poczuł miłą miękkość w kolanach. Można jednak znaleźć w Szkocji jakąś pociechę, nawet zimą.

Stojący obok niego przy barze mężczyzna, Anglik z popękanymi żyłkami na policzkach, nawiązał z nim rozmowę. Przyjemnie było zwyczajem wyspiarzy opierać się o barierkę okalającą bufet, saczyć kolejną whisky i gawędzić z tym kupcem.

O jedenastej bar zamykano. Warren uściskał dłoń Anglikowi i poszedł w kierunku schodów. Uświadomił sobie nagle, że o tej porze Margery powinna być w swoim pokoju.

Czyż nie była to świetna pora, żeby stanąć przed nią i jeszcze raz spróbować namówić ją do współpracy? Będą tylko we dwoje i Margery będzie mogła skupić całą uwagę na tym, co do niej mówi. Nie ma wątpliwości, że jeśli zrozumie dokładnie, o co mu chodzi, nie odmówi pomocy. Mógłby ją przeprosin za tę uwagę przy lunchu. Spróbuje ją oczarować. Rose mówiła mu, że jeśli chce, potrafi być czarujący. No cóż, spróbuje. Whisky zawsze dodaje kurażu. Czuł jej ciepło w całym ciele, był odprężony.

Wiedział, w którym pokoju mieszka, przechodził obok jej drzwi wiele razy. Stanał przed nimi i już podnosił rękę, żeby zapukać, gdy nagle to, co zamierza, wydało mu się szaleństwem. On, wielki chłop w nieświeżym, podniszczonym ubraniu, ośmiela się późnym wieczorem niepokoić piękną damę, dla której jest kimś właściwie obcym. Przy jego braku ogłady i doświadczenia, z pewnością ledwo coś wyduka, a nawet może ją znowu czymś obrazi. Nie jest czarujący, o nie! Ciagle był tak samo nieśmiały, jak kiedyś w szkole. Powinien był zdobyć więcej ogłady towarzyskiej, ale nigdy nie miał na to czasu.

Co miałby jej powiedzieć? Opuścił rękę i prawie odwrócił się, żeby odejść, kiedy w korytarzu pojawiła się jakaś para. Mijając go, mężczyzna i kobieta uprzejmie skinęli głowami i poszli dalej do swojego pokoju. Pomyślał, że wygląda z pewnością śmiesznie stojąc tak przed zamkniętymi drzwiami i że musi wobec tego zapukać. Bardzo delikatnie.

Przez kilka chwil niespokojnie przestępował z nogi na nogę. Zapukał jeszcze raz, tym razem głośniej. Pewnie już śpi, pomyślał speszony. Albo nie ma jej w pokoju. Może lepiej, żeby tak było?

Kiedy po drugiej stronie drzwi usłyszał jednak szmer, serce zabiło mu mocniej.

- Kto tam? - dobiegł jej przytłumiony głos.

- Warren. Warren Yeager - powiedział, czując się bardzo głupio z tym mówieniem do zamkniętych drzwi.

- Doktor Yeager? - Głos miała zaspany, cichy, lekko zachrypnięty.

- Czy mogę wejść na chwilę?

- Um... Czy nie można z tym poczekać do rana?

- Nie... Margery, proszę. Czy mogę ci coś powiedzieć?

Przechodził tortury czując, jak się waha, nie mógł się jednak zdobyć na to, aby odejść.

- Dobrze. Ale proszę, tylko na minutę.

Po kilku chwilach otworzyła drzwi. Miała na sobie cienki, jasnoniebieski szlafrok z połyskującego materiału. Z rozpuszczonymi włosami, wyszcotkowanymi, długimi i lśniąco, z zaspanymi oczami wyglądała jak dziecko. Kiedy się wśliznął do jej pokoju, doznał uczucia, że przekracza jakiś, ważny próg, że podjął niezwykle ważną decyzję, taką, która może w pewien sposób odmienić jego życie. Tymczasem cóż, był to tylko hotelowy pokój.

- Bardzo przepraszam, że cię obudziłem - zaczął nieśmiało.

- Istotnie, spałam.

Stała przed nim wyprostowana, smukła i bosa, tak cudownie eteryczna jak jakaś zjawa.

- Co się stało?

Czuł się okropnie, taki wielki i niezdarny, zupełnie nie na miejscu. Jeśli się poruszy, z pewnością coś stłucze. Jeżeli coś powie, będzie to na pewno coś niestosownego. Przez głowę przelatywały mu różne słowa, tysiące, ale wszystkie więzły w gardle. Nie mógł oderwać od niej oczu.

Czuł się odurzony, oderwany od rzeczywistości, zawieszony w próżni, zafascynowany. Czyżby to było tylko działanie whisky?

Jednak część jego mózgu pracowała normalnie, dzięki czemu zdołał dostrzec otwartą walizkę z koronką zwisającą przez jej brzeg, szczotkę do włosów na toalecie i dającą słabe światło lampkę przy podwójnym łóżku. Reszta pokoju pogrążona była w ciemnościach. Dziwiła go ta własna, a jednak w jakiś sposób oderwana od niego świadomość, pozwalająca zaobserwować zarówno światła i cienie, jak i delikatny zapach, którym przesiąknięty był pokój, a także zarejestrować ciepło bijące od grzejnika ustawionego przy uchylonych drzwiach bielizniarki w ścianie. Poczuł się nagle osamotniony w tym mrocznym pokoju, jak ktoś uwięziony w miejscu, które do niego nie należy.

Z trudem otrząsnął się i odzyskał swój normalny sposób bycia, który był maską zbyt często używaną, by ją zrzucić. W końcu wyjawiał swoją prośbę.

- Musisz mi pomóc.

Margery odruchowo, jak gdyby odepchnięta siłą jego głosu, cofnęła się o kilka kroków.

- Muszę? - zapytała i Warren już wiedział, że znowu postąpił niestosownie. Zamiast prosić, rozkazywał. Czuł na sobie przenikliwe spojrzenie jej chłodnych, inteligentnych oczu, które go mroziło i rozpalało zarazem.

- Chciałem powiedzieć, że jestem w rozpacz. Nie mam się do kogo zwrócić. Potrzebuję twojej pomocy, żeby wykryć, co robi MacLaren.

- Ależ Ian nic takiego nie robi - powiedziała składając ręce na piersi. Rękaw szlafroka, który przy tym geście opadł, odsłonił jej szczupłą rękę aż po łokieć.

Umknął spojrzeniem w bok, lecz Margery odwróciła się i odeszła kilka kroków w głąb pokoju, jak gdyby chciała się znaleźć jak najdalej od niego. Stała odwrócona do niego plecami.

- Nie jest to żaden zbieg okoliczności, że Keith pracował w laboratorium i umarł na skutek zakażenia nie znanym dotąd mikroblem - odezwał się wreszcie. Mówił powoli, z namysłem, modląc się w duchu, żeby jego ton był przekonujący.

Szybkim ruchem odwróciła się do niego twarzą.

- Skąd masz tę pewność? Znalazłeś dowód?

Warren skinął głową.

- Odizolowałem ten mikroorganizm w moim laboratorium w Atlancie. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Przez jakieś niedopatrzenie znowu da znać o sobie, to tylko kwestia czasu. - Urwał na chwilę, szukając odpowiednich słów. - Wiem, że nie zawsze mam właściwe podejście do różnych spraw. Wiem także, że można by Odnieść wrażenie, że za moją misją w Duncllyde stoi autorytet Londynu i mojego Centrum. W rzeczywistości jednak jestem zdany na siebie. Londyn nie może się zdecydować, czy zaangażować w się w tę sprawę, a moje ministerstwo także nie może wszcząć oficjalnych kroków, nie narażając się na sankcje ze strony rządu brytyjskiego. - Wyciągnął do niej rękę niemal w błagalnym geście. - Jestem zdany sam na siebie, Margery, i dopóki mi ktoś nie pomoże, będę tkwił w ślepej uliczce.

Stała wpatrując się w niego tak długo, że poczuł się nieswojo. Włosy opadające jej na ramiona wyglądały jak złocista zasłona. Palcami ścisnęła łokcie tak mocno, że opuszki były zupełnie białe. Poczuł nagle desperackie pragnienie, żeby ją chwycić w ramiona. Wyobraził sobie, jaka byłaby miękka w dotyku, ciepła i pachnąca..

Boże, o czym on myśli!

Miał wrażenie, że upłynęły wieki, zanim Margery odwróciła twarz do światła i usłyszał jej głos.

- Jest coś... - zaczęła z wahaniem - coś, czego ci nie powiedziałam.

Obserwował ją uważnie, zdając sobie sprawę, jaką toczy z sobą walkę. To oczywiście, że Ian był jej na tyle bliski, że poczuwała się do

pewnej lojalności. Gdyby było inaczej, Warren straciłby do niej szacunek.

- Jest tam pokoik, takie bardzo małe pomieszczenie. - Podeszła do okna, wyjrzała na dwór, po czym odwróciła się i już zdecydowanym głosem ciągnęła: - Ten pokoik przylega do gabinetu Iana i zwykle jest zamknięty na klucz. Kiedyś jednak był otwarty, a ja szukałam Iana. - Zrobiła głęboki wdech. - Był wściekły, kiedy mnie tam zobaczył.

Spotkali się oczami i Warren wiedział, ile kosztowało ją to wyznanie. Nienawidził siebie za to, że bez skrupułów naraził ją na takie przeżycia.

- Co było w tym pomieszczeniu? - zapytał cicho.

- Probówki, mikroskop, piec, mała lodówka. Pomyślałam, że może Ian przechowuje tam jakieś rzeczy, albo urządził sobie małe laboratorium na własny użytek. Nie wiem, co o tym wszystkim myśleć...

- Mogłabyś się tam dostać jeszcze raz?

- Nie jestem pewna. Tylko wtedy, ten jeden raz, drzwi były otwarte...

- Nie tylko wtedy - powiedział cicho.

- Mój Boże - wyszeptała. - Jamie Keith.

- Tak. Właśnie.

Przez chwilę oboje milczeli. Warren czuł, jak narasta w nim pewność, że Keith zaraził się w laboratorium. Jego mózg pracował gorączkowo, układając ostatnie elementy dramatycznej łamigłówki.

- No, tak. Mył podłogi i w ogóle... sprzątał.

- Oznacza to, że Ian pracuje nocami... w swoim prywatnym laboratorium. Oczywiście mogło się zdarzyć, że kiedyś wyszedł i nie zamknął drzwi na klucz, jak tamtego dnia, kiedy zobaczyłaś to laboratorium.

Warren zaczął przemierzać pokój niespokojnym krokiem. Brodę wsparł na dłoni, głowę wcisnął w ramiona.

- Przypuśćmy, że pracuje co noc...

- To zbyt pochopne przypuszczenie.

- Nie. Absolutnie nie - powiedział podniecony. - Musisz zrozumieć. Teraz, kiedy zdarzył się ten wypadek, Ian musi utrzymywać to, co robi, w jeszcze większym sekrecie. On teraz musi pracować nocami.

Margery potrząsnęła głową.

- Powiedzmy, że masz rację. To także oznacza, że będzie jeszcze bardziej uważał, żeby nie zapomnieć zamknąć drzwi. Przedtem nie musiał być taki uważny.

W głowie Warrena trwała galopada myśli.

- Powiedziałaś, że sprzętu było tam niewiele.

- Tak. W porównaniu z normalnym wyposażeniem laboratoriów.

- W takim razie nie może tam wykonywać wszystkiego, prawda?

Warren nie oczekiwał odpowiedzi.

Margery zmarszczyła brwi i także zaczęła krążyć po pokoju.

- Co sugerujesz?

- Że zakradniesz się tam, kiedy Ian wyjdzie gdzieś na teren budynku.

- W... nocy?

- Tak byłoby najlepiej.

- Nie mogę. To jest po prostu nie w porządku. Do tego zbliża się mój wyjazd...

- Musisz to zrobić zaraz, Margery - powiedział cicho i błagalnie. - Jeśli okaże się, że tam nic nie ma, to w porządku, ale jeżeli coś będzie, opłaci się spróbować. Margery, zrobisz to? Wolałbym pójść tam sam, ale to wykluczone. Nie mogę wejść do budynku. Ty możesz. Musisz. Ocaliłabyś ludzkość od wielu cierpień.

- Warren - odezwała się Margery drżącym głosem, - To jest szalony pomysł. Co będzie, jeżeli wejdę tam, a drzwi do tego pokoiku będą zamknięte?

- Możesz je wyważyć. Muszą mieć słaby zamek, nie może się rzucać w oczy.

- Naprawdę myślisz o wszystkim.

Warren sięgnął do kieszeni w spodniach i wyciągnął z niej wojskowy nóż, jakiego używają w szwajcarskiej armii.

- Weź go. Wystarczy wsunąć to długie ostrze między zamek a framugę drzwi. Jeżeli trochę szarpniesz, zamek się podda.

- On się zorientuje, że ktoś tam był - powiedziała bez przekonania w głosie.

- Co to ma za znaczenie, jeżeli będziesz miała mikroba?

Stała patrząc na niego, wreszcie wyciągnęła rękę i wzięła nóż. Pod wpływem jej dotyku Warrena przebiegł dreszcz. Coś w nim drgnęło, jakby niejasna tęsknota.

- Będę czekał w swoim pokoju. Bardzo cię proszę, daj mi znać, co znalazłaś. Jeszcze dziś.

- Widzę, że naprawdę mam się włamać do laboratorium, tak?

Warren wyczuł w jej głosie strach i poczucie winy. Nie miało to już żadnego znaczenia. Najważniejsze, że ją przekonał i wkrótce dowie się, co ukrywa MacLaren.

- Jest kilka rzeczy, których można się spodziewać i trzeba się mieć na baczności. Mam w pokoju specjalny pojemnik.

Myślami wybiegał naprzód, uprzedzał pytania i dawał na nie odpowiedzi.

- To znaczy, że to jest niebezpieczne? - Głos Margery, mimo brzmiącej w nim obawy, był zdecydowany. Otrzeźwił Warrena, już niecierpliwie oczekującego wyników zaplanowanej akcji.

- Nie, nie, jeżeli zachowasz ostrożność. Po prostu staraj się niczego nie rozlać ani nie wdychaj głęboko powietrza.

- Sądysz, że Jamie mógł się zarazić w ten sposób?

- Niewykluczone. Jakoś musiał się zetknąć z tym mikroblem. Szukaj co się da, próbek w lodówce, szkiełek laboratoryjnych, może zaplombowanych pojemników. - Urwał. - Idę po to pudełko. Za chwilę wracam.

Szybko poszedł do swojego pokoju i zabrał pudełko zapewniające bezpieczne przechowywanie materiałów, które w Atlancie automatycznie zapakował do walizki, na wypadek, gdyby miał coś przewieźć. Ze zrozumiałych powodów jego także obowiązywały przepisy dotyczące pakowania i oznaczania potencjalnie niebezpiecznych mikroorganizmów. Pojemnik musiał być tak mocny, żeby wytrzymać nawet katastrofę samolotu – najczarniejszy z możliwych scenariuszy – gdyż nie można było dopuścić do tego, żeby śmiertelnie niebezpieczne choroby rozprzestrzeniły się po świecie.

Kiedy zapukał lekko do jej drzwi, otworzyła natychmiast. Miała na sobie ciemne spodnie i właśnie upychała w nie jasno-żółtą, wełnianą koszulę. Po jego wyjściu zrzuciła z siebie szlafrok. Myśląc o tym, Warren widział w wyobraźni jej gładką, jasną skórę, nagie ciało, szczupłe ramiona, długie nogi...

- Włóż tu ostrożnie wszystko, co znajdziesz. Pamiętaj, ostrożnie. Potem zapakuję to odpowiednio i polecę z tym do Atlanty. - Mówił głosem tak zachrypniętym z emocji, że sam słyszał w nim ostre i rozkazujące nutki.

Margery, zdaje się, nie zwracała na to uwagi. Włożyła płaszcz i zapinała guziki. W przypiływie nagłego poczucia solidarności Warren zapytał:

- Może chciałabyś, żebym cię tam podwiózł? Mogłbym poczekać na dworze.

Spojrzała na niego z wysoko uniesioną głową i gorzkim uśmiechem na ustach.

- Nie. Byłoby to zbyt niebezpieczne. Gdyby tak ktoś nas zobaczył...

- Właśnie. Co powiesz, kiedy kogoś spotkasz? Musieli już pewnie zatrudnić nocnego woźnego...

- Mam dużo pracy - opowiedziała wzruszając ramionami. - Pojutrze wyjeżdżam. Muszę dokończyć sprawozdanie.

- Tak. To brzmi wiarygodnie.

Włożyła pojemnik do pustej torby.

- Jeżeli nie sforsuję drzwi, będzie to tylko strata czasu.

- Otworzysz je. Musisz otworzyć - powiedział Warren, zanim zdążył się ugryźć w język.

Ale Margery jedynie spojrzała na niego w dziwny sposób, zarzuciła pasek torby na ramię i ruszyła w kierunku drzwi. Wydawała się taka bezbronna i samotna, że Warren nagle się o nią zląkł. Co będzie, jeżeli... Nie. Nic złego nie może się stać.

- Margery - wyrwało mu się ku własnemu zdziwieniu. Odwróciła się z pytaniem w oczach. Zmieszało go jej otwarte, szczere spojrzenie. Niezręcznie pochylił swoją dużą postać.

- Dziękuję ci, że to robisz. Ja naprawdę...

Słowa uwięzły mu w gardle, przestępował z nogi na nogę zawstydzony, że po raz pierwszy musiał poprosić, żeby ktoś coś dla niego zrobił.

- Zdaje się, że tak samo zależy mi na tym, żeby się dowiedzieć, co jest w tym laboratorium, jak tobie - powiedziała szeptem i zniknęła w ciemnym korytarzu.

Warren wrócił do swojego pokoju i osunął się na krzesło wyczerpany. Czuł poniekąd ulgę, że w jego wysiłkach nastąpił zwrot, był jednak pełen niepokoju o Margery. Głęboko wciągnął powietrze w płuca i wytarł spoconą ze zdenerwowania górną wargę. Margery podjęła się tego zadania. Miał szczęście, czy może to ona zaczęła mieć wątpliwości co do Iana? Cokolwiek nią kierowało, dała się wreszcie przekonać i tylko to jest ważne. Czy naprawdę tylko to? Czy uczciwie było wysłać Margery do laboratorium w ciemną, zimną styczniową noc, żeby wykonała dla niego nikczemne zadanie?

Oparł głowę na rękach i przegarniał palcami niesforne włosy. Czy naprawdę jest potworem, za jakiego miało go tylu ludzi, czy jedynie mężczyzną, który wykonuje swoje obowiązki? Pytanie to bez przerwy

tlukło mu się po głowie, czuł resztki zamroczenia po whisky. Obowiązki, Margery.

Rose. Powinien zadzwonić do Rose. Rzucił okiem na zegarek. Prawie północ. Oznaczało to, że w Atlancie jest szósta po południu. Rose powinna być jeszcze w zakładzie, szczególnie w czasie jego nieobecności. Chciał jej powiedzieć o kilku sprawach. Mógłby z tym co prawda poczekać do jutra, do powrotu, ale miał ogromną ochotę na rozmowę. Potrzebował wsparcia moralnego. Rose miała tak jasny umysł, od razu oceniłaby, czy dobrze zrobił wysyłając Margery w taką misję. Tu zreflektował się. Może lepiej nie wspominać jej o Margery. Ale dlaczego? Ponieważ... ponieważ obarczanie jej takim ciężarem po fakcie byłoby zbyt okrutne. Co mogłaby zrobić? Już za późno, żeby zatrzymać Margery.

Rose naturalnie była w zakładzie i podniosła słuchawkę po dwóch sygnałach.

- Warren? Warren! Co słyszać?

Dobrze było słyszeć jej tak dobrze znany głos.

- Jutro wracam...

- Którym samolotem? Wyjadę po ciebie.

- Nie, nie. Jeszcze nie jestem pewny. Wezmę taksówkę. Zdobyłem trochę informacji. Przywiozę z sobą próbki. Dobrze, przygotuj laboratorium na pojutrze.

Wyobrażał sobie, jak Rose bierze swój starannie zatemperowany ołówek i dokładnie wszystko zapisuje,

- I jeszcze jedno, Rose. Zaczynj sprawdzać przesyłki heparyny z Laboratorium Analiz w Duncllyde.

- Skąd? - usłyszał ostry ton w jej pytaniu.

- Laboratorium analiz lekarskich, tu, w Duncllyde. Zainteresuj się, czy nie było przypadków odbiegającego od normy krwawienia u pacjentów biorących heparynę, szczególnie na Wyspach Brytyjskich.

- Zaraz się do tego wezmę.

- Dobrze. A co się w ogóle dzieje?

- Nic nowego. Nudno tu bez ciebie, nie ma kto się nad nami znęcać. - Jej głos brzmiał niezwykle Swojsko. Zrozumieć to mogą tylko ludzie, którzy się żyli wspólnie pracując. - Jesteś pewny, że nie chcesz, żebym po ciebie wyjechała? Byłoby mi miło...

- Nie, Rose, naprawdę. Nie zwracaj sobie głowy, wezmę taksówkę.

- Dobrze, jeśli tak chcesz...

Szybko odłożył słuchawkę, mimo że czuł w głosie Rose starannie maskowany niedosyt. Myślni był teraz przy Margery, jadącej w tę czarną noc do laboratorium. Widział ją jednak nie w samochodzie, lecz w jej pokoju, ubraną w niebieski szlafrok. Wyraźnie pamiętał mleczną biel jej ręki, widocznej pod szerokim rękawem.

Scandalous

5

Dotkliwie zimno nocy przenikało przez materiał płaszcza. Margery drżała z zimna, nie zwracała jednak na to uwagi. Myślami krążyła wokół niebezpiecznego zadania, jakie jej przyszło wykonać. Miała zdradzić Iana.

Kiedy wjechała na parking przed laboratorium, opadły ją wątpliwości. Czy rzeczywiście istniał jakiś nieznaną mikroba, czy może zrodziła go wyobraźnia Warrena, pod wpływem której wymógł na niej zgodę na udział w poszukiwaniach? Zawilość sytuacji, w jakiej się znalazła, była nie do zniesienia. Nie wysiadła z samochodu od razu; przez długą chwilę siedziała z głową wspartą na rękach zaciśniętych na kierownicy. W końcu otrząsnęła się i rozejrzała. Na parkingu stały dwa samochody. W jednym z nich rozpoznała auto Iana. Ogarnęło ją poczucie winy.

A ten drugi? Aha. To samochód nowego woźnego.

Wyłączyła stacyjkę i w tym momencie uświadomiła sobie, że przed wjazdem na parking powinna była zgasić długie światła.

Czy Ian mógł zauważyć jej przyjazd? Raczej nie, wszystkie okna budynku wychodziły na mały dziedziniec.

Wzięła torbę i wysiadła z samochodu. Otaczała ją atramentowa ciemność. W pierwszym odruchu chciała zrezygnować, ale myśl o śmierci Keitha i wspomnienie twarzy Warrena umocniły ją w decyzji. W jego rysach było tyle niezachwianej pewności, co sugestywnego przekonania, któremu nie sposób było się oprzeć.

Dlaczego Ian robił coś w tajemnicy w zakamuflowanym laboratorium? Poza tym, jeżeli nawet wyhodował tego niebezpiecznego mikroba, choćby popełniając jakiś błąd, dlaczego to ukrywa?

Żeby wejść do budynku, Margery musiała posłużyć się kartą identyfikacyjną. W ciemnościach wpadła na stolik do kawy. Ale za automatycznie zamykającymi się drzwiami, prowadzącymi do systemu korytarzy, światła były zapalone. Oczywiście, pomyślała, przecież woźny musi mieć budynek oświetlony.

Szła cicho długim korytarzem. Czuła się okropnie, serce tłukło się w piersiach jak szalone, mdliło ją. Starła się trzymać nerwy na wodzy. Powtarzała sobie, że jeżeli kogoś spotka, zwyczajnie oświadczy, że musi dokończyć swoją robotę.

Co jednak powie Ianowi, jeśli zaskoczy ją niespodziewanie w swoim laboratorium?

Znalazła się na wprost gabinetu Iana. Przez uchylone drzwi światło padało na korytarz. Ostrożnie podeszła do framugi i zajrzała do środka. Nie ma nikogo. Cofnęła się o kilka kroków, przywarła do ściany, wykonała kilka głębokich wdechów i przestąpiła próg gabinetu, kierując się za biurko, gdzie były niepozornie wyglądające drzwi.

Czy Ian jest za nimi? Drżącą ręką ujęła gałkę i delikatnie spróbowała ją przekręcić. Drzwi nie były zamknięte na klucz! Delikatne skrzypnięcie, i zobaczyła smużkę światła. Pociągnęła za gałkę uchylając drzwi odrobinę szerzej, potem jeszcze trochę.

Pokoik był pusty.

Gdzie może być Ian? Bezszelestnie zamknęła drzwi nie próbując wchodzić do środka, dopóki nie znajdzie Iana. Niech cię licho porwie, Warren!

Szła korytarzem, na próżno wypatrując żywej duszy. Dotarła do miejsca, gdzie korytarz skręcał w lewo. Gdzie mogli być Ian i woźny?

Rrrr!

Drgnęła konwulsyjnie, usłyszawszy przenikliwy jazgot. Co to jest? Źródło hałasu było gdzieś bardzo blisko, pewnie w następnym laboratorium.

Zbliżywszy się do drzwi, ostrożnie spojrzała przez szybę. To nowy woźny froterował podłogę.

Dobrze, pomyślała. Z jednym mam już spokój, ale gdzie jest drugi? Na końcu korytarza znajdowało się już ostatnie laboratorium w tej części budynku. Tam też paliło się światło. Szybko spojrzała do środka i cofnęła głowę. Jest! W porządku. Głęboki wdech i znowu zajrzała, Ian, odwrócony do niej plecami, siedział na laboratoryjnym stolku pochłonięty patrzeniem w mikroskop.

Teraz! – pomyślała. Szybko ruszyła w drogę powrotną i w ciągu kilkunastu sekund znalazła się w gabinecie Iana, następnie w jego laboratorium. Rozejrzała się dokoła prawie zrozpaczona. Co Warren mówił? Szkiełka laboratoryjne, próbówki. Lodówka!

Otworzyła drzwiczki. Brzęk probówek uderzających o siebie przestraszył ją. Musi być ostrożniejsza, nie hałasować. Boże, co by było, gdyby któraś zbiła...

Szybkimi ruchami wyjmowała z metalowych stelaży próbówki zawierające żółty płyn. Najdelikatniej jak potrafiła owijała je watą i układała w pojemniczkach z gumowymi uszczelkami.

Jak długo już tu jest? Strasznie długo, myślała ogarnięta niemal paniką.

Cały budynek zaczął rozbrzmiewać warkotem froterki woźnego. Zbliżał się coraz bardziej. Margery zamknęła drzwiczki lodówki, ale ogarnął ją paniczny strach przed odwróceniem się. Chociaż nie słyszała kroków Iana, zresztą hałas to uniemożliwiał, wyobraziła sobie, że może stać za nią.

Przemogła się. Nie, nie ma nikogo. W tej chwili odległość między gabinetem Iana a recepcją wydała się jej nie do przebycia. Wysłiznęła się z laboratorium i z cichym zgrzytem przekreśliła gałkę.

Za chwilę będę bezpieczna w hotelu, myślała. Jeszcze tylko ten korytarz! Oddałaby wszystko, żeby znaleźć się już na szosie w samochodzie.

Szybko przemaszerowała przez gabinet Iana i wyszła na korytarz pamiętając, żeby zostawić drzwi uchylone, tak jak je zastała. Po kilkunastu krokach skręciła w prawo i ujrzała na wprost siebie recepcję. Jeszcze tylko parę sekund...

- Margery?

Ciarki przeszły jej po plecach. - Na miłość boską, co ty tu robisz? Stał tuż za nią. Tak blisko, że czuła jego oddech na szyi! Tysiąc możliwości przebiegło jej przez głowę: czytał w jej myślach, widział, jak wychodzi z jego gabinetu, wiedział!

- Margery - powtórzył podejrzliwym tonem. - Pytałem cię o coś.

Powoli odwróciła się do niego twarzą, czując bolesne pulsowanie krwi w skroniach. Adrenalina. Była złana potem, zdołała jednak wykrztusić przez ściśnięte gardło:

- Och, Ian... Zapomniałam coś w biurze...

- O tej godzinie? - Spojrzał na zegarek.

- Tak, czy to coś dziwnego? Pracowałam w hotelu, no i potrzebne mi były pewne notatki, więc.

Spojrzał na jej torbę. Zobaczyła w jego oczach powątpiewanie i poczuła zawrót głowy. Musi coś wymyślić, bo inaczej Ian zajrzy do torby!

- Zobaczyłam cię w ostatnim laboratorium, chciałam ci powiedzieć dobranoc.

Nieznosnie długo milczeli. W końcu Ian spytał:

- Dlaczego tego nie zrobiłaś?

- Wydawałeś się bardzo zajęty.

- Tak ci się zdawało? - Jego niebieskie oczy znowu zaiskrzyły się podejrzliwością.

- Tak - brnęła dalej. - Inaczej bym weszła.

- Dlaczego?

- Śmieszne pytanie. Żeby choć trochę z tobą pobyc. Pamiętasz? Wczoraj przeszkodzono nam przy kolacji, i wiesz, zatęskniłam za tobą.

Tu, może zbyt pospiesznie, stanęła na palcach i pocałowała go. Całowała go długo, jakby nie mogła się od niego oderwać. Pocałunek Judasza.

Ale... udało się. Po krótkim wahaniu Ian objął ją i przycisnął do piersi. Przywarł do niej ustami.

Margery nagle odchyliła się do tyłu.

- Dlaczego?

- Nie... nie mogę, Ian. - Jakimś cudem wydobyła z siebie głos. - Muszę wracać.

- Ależ Margery.

- Naprawdę nie mogę.

Zaczęła się cofać, z niepokojem myśląc o probówkach w torbie. Musiała jak najszybciej stąd uciec.

- Powinnam zadzwonić na uniwersytet - skłamała. - O tej porze kończą tam prace. Muszę jechać, Ian. I to już.

Pozwolił jej odejść. Spokojnie, choć na powrót z powątpiewaniem w oczach, patrzył, jak Margery wychodzi z budynku, wsiada do samochodu i odjeżdża z torbą pełną ponurych sekretów.

Jak na tak ciemną noc, Margery jechała za szybko, ścigana demonami strachu i winy. W hotelu resztkami sił dotarła na górę i zapukała do Warrena. Czuła się kompletnie wyczerpana, jak po ciężkiej chorobie. Dygotała, torba ciążyła jej, jakby była pełna ołowiu.

- Margery - szepnął Warren z ulgą i wciągnął ją do pokoju. Z jej kurczowo zaciśniętych palców wyjął torbę.

Poddała się biernie jego zabiegom. Nic już nie miało znaczenia, prócz tego, co zrobiła. Czuła się bardzo osłabiona, nie mogła zapanować nad drżeniem całego ciała.

- Coś się stało? - dopytywał się Warren. - Niech to licho porwie. Nie powinienem był pozwolić ci jechać.

- Nic się nie stało. Wszystko w porządku.

Ale nie była to prawda. Z oczu trysnęły jej łzy, te wszystkie łzy powstrzymywane przez długie lata, bo przecież królowe lodu nie płaczą. Poprzez te łzy widziała, że Warren przykleknął przed nią i położył ręce na poręczach fotela. Dobiegał ją jego łagodny głos, w którym było tyle ciepła, że powinna być zażenowana, ona jednak nie odczuwała w tej chwili nic prócz upokorzenia.

- Był tam Ian - rzekła w końcu urywanym głosem. - Zobaczyl mnie. O Boże, musiałam go pocałować, bo mógłby wszystko wykryć. Tak się tego wstydzę... Okropnie się bałam.

- Ale nie zrobił ci... krzywdy?

Potrząsnęła głową, biorąc podaną przez Warrena chusteczkę.

- Potem zdawało mi się, że potłukę próbówki. Jechałam przez takie okropne wyboje. Byłam pewna, że jedna się stłukła... Może naprawdę się stłukła!

Warren przeniósł spojrzenie z jej twarzy na torbę.

- Masz je? - spytał zdumiony.

- Tak. Chyba trzy. Och, nawet nie pamiętam. Może wszystkie się potłukły!

Warren ostrożnie otworzył torbę i wyjął z niej pojemnik zawierający starannie opakowane próbówki. Zapłakanymi oczami Margery przyglądała się, jak wyciąga jedną po drugiej i, kolejno potrząsając każdą, przygląda się im uważnie pod światło. W jego roziskrzonych oczach narastało zdumienie.

- Są z prywatnego laboratorium Iana? - dopytywał się podniecony.

Skinęła głową.

- Z jego lodówki.

- To jest to - powiedział jakby do siebie. - Jestem pewny.

Głęboki i poważny ton jego głosu zdawał się wskazywać, że przejęty był zgrozą, iż ciężar problemu, jaki mu przyszło rozwiązać, odizolował go od innych, że przebywa we własnym świecie nauki, dla innych niedostępnym. Margery nie знаła Warrena od tej strony.

Przyszła jej do głowy osobliwa myśl, że było w jego postawie życiowej jakieś piękno – piękno mężczyzny odnoszącego zwycięstwo, które zawdzięcza samemu sobie.

Siedział przycupnięty przed jej fotelem, trzymał pod światło jedną z probówek, przyglądał się jej długo, a potem rysy mu zmiękły. Ułożył probówki w pudełku, zamknął je i zwrócił się do Margery.

- Dziękuję ci – powiedział nieśmiało.

- Nie wiem, czy mam ci odpowiedzieć „proszę bardzo” – odparła Margery.

- To nie ma znaczenia. Tak czy inaczej, to twoja zasługa.

Nadal klęczał przed nią z rękami opartymi na poręczy fotela, na którym siedziała. Bez słowa patrzyli sobie w oczy. Oboje byli zmieszani.

- Wyszedłam cało ze spotkania z Ianem. – Wydało się jej właściwe powiedzieć to w tej chwili.

- Rozumiem. – Odwrócił oczy i nagłym ruchem wstał z klęczek. – Nie musisz mówić nic więcej. Rozumiem.

W tym momencie Warren przestał być dla niej tajemnicą. Ujrzała go w zupełnie innym świetle. Było oczywiste, że jest człowiekiem, zdany na łaskę swoich uczuć. Lękał się ich i nie czuł się na siłach, by nad nimi panować. Tłumił je więc i ukrywał głęboko, gdzie nic nie mogło ich zranić. Jednak coś je poruszyło. Powiedział, że rozumie. Jakie to smutne, pomyślała, być człowiekiem, który ma w sobie tyle ukrytego przed innymi ciepła. Drgnęła, czując na ramieniu delikatny dotyk jego ręki.

- Już lepiej? – zapytał.

Roześmiała się.

- Nie, niestety. Czuję się jak przestępca. Nienawidzę siebie za to, co zrobiłam. Przeżyłam chwile prawdziwej grozy. – Znowu po policzkach spłynęły jej łzy.

Nie mogła już znieść wzroku Warrena. Gardziła publicznym ujawnianiem emocji. Królowe lodu nigdy nie tracą panowania nad sobą,

kiedy są w towarzystwie. Starła się zsunąć rękę Warrena z poręczy fotela, żeby móc wstać i przynajmniej odwrócić się do niego plecami. Nie udało jej się zrobić tego zręcznie i znalazła się niemal na piersi Warrena. Wyciągnęła rękę dla uchwycenia równowagi, ale musiała się oprzeć na jego ramieniu. Była niemal sparaliżowana ze zmieszania, kiedy tak nieoczekiwanie znaleźli się tuż przy sobie, o wiele za blisko, w mroku hotelowego pokoju, do tego w środku nocy.

- Margery - szepnęła zdławionym głosem.

- Proszę cię - zaczęła, ale zabrzmiało to jak pojednanie, zachęta i skarga samotnej kobiety.

Pokój zawirował. Głowa Warrena pochylała się nad nią powoli, jakby z namysłem. Wstrzymała oddech. Czuła, jak gorące jest jego ciało, łagodne ciepło jego oddechu. Dotknął jej ust. Wargi miał miękkie i przyjemne, niewprawne, ale pełne ukrytej zmysłowości.

Poddała się jego pocałunkowi. Przyniósł jej doznania, które czuła całym ciałem - błogość, ukojenie. Dłonie Warrena prześliznęły się po jej rękach, gładziły ramiona i szyję. Były takie lekkie, tak delikatnie muskały jej skórę...

Wtem, zupełnie nieoczekiwanie, oderwał się od niej.

- Nie - powiedział zdławionym głosem.

Stała bezradnie z uczuciem, że pozbawiono ją źródła życia. Patrzyła, jak Warren wkłada ręce głęboko w kieszenie i zaczyna przemierzać zniszczony dywan.

Próbował się jakoś tłumaczyć.

- Margery... Ja... - Nie potrafił dokończyć.

Nie wiedziała, co ma o tym sądzić. Czy miała się czuć upokorzona? Zagniewana? Opuszczona? Pocałował ją, a ona się nie broniła. Teraz już było oczywiste, że nie tego od niej oczekiwał. Tak. Miał to, czego chciał - mikroba wyhodowanego przez Iana.

Musi wyjść z tego pokoju. Pospiesznie, unikając jego spojrzenia, wzięła torbę i skierowała się ku drzwiom.

- Dobranoc, Warren – powiedziała wychodząc na pusty korytarz i zamykając za sobą drzwi.

Obudziło ją natarczywe pukanie. Spojrzała na zegarek. Siódma. Spała cztery godziny. Wspaniale. Narzuciła szlafrok i otworzyła drzwi.

- Obudziłem cię?

- Oczywiście.

Patrzyła na Warrena zaspanymi oczami, znużona i otępiała.

- Chciałem się pożegnać.

- Co?

- Wracam do Atlanty.

Pokazał jej trzymany w ręku, zaplombowany pojemnik.

- Chciałem ci podziękować.

- Nie trzeba.

- Pomogłaś mi. Jestem ci bardzo wdzięczny.

- Dobrze. Ale teraz, jeżeli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym jeszcze wrócić do łóżka, chociaż na godzinę. Do widzenia, Warren. Wszystkiego najlepszego.

Chciała zamknąć drzwi, ale wsunął dłoń, żeby jej w tym przeszkodzić.

- Margery, boję się zostawić cię tu samą. MacLaren wie, że wczoraj byłaś w budynku laboratorium i jeśli zauważy brak próbek...

Wzruszyła ramionami.

- Zdaje się, że oboje powinniśmy byli pomyśleć o tym wcześniej.

- Tak. To ja powinienem był o tym pomyśleć – powiedział bardziej do siebie aniżeli do niej.

- Jutro wyjeżdżam. Co się może stać?

Patrzył na nią ze zmarszczonym czołem.

- Nie wiem. Po prostu, nie chodź... nigdzie... hm... sama z nim.

Czuła, że dostaje wypieków.

- Będę ostrożna – powiedziała tonem, jej zdaniem, obojętnym.

- Dobrze...

Opuścił dłoń przytrzymującą drzwi.

- Tak. Do widzenia.

Margery naturalnie nie dospała tej godziny, o której marzyła. Ubrała się i pojechała do laboratorium. Ciągle czekało ją dokończenie sprawozdania i pożegnanie z Ianem. Idąc tym samym korytarzem, co poprzedniego wieczoru, cierpiała katusze.

Poznała już jednak prawdę: wszystkimi zmysłami czuła Warrena. Zawrócił jej w głowie przytłaczającym wręcz intelektem i nieprzeparłą determinacją, usuwającą wszystko i wszystkich z drogi, na którą wkroczył. Cóż, dzięki Bogu jest już po wszystkim, a on wyjechał.

W południe, kiedy ostatni raz przeglądała sprawozdanie, pojawił się w jej dziupli Ian.

- Margery - powiedział z promiennym uśmiechem, zbyt promiennym, pomyślała - co byś powiedziała na lunch? To twój ostatni dzień w Dunclycie.

Co on knuje?

- Lunch? Dobra myśl - odparła myśląc tylko o tym, czy zauważył brak próbek. Znowu ogarnęła ją panika.

W czasie całego posiłku zachowywał przyjemne pozory, ale wyczuła w jego zachowaniu nieuchwytną zmianę. Miał rozbiegany wzrok, bez przerwy bębnił opuszkami palców w blat stolika, w kąciку ust nie przestawał drgać mięsień. W myślach porównywała go do tykającej bomby, na razie zabezpieczonej i niegroźnej.

- Cóż, wracasz do Ameryki - powiedział po trzeciej filiżance kawy. Do tej pory pił zawsze jedną. - Będzie nam ciebie brakowało.

Margery z trudem zdobyła się na uśmiech.

- Ja też będę o was myślała.

- Chciałbym, żebyś przyjechała tu w lecie. Och, jak pięknie jest u nas w lecie - powiedział pełen zadumy. - Zielono i radośnie. Ożywają wrzosowiska...

- Musi być pięknie.

Ian przestał bębnić w stół, pochylił się i ujął ją za rękę.

- Będę za tobą tęsknił.

Milczała.

- Może, kiedy zapadną decyzje w sprawie dotacji, będę mógł wziąć urlop. Przyjechać do Ameryki.

- Mam nadzieję, że ci się uda.

Czy on się spodziewa, że dotacja załatwi się sama? Czy nie zdaje sobie sprawy, że pieniądze kończą mu się w marcu i to już będzie koniec funduszy? Poczowała litość.

- Zobaczysz, że zjawię się pewnego dnia. Widzisz - zniżył głos - sprawy mają to do siebie, że układają się same.

- Z pewnością - potwierdziła ostrożnie.

Kiedy później zostawił ją samą w jej gabinecie, poczuła prawdziwą ulgę. Coś niedobrego działo się z Ianem. Jeszcze nigdy nie widziała go tak... niespokojnego, przy czym zdobył się na imponujący wysiłek, żeby to ukryć. Przyszło jej na myśl, że zachowuje się jak ten pacjent, który po orzeczeniu lekarza, że ma przed sobą sześć miesięcy życia, odpowiada: „A może rzucić palenie?” Niektórzy ludzie po prostu nie potrafią spojrzeć prawdzie w oczy.

O piątej zebrała papiery i rozejrzała się dokoła po swoim zaimprovizowanym gabinecie. Nic nie zostało. Na biurczku nie leżał nawet jeden spinacz, zupełnie jakby jej tu nigdy nie było, jak gdyby w ogóle nie przyjeżdżała do Szkocji. Myślam była już przy swoich studentach, którzy jeszcze przez kilka dni będą się bawić wesoło, przygotowując do nowego semestru. A ona? Przyjechała do Szkocji w nadziei, że znajdzie wyjście z finansowych trudności laboratorium. Tymczasem poznała MacLarena i pozwoliła sobie na nie zobowiązujący flirt. Jednak w miarę, jak nadzieje Iana na rozwiązanie jego trudności malały, gasło także ich obopólne zainteresowanie.

Jakież to żalosne, rozmyślała, jakie godne pożałowania zbliżenie, które się rozpada, kiedy pojawiają się problemy. Nieoczekiwanie przyjechał Warren. Warren Yeager i ten jego śmiertelny mikrob! Od tej chwili nie potrafiła myśleć o każdym z nich z osobna, jak gdyby jeden nieuchronnie przywoływał drugiego. Miała nadzieję, że w przyszłości także obaj jednocześnie znikną z jej pamięci.

Zamknęła drzwi i ruszyła korytarzem do wyjścia. Była bardzo zmęczona i utykała wyraźniej niż zwykle. Dziwne, ale zupełnie ją to nie obchodziło. Zamknięte drzwi gabinetu Iana mijała z uczuciem zniechęcenia i wewnętrznej pustki. Może jest tam, siedzi i pracuje nad tym swoim tajemniczym pomysłem, ale co ją to obchodzi? To już jest poza nią. Cały problem spadł na Warrena, niech on zbawia świat. Warren Yeager – geniusz i bohater.

Obudziła się z głębokiego snu, w którym wędrowała przez zamrożone wrzosowiska. W półśnie uświadomiła sobie dochodzący gdzieś z oddali hałas.

Uniosła się lekko i wsparła na łokciach. Rzeczywiście, z korytarza dobiegł ją odgłos kroków, ktoś uderzył pięścią w jej drzwi. To zakłócanie spokoju w nocy stało się już zjawiskiem zbyt częstym. Nie była pewna, czy ma się irytować, czy bać. Wstała i sięgnęła po szlafrok.

Usłyszała drugie silne uderzenie, a po nim całą serię nieregularnego pukania.

- Kto tam? - zapytała z wahaniem.

- Ja.

- Ian? - Serce w niej zamarło.

- Nie kto inny, dziewczyno.

Może odkrył brak próbek? Czy ma go wpuścić? Warren ją ostrzega! Co ma zrobić? Ian walił jednak w drzwi tak mocno, że musiała mu otworzyć.

Stał lekko chwiejąc się na nogach, z zagadkowym uśmiechem na ustach. Poczua zapach whisky.

- Powinnaś mnie zaprosić, Margery. Chciałem ci powiedzieć do widzenia. - Mówił głosem zachrypniętym, dobitnie akcentując słowa.

- Chyba lepiej będzie, jak pójdziesz do domu - rzekła łagodnie, z trudem zdobywając się na spokój. Nie daj mu po sobie poznać, że się go boisz.

- No, nie... Chcesz się mnie pozbyć... - powiedział zaczepnie.

Jego uśmiech był jak sopel lodu, godzący prosto w jej serce, Ian nie zbliżał się do niej. Stał oparty o framugę drzwi. Czy był pijany, czy tylko bardzo zmęczony?

- Ian - powiedziała tonem perswazji, starając się nie podnosić głosu. - Powinieneś pójść do domu.

- Po co? - Jego nabiegłe krwią oczy napotkały jej spojrzenie. - Żeby mnie każdy kto chce pchnął nożem w plecy?

- Ian, proszę...

- Mam was wszystkich dosyć! Całą tę cholerną władzę w Londynie, moich kochanych pracowników... Nawet ciebie - wyrzucił z siebie gwałtownie z zawziętym wyrazem twarzy.

- Proszę cię, Ian...

- Ale ja wam pokażę. Pokażę całemu światu, Margery! Będą mnie jeszcze błagali, żebym dla nich pracował.

Plótl bez sensu. Margery usłyszała dochodzący z korytarza odgłos otwieranych drzwi. Co robić? Jak go skłonić, żeby sobie poszedł?

- Musisz wracać do domu - powiedziała ostro. - Zobaczysz, że ktoś wezwie policję. Opanuj się.

- Więc mnie nie zaprosisz? Przez pamięć starych, dobrych czasów?

- Nie mogę. Naprawdę, Ian.

Gwałtownym ruchem chwycił ją za rękę i zaczęli się szarpać. W tym samym momencie na korytarzu pojawił się recepcjonista.

- Proszę opuścić hotel - zwrócił się do Iana. - Goście się skarżą.

Ian puścił rękę Margery i odwrócił się.

- Pan też przeciwko mnie, co? - Następnie spojrzał na Margery. - Dobranoc, kochanie. Ale kiedyś było nam fajnie, co?

Poszedł.

Jeszcze długo po jego wyjściu Margery stała oparta o drzwi, próbując opanować drżenie nóg. Była oburzona, że Ian ośmielił się do niej przyjść w tym stanie, a jednocześnie było jej go bardzo żal. Nie mogła się jednak pozbyć uporczywej myśli, że nie był aż tak pijany, jak starał się to okazać.

Jak to się stało, że zabrnęła tak głęboko w jego problemy? Czy zostając jego kochanką sama to na siebie ściągnęła? Czy może Warren wciągnął ją w tę paskudną historię, sam umykając do dalekiej i bezpiecznej Atlanty?

Położyła się, zgasiła światło i wpatrywała się w ciemności, bojąc się zamknąć oczy. Jak do tego doszło, że jej uporządkowane życie zamieniło się w taki koszmar?

6

Kiedy już wreszcie Warren dotarł do swojego mieszkania, był tak zmęczony, że znalazł siły tylko na prysznic i od razu poszedł do łóżka. Zanim zgasił światło, pojemnik z probówkami ostrożnie włożył do lodówki. Z cierpkim uśmiechem pomyślał, że do bardzo dziwnych rzeczy wykorzystuje się ostatnio to stare jak świat, poczciwe urządzenie.

O dziesiątej wieczorem rozległ się dzwonek telefonu.

- Słucham? - spytał zaspanym głosem, uświadamiając sobie, że w Szkocji jest już poranek.

- Warren, już jesteś? Nie odezwałeś się. Wszystko w porządku? - dobiegł go zaniepokojony głos Rose.

Jęknął.

- Po prostu zasnąłem, Rose. Będę rano w laboratorium.

- Świetnie. Więc do zobaczenia. Przepraszam, że cię obudziłam.

- Tak naprawdę nie obudziłaś mnie. Ciągle jeszcze drzę z zimna, trudno wtedy smacznie spać. Dobranoc, Rose.

Było już prawie południe, kiedy z roztworu w probówce udało mu się wyizolować mikroba. Tak długo nie podnosił głowy nad mikroskopu, że Rose w końcu zapytała, czy coś go zaniepokoiło. Oderwał twarz od okularu i potarł skronie.

- No i co? Czy to ten mikroba, o którego nam chodzi?

- I tak, i nie - odpowiedział wreszcie. - Jest to jego postać pokrewna, żywotny i rozmnażający się mikroorganizm. Ale nie jest dokładnie taki sam jak tamten znaleziony w krwi Keitha. Jest to jak gdyby jego bliźniak, lustrzane odbicie. Jeśli miałbym postawić jakąś

hipotezę, powiedziałbym, że jest to forma wcześniejsza, trochę bardziej prymitywna. Zupełnie niegroźna.

Rose zrzęda mina.

- Och, Warren, co ty mówisz? Cały twój trud, zdobywanie tych próbek i...

Warren był o krok od opowiedzenia Rose, kto te próbki zdobył, coś go jednak powstrzymało. Nie była to odpowiednia pora na wyznania.

- Więc właściwie nadal nie ma dowodu, że to MacLaren - stwierdziła Rose.

- Tak, rzeczywiście. Ale tamten preparat z mikroorganizmem w najwcześniejszej fazie - wskazał na szkiełko po drugiej stronie szyby - ma dość cech podobnych, żeby skłonić Londyn do działania.

Podniósł się z laboratoryjnego stołka i zamyślony przemierzał laboratorium wielkimi krokami. Rose obserwowała go uważnie, każdy jego ruch, każdą zmianę wyrazu twarzy.

- Gdybym mógł wiedzieć, co MacLaren zrobił, żeby przekształcić ten nieszkodliwy, mikroorganizm w mutanta, który uśmiercił Keitha! Niech to diabli! Napromieniował go? - Spojrzał na Rose, jak zawsze czując potrzebę głośnego podzielenia się jakąś myślą, którą widział wtedy jak gdyby jaśniej. - Może poddawał go działaniu jakichś odczynników chemicznych? Czyżbyśmy mieli do czynienia z mutacją spontaniczną? A może z hodowlą selekcyjną? Czy też prowadzoną przy zastosowaniu szczególnych odżywek?

- Moglibyśmy przeprowadzić kolejno takie próby - poddała myśl Rose.

- Tak, oczywiście, moglibyśmy. Ale nie ma na to dość czasu. Musiałoby to trwać całe miesiące. - Potrząsnął głową. - Cholerny czas. Ciągłe go brakuje.

- Tak czy inaczej, może bym rozpoczęła hodowlę?

- Masz rację, to jest najważniejsze. Chcę mieć postać każdej fazy opisanej w książkach. Odszukaj tam środowisko, które lubi ten nasz

mikrob i wyhoduj ich tyle, ile zdołasz. – Zawahał się, znowu na nią spojrzął i ostrym tonem dodał: – Musisz pamiętać o zachowaniu absolutnego bezpieczeństwa. Pilnuj laborantów na każdym kroku. W ułamku sekundy nasz mikrob może się przemienić z doktora Jekylla w pana Hyde'a. Na razie nic nie wiemy, a MacLaren milczy.

– Już się do tego zabieram – powiedziała Rose, skinieniem głowy potwierdzając słuszność jego uwag.

Dzięki ci, Boże, za Rose, pomyślał Warren. W organizowaniu badań tego typu była wprost nadzwyczajna. Wystarczyło, że wydał dyspozycje i wkrótce dostawał od niej wyhodowane preparaty. Niedługo Rose zasypie go mnóstwem mikrobów identycznych z tymi z próbek MacLarena. Część z nich podda działaniu promieni rentgena, inne – promieni ultrafioletowych, jeszcze inne – substancji działających na modyfikację DNA, resztę wreszcie – uderzeniu silnych substancji rakotwórczych. Jeżeli nie uzyska spodziewanych wyników, rozpocznie następny cykl doświadczeń z udziałem wysokich i niskich temperatur, kwasów i innych czynników. Były to badania bardzo czasochłonne, wymagające znajomości różnych technik, ale Rose była w tym doskonała. Warren często zastanawiał się, czy potrafiłaby prowadzić ten oddział bez niego i niekiedy dochodził do wniosku, że prawdę mówiąc już to robiła.

Pracowali razem od chwili, kiedy Warren rozpoczął swą karierę w Centrum, to znaczy od ośmiu lat. Rose i Morty Freed byli małżeństwem od kilku lat, ale Warren zdawał sobie sprawę, że stosunki między niezwykle inteligentnym doktorem Freedem a jego energiczną, wspianiale zorganizowaną żoną nie były najlepsze. Nie znaczy to, by Rose kiedykolwiek się skarżyła. Pracując jednak tak blisko niej, Warren mimo woli stawał się świadkiem pewnych zgrzytów. Na przykład ten telefon Mortona do jego mieszkania owego wieczoru, kiedy odlatywał do Szkocji. Warren nie dopuszczał do siebie problemów innych osób. Rose była mu potrzebna dla dobrego funkcjonowania laboratorium, jej dom i

małżeństwo pozostawały poza granicami jego zainteresowań. I tak nie mógłby jej w niczym pomóc. Oczywiście było, że miał nadzieję na jak najlepsze ułożenie się ich stosunków, ale zawsze na pierwszym miejscu stawiał pracę, zarówno swoją, jak i Rose.

Zanim pomyślał o przejrzeniu piętrzącego się na jego biurku stosu korespondencji, raportów i prasy medycznej, przypomniał sobie o jeszcze jednej rzeczy. Rano, idąc do swego gabinetu, z kieszeni spodni wyciągnął zmiętą nieco karteczkę z numerem telefonu Grega Smythe'a.

Dodzwonił się tuż po wystukaniu cyfr.

- Proszę zaczekać - odezwała się sekretarka. - Zdaje mi się, że doktor Smythe właśnie wychodzi. Proszę się nie wyłączać.

Warren niecierpliwie bębnił palcami w biurko, niepewny, czy Greg podejdzie do telefonu.

- Warren? - usłyszał w słuchawce. - Masz już coś? Warren zrelacjonował mu, co zobaczył pod mikroskopem.

- Mówisz: lustrzane odbicie - powtórzył Greg - ale nieszkodliwe.

- Zaczęliśmy już pracować nad różnymi wariantami, jakie tylko mogłem sobie wyobrazić. Polega to na tym, że bombardujemy tego mikroba, żeby uzyskać rozmaite mutanty, ale to będzie trwało długo, Greg. Sądzę, że powinieneś oficjalnie pomówić z MacLarenem.

- Ale nie mam żadnego dowodu, na który mógłbym się powołać.

- Ja mam ten dowód, Greg. Wiesz równie dobrze jak ja, że on znalazł istotną rzecz - klucz. Metodę przekształcania tego mikroorganizmu w jego śmiertelny bliźniak.

- Więc co chciałbyś, żebym zrobił? Mam zamknąć laboratorium w Dunclde? Nie mogę tego zrobić bez konkretniejszego dowodu.

- Greg, wysyłam ci wynik dzisiejszego badania mikroba MacLarena ze wszystkimi szczegółami, o których ci przed chwilą mówiłem. Ale na litość boską, nie czekaj na nadejście poczty. Zamknij laboratorium.

- Nie wyobrażam sobie, jak mam to zrobić.

Na linii zaległa cisza. Po chwili Greg odezwał się:

- Dobrze, porozmawiam z Ianem. Zadzwońię do niego.
- Zrób to zaraz. Dzisiaj.
- U nas jest teraz wieczór, Warren - oschle odparł Greg. - Właśnie miałem jechać do domu, moja żona wydaje przyjęcie.
- Posłuchaj, Greg. Pamiętasz, jak rzygałeś w tamtym laboratorium na uniwersytecie na widok płodu świni, a ja musiałem za ciebie...
- No, już dobrze, ty draniu. Porozmawiam z nim.
- I zadzwoń do mnie. Natychmiast.
- Zgoda - westchnął Greg.

Warren usiadł przy biurku i próbował czytać artykuł w „New England Medical Journal” na temat powstawania nowych form mikroorganizmów, ale nie mógł się skoncentrować na jego treści. Nie znosił czekania na cokolwiek, a zwłaszcza na telefon. Zaczął przeglądać pocztę. Otworzył kilka kopert odkładając wszystko, co dotyczyło jego życia prywatnego: rachunek z pralni - zwróci na niego uwagę Rose, kiedy następnym razem będzie odbierała koszule; przypomnienie od dentysty o wizycie kontrolnej - Rose będzie musiała go umówić; pismo od administracji domów, że zalega z czynszem za styczeń. Cholera, Rose powinna była mu przypomnieć o tym przed odlotem.

Szczęśliwiec z Morty Freeda, że ma kogoś takiego jak Rose, kto zajmuje się wszystkimi błahostkami. Oczywiście Warren podejrzewał, że cena, jaką Morty za to płaci, są pewne niedostatki uczuć. Kto wie, czy w końcu to nie on, Warren, lepiej na tym wychodzi. Wygodnie było mieć Rose pod ręką, ale byłoby jeszcze lepiej, gdyby wyeliminować sferę emocjonalną. Po tamtym incydencie w Teksasie, kiedy poszedł z nią do łóżka - zresztą nie zapisało się to w jego pamięci jako porywające przeżycie - Rose zaczęła często na niego spoglądać, pochylać się nad nim, dotykać i zbyt często darzyć go uśmiechami. Wiedział, że stała się po tym kimś bliższym. Bardzo ją lubił, to pewne, ale tamta przygoda nie należała do najwspanialszych i Warren nie miał ochoty na jej powtórzenie. Odgadywał, że dał to Rose jakoś do zrozumienia, mimo że

unikął oświadczeń wprost. Trzy miesiące później wyszła za mąż za Morty'ego i Warren odetchnął z ulgą, poszedł na ślub i złożył na policzku panny młodej niewinny pocałunek.

Nadal miał do dyspozycji użyteczne umiejętności Rose, jej talent organizacyjny, biegłość w operowaniu finansami, radzenie sobie z zawiłościami biurokratycznymi, jej fachowość i bezustanną adorację. Zajmowała się mnóstwem jego spraw, od pomocy w przygotowaniu wykładów do układania programu podróży czy dopilnowania płacenia czynszu. Stało się to zwyczajem. W zamian dał jej wolną rękę w kierowaniu laboratorium, awansował ją tak często, jak tylko mógł, pozostawał w zażyłych stosunkach z nią i z Mortym, co najmniej raz w tygodniu zapraszany był do nich na kolację.

Mimo woli w myślach ciągle porównywał Rose z Margery. Różnica między tym, co czuł dla Rose w czasie ich zbliżenia, a tym, co czuł, kiedy pocałował Margery, była zdumiewająca. Nie mógł zrozumieć własnej reakcji na dotyk Margery. Obawiał się, że zachował się niewłaściwie i tylko wprowadził w zakłopotanie zarówno ją, jak i siebie. Był potwornie nieprzygotowany do takich sytuacji, niedoświadczony i... niedojrzały. Na całym ciele znowu poczuł gęsią skórkę.

Greg zadzwonił po pół godzinie.

- Warren? On znikł. MacLaren znikł!
- Co masz na myśli mówiąc znikł?
- Dokładnie to, jankesie. Personel laboratoryjny szukał go wszędzie. Także w domu, dosłownie wszędzie. Nawet zawiadomili policję.

- Czy pomyślałeś o zleceniu komuś sprawdzenia jego prywatnego laboratorium? - Warren szybko zbierał myśli.

- Oczywiście. Czekałem, podczas kiedy tam wyważano drzwi. Pokój był kompletnie pusty.

- Ten mikrob. - Warren oddychał ciężko. - MacLaren uciekł i zabrał z sobą wszystkie dowody.

- Niewątpliwie tak to właśnie wygląda - usłyszał odpowiedź Grega przez trzaski na linii. - Nikt nie ma pojęcia, gdzie zacząć poszukiwania. Odgłosy, jakie mnie stamtąd dochodziły, wskazują na wielkie zamieszanie.

- Mogę to sobie wyobrazić. - Warren zamilkł na chwilę, szybko myśląc. - Czy mógłbyś wysłać komunikat przedstawiający w punktach, o co chodzi?

- Co właściwie miałbym ogłosić?

- Jak to co? - wybuchnął Warren. - Zaginął człowiek, który ma przy sobie śmiercionośną bakterię!

- Nie mam na to dowodu, Warren. Na litość boską, człowieku, mówiliśmy już o tym. Przyznałeś, że nawet twój personel w Atlancie nie wie, o co chodzi.

- Wygląda na to, że Keith właściwie nie umarł - z sarkazmem zareagował Warren.

- Jeden zgon...

- Rozumiem, rozumiem. Czekaj, niech pomyślę. - Warren przemierzał gabinet wielkimi krokami, rozciągając sznur telefonu na całą długość. - Ja go dopadnę - oświadczył w końcu. - Na własną rękę.

- Nie mogę tego od ciebie żądać - odparł Greg ostrożnie.

- Wiem. I nie potrzebujesz. Zrobię to nieoficjalnie.

- Musisz być cholernie pewny jego złych zamiarów.

- Tak, jestem.

- Cóż, masz zatem moje błogosławieństwo, Warren. Moje i całej społeczności lekarskiej w Anglii. Chciałbym mieć możliwość zrobienia czegoś więcej, ale mam związane ręce.

- Rozumiem.

- Jeżeli uważasz, że mógłbym w jakiś sposób pomóc, naturalnie nieoficjalnie.

- Będziemy w kontakcie.

- Pamiętaj, żeby mnie informować o wszystkim, jankesie.

Po lunchu Warren poszedł do dyrektora Centrum, Brada Forsythe'a. Opowiedział całą historię i poprosił zarówno o nieco więcej niż tydzień na znalezienie MacLarena, jak otwarte konto na związane z tym wydatki.

- Sprawa wygląda na dość naciaganą, Yeager.
- Umarł człowiek.
- Jedna ofiara nie świadczy o epidemii.

Niecierpliwość Warrena była widoczna. Swoim zwyczajem, zaczął krążyć po gabinecie.

- MacLaren uciekł ze swoim mikroblem. Potencjalnie zabójczym.

Czy to nie świadczy o jego winie?

- O co pan go oskarża?

Pytanie to zatrzymało na chwilę Warrena. Jak wytłumaczyć komuś istotę przeczucia?

- Dla mnie ta sprawa cuchnie, dyrektorze.
- Przemawia przez pana instynkt?

- Tak. Instynkt i nie tylko. Już to było podejrzane, że MacLaren pracował w tajemnicy, w swoim własnym, ukrytym laboratorium. Nagle zmarł Keith, a teraz zniknął MacLaren. Cała ta sprawa cuchnie na odległość.

- Istotnie, wydaje się dziwna.
- Więc mogę zacząć działać? - naciskał Warren.

Dyrektor wrzucił ramionami.

- Dobrze, daję panu tydzień i do dyspozycji dwa tysiące dolarów. Mam jednak pewne zastrzeżenie. - Zsunął okulary na czubek nosa i wbił w Warrena przeszywający wzrok. - Działa pan na własną rękę, Yeager. Nieoficjalnie. Będę śledził pańskie poczynania.

- Będę się starał zachować dyskrecję.
- To by było coś nowego...

Warren wiedział, że tego popołudnia musi zrobić jeszcze jedno. Kiedy się wreszcie zdecydował, ogarnęło go dziwne uczucie wruszenia.

Miał wrażenie, jak gdyby wszystko, co zdarzyło się od chwili jego przyjazdu do Dunclýde, w tajemniczy sposób prowadziło do tej oczekiwanej z wewnętrzną radością chwili, która jednocześnie była koniecznością.

Podniósł słuchawkę, po czym wyjął notes i zaczął przeglądać wetknięte tam papierki. Recepty, rachunki, bilety samolotowe. Jest. Rachunek z hotelu w Dunclýde, który trzymał do rozliczenia. Wystukał numer.

- Chciałbym rozmawiać z panią Margery Lundstrom - powiedział Szkotowi, który odebrał telefon.

- Pani Lundstrom zwolniła pokój dziś rano. Powiedziała, że odlatuje do domu.

- Cholera - mruknął pod nosem Warren.

- Przepraszam, nie dosłyszałem, proszę pana.

- Nic, nic, dziękuję.

Położył słuchawkę, wstał i zaczął krążyć po gabinecie. Więc Margery jest w drodze do domu, do Minneapolis.

Gwałtownym ruchem chwycił słuchawkę i wystukał numer informacji.

- Jakie miasto pan sobie życzy?

- Minneapolis. Numer pani Margery Lundstrom.

- Nie znajduję w spisie abonentów tego nazwiska - odparła telefonistka po chwili. - Czy ta pani mieszka w Minneapolis? Może ma zastrzeżony numer?

Próbował z kolei dodzwonić się do uniwersytetu w Minneapolis. Centrala połączyła go z działem personalnym. Naprędce wymyślił historyjkę o zaproszeniu pani Lundstrom do wygłoszenia odczytu w Centrum w Atlancie i w ten sposób wy dobył od dyżurnego w centrali uniwersyteckiej adres Margery i numer jej telefonu.

Uradowany ze zwycięstwa, lekko drżącą ręką wystukał numer kierunkowy, potem numer telefonu. Piękna, szlachetna Margery. Taka

dzielna. Cudowna kobieta. Potrzebował jej teraz bardziej niż kiedykolwiek. Była jego jedynym możliwym łącznikiem z Ianem MacLarenem.

Po pierwszym sygnale odchrząknął. Drugi sygnał, trzeci. Po piątym razie usłyszał brzęk, od którego serce zabiło mu mocniej.

- Halo - usłyszał jej głos. Aksamitny, uwodzicielski, słodki głos Margery.

- Margery? - zawołał.

- ...chwilowo poza domem. Po usłyszeniu sygnału proszę zostawić swoje nazwisko i numer telefonu.

Odłożył słuchawkę z trzaskiem, niezadowolony z siebie i lekko zawstydzony. Jeszcze nie dotarła do domu. Ale jest dopiero druga po południu. Będzie musiał spróbować później.

Z zamyślenia wyrwało go pukanie do drzwi. Aha, to Rose z informacją o przebiegu badań nad mikroblem MacLarena.

- Próbuje teraz zwykle pożywki. Podwójne koncentraty witamin, surowica bydłęca, pożywka podstawowa. Co ty na to, Warren?

- Dobrze. Spróbujcie jeszcze jajek, na wypadek, gdyby ten mikroorganizm miał jakieś cechy wirusa i potrzebna mu była kompletna żywa komórka.

- To bardzo długo trwa, Warren.

- Wiem, ale trzeba próbować. Mam nadzieję, że uda mi się odnaleźć MacLarena, zanim otrzymasz jakieś wyniki, ale na wszelki wypadek.

Rose nerwowo podniosła głowę.

- Odnaleźć MacLarena?

- Ach, prawda. Jeszcze nic nie wiesz. Od Grega dowiedziałem się, że MacLaren zniknął razem z mikroblem.

- No, nie!

- Rozmawiałem już z dyrektorem i wybieram się na poszukiwanie MacLarena. To jest przedsięwzięcie nieoficjalne, Rose, ale muszę to

wziąć na siebie. Wylecę jutro. Muszę wrócić do Glasgow. Czy możesz załatwić mi bilet?

- Pojadę z tobą — oświadczyła Rose.

- Wykluczone. Potrzebna jesteś tutaj do przeprowadzenia tych badań. Przecież wiesz. Poza tym, Morty dostałby szału.

Pogodzili się już z faktem, że Morty nie lubił, kiedy Rose wyjeżdżała z Warrenem w sprawach służbowych.

- Badań może dopilnować Jeff, wszystko już zorganizowałam. A jeżeli chodzi o Morty'ego - twarz Rose zachmurzyła się - on musi zrozumieć, że ja też mam swoje życie.

- Nie możesz jechać, Rose. Muszę mieć swobodę ruchów, będę się przemieszczał szybko. To może być niebezpieczne.

- Wobec tego tym bardziej powinnam pojechać.

- Rose - Warren podjął próbę perswazji, ujęty jej naleganiem. - Naprawdę jesteś mi potrzebna tutaj. Naprawdę. - Nagle przysłała mu do głowy pewna myśl. - Poza tym, dostałem bardzo mało pieniędzy.

- Mogę pojechać na własny koszt.

- Nie! - Teraz już krzyknął, gdyż wyczerpała się jego pomysłowość.

- Niech to licha, Rose, nie możesz jechać!

Rose jak gdyby skuliła się, poblądła na twarzy.

- Dobrze. Załatwię ci rezerwację.

- Jest jeszcze coś Rose - zaczął, próbując osłabić zadany jej cios przez wyznanie prawdy. - Jest ktoś, kto miał bliski kontakt z MacLarenem w Dunclydzie. Amerykanka. Jest moją jedyną ewentualną łączniczką z MacLarenem. Koniecznie muszę ją odnaleźć.

- Amerykanka? - Rose spojrzała na niego podejrzliwie.

- Nazywa się Margery Lundstrom i jest w drodze do domu, do Minneapolis. Będę próbował dodzwonić się do niej. Wiem, że będzie mi mogła poddać jakąś myśl, poradzić, od czego zacząć.

- Rozumiem. Masz do niej zaufanie?

- Muszę. Nie mam nikogo innego.

Rose zmarszczyła czoło.

- Warren - rzekła i zamilkła, jak gdyby szukając właściwych słów.
- To niepodobne do ciebie. Zawierzyłeś kobiecie poznanej zaledwie przed trzema dniami? I to w tak istotnej sprawie?

Wzruszył ramionami. Gdyby Rose poznała Margery, nie mówiłaby w ten sposób.

- Muszę polegać na własnym osądzie. Uważam, że Margery jest całkowicie godna zaufania.
- Margery - powiedział Rose półgłosem.
- Słucham?
- Nic, nic, Warren.

Lot Margery z Londynu do Nowego Jorku był opóźniony z powodu dokładnego sprawdzania bagażu na lotnisku Heathrow. Znowu podłożenie bomby. Kiedy okazało się, że nie znaleziono nic podejrzanego, gromada niezadowolonych, zdenerwowanych pasażerów została wpuszczona na pokład samolotu. Kiedy wylądowali na lotnisku Kennedy'ego, była pierwsza czasu miejscowego. Margery spóźniła się na samolot do Minneapolis. Stała cierpliwie w kolejce za wściekłym biznesmenem, który coś wykrzykiwał, i kobietą z dwójką dzieci, walczącą ze łzami. Margery wzięła od niej niemowlę, żeby kobieta mogła spokojnie poszukać w torebce karty kredytowej. Dziecko płakało, Margery czuła zapach zasyпки niemowlęcej pomieszany z moczem, ale ciepło i ruchy małego ciała sprawiały jej przyjemność.

Ostatecznie udało jej się dostać bilet na samolot do Minneapolis o piętnastej trzydzieści. Dwie godziny czekania. Jadła co prawda w samolocie, ale to był tylko lunch, więc i żołądek zaczął się upominać o swoje. Zamówiła w bufecie kawę z kanapką i siedząc przy stoliku obserwowała przechodzących pasażerów.

Zastanawiała się, co myśli o niej Ian po ich ostatnim spotkaniu. Był wstawiony, to prawda, ale jego zachowania nie mogła przypisać

wyłącznie działaniu alkoholu. Zupełnie stracił panowanie nad sobą. Dzięki Bogu, nie zalecał się do niej. Słabo jej się robiło na myśl, że mógłby jej dotknąć.

Czy dostrzegł jej zdenerwowanie i poczucie winy? Czy zdawał sobie sprawę z jej dystansu? I to całe jego gadanie bez sensu. Plótł jak paranoik. Czyżby zauważył brak probówek i odgadł, że maczała w tym palce?

Wszystko to było okropne. Znowu poczuła przypływ złości na Warrena, który się nią tak bezceremonialnie wyreczył. Zostawił ją samą z upiornym problemem. Bezduszny, arogancki, śmieszny zarozumialec Warren Yeager. A Ian...

Biedny Ian. Prawdopodobnie utraci dotacje, mimo że w swoim sprawozdaniu starała się przedstawić go w jak najlepszym świetle. Zawiodła go. Obiecała sobie, że za kilka dni do niego zadzwoni. Ostatecznie byli przecież kochankami i przeżyli piękne chwile.

Biedny Ian, pomyślała jeszcze raz. Ale także biedna Margery. On może mieć nowe flirty, może się nawet ożenić. Ale nie ona, królowa lodu. Dla niej ta przygoda się skończyła. Teraz wraca sama do Minneapolis do swego ascetycznego, schludnego mieszkania, do swoich wykładów, do samotnego życia kobiety trzydziestoletniej.

Owszem, lubiła uczyć. Odczuwała satysfakcję z oddziaływania na młode umysły. Cieszyła się ze swej rosnącej popularności, lubiła, kiedy ją zapraszano do ekspertyz i prowadzenia seminariów. Pracowała z oddaniem i zasługiwała na uznanie. Ale tylko od tej strony mogła czegoś oczekiwać od życia. Nie miała ani rodziny, ani dzieci, ani żadnej pasji. Będzie zawsze żyła samotnie, będzie zawsze brała na siebie różne obowiązki, nigdy nie zapominając o swojej ułomności, zwłaszcza w zetknięciu ze studentami czy kolegami z uniwersytetu.

No cóż, Margery, powiedziała sobie, dokonałaś wyboru. Teraz nie ma co się żalić. Głowa do góry.

Obok jej krzesła bez przerwy przechodzili pasażerowie o przygasłych oczach. Była coraz bardziej zmęczona i zdenerwowana, co chwila spoglądała na zegar wiszący na ścianie naprzeciw.

Zaczęła się w końcu zastanawiać, co Warren Yeager znalazł w próbkach, które dla niego wykradła. Był jednak człowiekiem niezwykłym, o bardzo silnej osobowości. Nadal czuła się winna i była zła, że mu się dała namówić na włamanie do laboratorium. Co więcej, pozwoliła mu się pocałować. A przecież trudno powiedzieć, że go lubiła.

A w końcu, dolewając oliwy do ognia, odtrącił ją. Wprawdzie zachowywała się owego wieczoru nieco histerycznie, mimo to nie miał prawa tak z nią postąpić. Gdyby nie знаła tego antypatycznego typu lepiej, pomyślałaby, że obawiał się tego pocałunku.

Rzuciła okiem na monitor i zmieniające się na nim informacje dla pasażerów. Zamrugała powiekami. Za piętnaście minut odlatuje samolot do Atlanty. Atlanta. Warren i jego ukochane Centrum.

Co było w tamtych próbkach? Jeżeli nic godnego uwagi, oczyszczałoby to Iana z podejrzeń i mogłaby się z ulgą delektować myślą, że go osłaniała.

Samolot musi być chyba pełny. Atlanta. Co to oznacza? Póttorej godziny lotu. Wiedziała, że Warren tam jest – pracuje, bada swój skradziony łup. Zawsze może potem złapać połączenie z Minneapolis i wieczorem być w domu.

Atlanta. Tak blisko, wyjście numer 23. Warren Yeager, jej współnik w przestępstwie. Dlaczego nie? Decyzję podjęła natychmiast. Dlaczego choć raz nie zrobić czegoś spontanicznie?

Chwyciła płaszcz i szybko ruszyła w kierunku wyjścia 23, gdzie zgromadzili się już pasażerowie lecący do Atlanty. Nie miała biletu. Nic nie szkodzi, wytłumaczy się pośpiechem i dopłaci. Twardy, dudniący pod jej stopami beton wywołał ból w kostce, gdyż prawie biegła.

Atlanta. Warren Yeager. Tylko kim jest ta Rose?

7

Rose podała Warrenowi słuchawkę próbując ukryć ciekawość, którą jednak zdradzał wyraz jej twarzy.

- Dzwoni jakaś kobieta – powiedziała znaczącym tonem.
- Yeager, słucham.
- Warren?
- Tak – zdołał wykrztusić.

Czy to możliwe?

- Warren, tu Margery. – Głos stał się trochę niepewny, jakby skonsternowany. Nie taki, jaki zapamiętała.

- Margery... – Spozregł na siebie wzrok Rose i z rozmysłem odwrócił się do niej plecami. – Gdzie jesteś?

- Na lotnisku w Atlancie.
- Tutaj?

Ona jest w Atlancie!

- Tak, Warren... Ja...
- Na miły Bóg, co ty tu robisz? – rzucił bez zastanowienia.

Długa cisza.

- Więc... chciałam... się dowiedzieć, co z tym mikroblem. Nie mogłam wytrzymać z ciekawości.

- No tak, oczywiście. Chodzi o mikroba, rozumiem. – Szybko zbierał myśli. Mikrob... jest po prostu ciekawa. – Słuchaj, cieszę się, że tu jesteś. Przez cały dzień próbowałem cię znaleźć. Nie miałem pojęcia, że wyjechałaś ze Szkocji...

- Ależ mówiłam ci o tym wiele razy.

- No, tak. To mnie nie dziwi. Wiem, że nie zawsze słucham. Mniejsza z tym.

- Jak mogę się stąd dostać do Centrum?
- Poczekaj, niech się zastanowię. - Przełożył słuchawkę do drugiego ucha i odwrócił się, przeglądając najnowsze dane dotyczące wyników badań. - Czekaj przed frontowym wejściem twojego terminalu. Przyślę kogoś.

- Jak go rozpoznam?
- Ach, prawda. Niech pomyślę...
- Posłuchaj, będę czekać przed terminalem Eastern Airlines. Mam na sobie płaszcz do pół łydki z wielbłądziej wełny i niebieski szalik.
- Płaszcz i szalik.
- Wielbłądzia wełna i niebieski szal.
- W porządku. Za dwadzieścia minut, dobrze? - Odłożył słuchawkę uradowany. Margery jest w Atlancie! Odwrócił się do Rose.
- Rose - powiedział - możesz coś dla mnie zrobić?

Po odejściu Rose, Warren niemal wydeptał ścieżkę na linoleum pokrywającym podłogę. Zupełnie nie mógł się skoncentrować na wynikach badań. To oczywiście sprawka Rose. Nie była zadowolona, że trzeba jechać po Margery. Dlaczego wybrała sobie akurat ten moment, żeby zademonstrować taki brak gościnności? Mniejsza z tym, w końcu zgodziła się. Załatwione. Teraz najbardziej zależało mu na tym, żeby uzyskać od Margery więcej informacji na temat Iana. Raz już mu pomogła. Dlaczego nie mogłaby mu pomóc znowu?

Niecierpliwie czekał na powrót Rose. Próbował analizować własną próbę przekształcenia mikroba, ale rezultat wydał mu się bezsensowny. Jak długo jedzie się na lotnisko? Dwadzieścia minut. Zatem powinny być za czterdzieści. Margery... tutaj. Myślał, że jej już nigdy nie zobaczy. To przeznaczenie. Co nie znaczy, że wierzył w przeznaczenie, był wszak naukowcem i wierzył tylko w wyniki doświadczeń, w fakty. Krążył niecierpliwie po gabinecie, pocił się z podniecenia.

Kiedy Rose otworzyła drzwi, szybko podniósł głowę czując, jak fala gorąca oblewa go aż po szyję. Zdażył zauważyć, że Rose ma twarz

nachmurzoną. Dlaczego? Czyżby z powodu ruchu ulicznego? Rose nie cierpiała tłoku na jezdni... Kiedy dostrzegł smukłą sylwetkę Margery, natychmiast zapomniał o Rose.

Ubrana w standardowy biały kitel z przypiętą na piersi tabliczką dla ważnych gości, Margery, zwiewna i spokojna, wyglądała cudownie. Nie zdając sobie z tego sprawy, długo nie ruszał się z miejsca nie spuszczać z niej wzroku. Te przejrzyste niebieskie oczy, piękna szyja...

- Powiedziałaś mi, że Margery będzie ubrana w płaszcz brązowy - odezwała się Rose strofującym tonem. - Omal jej nie przeoczyłam - ciągnęła nie starając się nawet ukryć zdenerwowania. - Powinienes zacząć zapamiętywać co nieco.

- Tak, wiem. - Ciągłe nie mógł oderwać wzroku od Margery. Było to dość dziwne, ale czuł wręcz nieprzepartą chęć, żeby wyciągnąć rękę i dotknąć jej. Nielatwo było mu tę chęć przezwyciężyć.

Margery uśmiechała się do Warrena niepewnie.

- Byłam na lotnisku Kennedy'ego i uciekł mi samolot do Minneapolis. Zobaczyłam informację o samolocie do Atlanty i... sama nie wiem, nie mogłam się oprzeć. Co znalazłeś w próbkach? Czy mikrob Iana to właśnie ten mikrob?

Warren poczuł delikatny, przyjemny zapach jej perfum.

- Nie - zdobył się na odpowiedź. - Nie całkiem. Jest to jak gdyby jego bliźniak o podobnych cechach. Uznaliśmy, że to wersja wcześniejsza, którą MacLaren rozwinął.

- Nie ten, który uśmiercił Jamie'ego? - zapytała Margery.

- Niemal identyczny - odparł Warren. - Próbujemy wyhodować w naszym laboratorium tego śmiertelnośnego mutantą. Niestety, MacLaren miał znacznie więcej czasu. Tymczasem ulotnił się gdzieś ze swoim mikroblem, a my możemy biedzić się nad tym mutantem przez całe lata świetlne.

Margery zmarszczyła brwi.

- Co masz na myśli mówiąc: ulotnił się?

- Nic o tym nie wiesz?

- O czym?

Warren spojrział na Rose, która tylko wzruszyła ramionami. Wyraźnie nie miała zamiaru mu pomóc.

- Ian zniknął.

- Zniknął?

- Jak dym z papierosa. Nie ma go.

Margery zbladła i osunęła się powoli na stołek laboratoryjny.

- A mikrob i wszystkie notatki?

- Nie ma nic, zniknęły razem z nim.

- Ale dlaczego? - wyszeptała.

Warren pocierał dłonią szczękę z wyraźnym cieniem zarostu.

- Nikt tego nie wie.

Nagle Margery podniosła głowę.

- Więc dlatego próbowałeś się skontaktować ze mną. Czyżby ją to rozgniewało?

- Słuchaj, ja... Tak, istotnie. Mówiąc uczciwie sądziłem, że mi pomożesz.

Spojrzał na Rose oczekując jakiegoś wsparcia, ale Rose obojętnie przeglądała medyczne wydawnictwa. Sprawiała wrażenie, jak gdyby specjalnie unikała angażowania się w tę sprawę. Od początku nie powiedziała ani słowa, co było całkiem do niej niepodobne.

Warren wcisnął głowę w ramiona.

- Przecież pamiętam, że dotąd zrobiłaś w tej sprawie więcej niż ktokolwiek inny, a teraz sytuacja jest jeszcze poważniejsza, Ian ukrył się nie wiadomo gdzie, razem ze swoim straszliwie niebezpiecznym mikroblem. Muszego znaleźć.

- I zastanawiasz się, co on z tym mikroblem robi? - zapytała Margery chłodnym tonem.

Warren znowu zaczęła przemierzać gabinet wielkimi krokami. Co może robić Ian? Było to pytanie zasadnicze. Jego zachowanie i

motywacja. Co kierowało jego postępowaniem? Warren przekonany był o tym, że cokolwiek Ian zamierza, nie może z tego wynikać nic dobrego. Ale jak do tego przekonać Margery?

Nagle przestał chodzić i stanął przed Rose.

- Posłuchaj, Rose. Chciałbym porozmawiać z Margery sam na sam - rzekł ściszym głosem. - Sądzę, że zgodzi się pomóc, ale w tej chwili jest nieco speszona.

- Jestem pewna - odparła słodkim głosem Rose - że ją przekonasz. Może o tym nie wiesz, ale masz wielką siłę perswazji.

Warren głośno przełknął ślinę.

- Nie chciałym... - urwał zirytowany, po czym dodał już szorstkim tonem: - Czy mogłabyś, z łaski swojej, przynieść dla nas wszystkich trochę kanapek, czy co tam mają? - Sięgnął do kieszeni spodni po pieniądze. - Idź do bufetu.

- Ależ oczywiście, Warren - odparła Rose nonszalancko. - Przyniosę ci twój lunch.

Wyszła trzasnąwszy drzwiami.

- Zdaje się, że przeszkadzam. - Margery podniosła się. - W ogóle nie powinnam była przyjeżdżać.

- Ależ jesteś mi potrzebna! - zaprotestował Warren.

- Nie mogę ci pomóc. Naprawdę.

Bił od niej chłód. Była piękna, wyniosła, zdawała się niedostępna i odwróciła się jak gdyby z zamiarem wyjścia. Bez namysłu podszedł do niej i chwycił ją za rękę.

- Nie, nie wolno ci odejść. Jesteś jedyną osobą, która mi może pomóc.

- Warren - zaczęła patrzeć na przytrzymującą ją rękę.

- Ian zniknął, Margery. Zabrał z sobą mikroba. Nikt, nawet jego laboranci nie wiedzą, gdzie się może znajdować. Nie ma dobrych zamiarów. Jestem o tym przekonany. Wierzę, że myślisz tak samo.

- To znaczy jak? - Jeszcze się broniła, ale nie próbowała uwolnić ręki.

Warren zwolnił uścisk.

- Jeszcze nie wiem.

- Jestem pewna, że postępowanie Iana da się logicznie wytłumaczyć.

- Dlaczego go bronisz? - spytał znienacka.

- Nie bronię go. - Jej oczy błysnęły gniewem, przypominały teraz szafiry. - Próbuję zrozumieć, co w twojej opinii, czy raczej odczuciu, Ian chce zrobić.

- Jakikolwiek są jego zamiary, muszę go odszukać. Już poznałem i jego, i jego metody postępowania. Ty jesteś jedynym ogniwem. Sytuacja jest dramatyczna.

Patrzył jej prosto w oczy, jak gdyby ją hipnotyzował. Zakłopotana spuściła wzrok.

- Czy wierzysz mi, Margery?

Zdawało mu się, że cała wieczność upłynęła, zanim odpowiedziała.

- Tak. - Jej głos był tak cichy, że ledwo usłyszał.

Rozsadzała go wręcz duma z odniesionego zwycięstwa. Miał jej jeszcze tyle do powiedzenia, tyle chciał zadać pytań, lecz tymczasem otworzyły się drzwi i weszła Rose, niosąc na tacy kawę i trzy kanapki, Warren puścił dłoń Margery, czując się jak mały chłopiec przyłapany z ręką w słoju z ciasteczkami.

- Kanapki - oznajmiła Rose suchym tonem, rzucając Warrenowi szybkie spojrzenie.

Zasiedli na stołkach i wzięli do ręki kanapki. W laboratorium zapadła cisza, przerywana tylko od czasu do czasu odgłosem szybkich kroczków białych szczurów biegających w klatkach. Jedli starając się na siebie nie patrzeć. Warrenowi wydawało się, że atmosfera jest tak naładowana, jakby lada chwila miała wybuchnąć burza.

- Rano lecę do Glasgow – powiedział nie zwracając się bezpośrednio ani do Rose, ani do Margery. – Chciałbym wiedzieć, od czego zacząć... – Dwa razy ugryzł kanapkę z tuńczykiem, nie polykając kęsów. Margery wypła kawę, ale połowę kanapki odsunęła na bok.

- Jak sądzisz, co on zamierza zrobić? – zapytała Warren bezbarwnym głosem.

- Przede wszystkim wiemy, że najprawdopodobniej utraci dotację.

Twarz Margery posmutniała. Warren siedział wpatrując się w nią bez słowa. Było jasne, że Ian nie jest jej jeszcze całkiem obojętny. Czyżby go kochała? Mimo że spowodował śmierć i uciekł? Może nawet tęskni za nim?

- Wszystko na to wskazuje – powiedziała z pochyloną głową.

- Może ma nadzieję, że znajdzie jakieś wyjście – rzucił Warren.

- Dzięki śmiercionośnemu mikrobowi? – przypomniała Margery.

- Tak, właśnie. To, że ten mikroba zabił Jamie'ego, jest naszą hipotezą, a to, że MacLaren zniknął ze swoim mikroba, jest faktem. Mógł się kierować różnymi motywami.

- Mianowicie? – zapytała Margery.

Warren wstał i zaczął chodzić po laboratorium.

- Albo jest u progu ważnego osiągnięcia naukowego w dziedzinie antykoagulacji... Szczerze mówiąc, nie biorę tej możliwości pod uwagę.

- Dlaczego?

- Ponieważ nie pracowaliby wtedy w takiej tajemnicy i nie wyjechałby z Duncllyde. Bardziej prawdopodobne jest, że dokonał jakiegoś innego odkrycia, które chce doprowadzić do końca i udoskonalić. Tego, do którego doszedł przez przypadek. Które jest takie zastraszające.

- Ale dlaczego? – dopytywała się Margery. – Co mu to da?

Warren wyraźnie usłyszał ból w jej głosie. Poczul się jakby zmrożony.

- Nie można wykluczyć, że zamierzą użyć tego mikroba jako narzędzia przetargowego - zasugerował. - Trzymać go nad głowami panów w Londynie, żeby ich zmusić do przedłużenia dotacji.

- Ależ to szaleństwo - szepnęła Margery.

- Może ma jeszcze inny pomysł - wtrąciła Rose. - Na przykład, żeby zdobyć pieniądze, może planuje sprzedaż swojego mikroba?

- Komu? - zapytała Margery.

- Komukolwiek - odezwał się Warren. - Któremuś z państw Trzeciego Świata, na przykład. Ten mikroba naprawdę jest bronią śmiertcionośną.

- Masz na myśli... wojnę biologiczną? - Margery nerwowo wciągnęła powietrze. - Nie. Tego by nie zrobił.

- Kto wie? Może jest desperatem? - powiedziała Rose cichym głosem.

Margery niespokojnie wodziła wzrokiem dokoła. Przez dłuższą chwilę w ciszy zastanawiali się nad tą sugestią. Wreszcie Warren zwrócił się do Margery:

- Czy widzisz jeszcze jakiś inny powód dziwnego zachowania Iana? Potrzęsnęła ze smutkiem głową.

- Zastanawiam się, czy wyczerpałście wszystkie możliwości.

- Margery - odezwała się Rose spokojnie. - W Centrum zajmujemy się bardzo wnikliwie badaniem podobnych incydentów. Powody, dla których naukowcy doprowadzają do rozwoju nowych organizmów, są różne. Jeżeli nie chodzi w ich pracy o dobro ludzkości, wtedy niemal zawsze chodzi o coś przeciwnego. Wiemy, że Ianowi potrzebne są pieniądze.

- Czy zgodzisz się nam pomóc? - spytał Warren łagodnie. - Znasz Iana lepiej od innych. Musisz pomóc.

Margery siedziała ze spuszczoną głową. Kiedy podniosła wzrok na Warrena, zobaczył, że oczy ma wypełnione łzami.

- Co ja mogę pomóc? Tak samo jak wy nie mam pojęcia, dokąd się udał.

- Ale znasz jego przyzwyczajenia. Może wspominał o czymś, co może się nam przydać: przyjaciół, ulubiony sposób spędzania urlopu, miejsca, które zna... cokolwiek, co by było dla nas jakąś wskazówką. Jest jeszcze laboratorium, masz do niego wolny dostęp...

- Chcesz tam wrócić? - spytała przestraszona.

- Muszę. Jest to ostatnie miejsce jego pobytu. Poszukiwania trzeba rozpocząć stamtąd.

- Ale za kilka dni mam początek nowego semestru, w poniedziałek. Mam swoje obowiązki, pracę. Nie mogę tak po prostu machnąć na to ręką i wyjechać sobie. Dopiero co wróciłam.

- Margery, jesteś mi tam potrzebna.

- Nie mogę. Musisz to zrozumieć.

Wstała, jak gdyby zamierzała wyjść, ale usiadła z powrotem z bezradną miną.

- Nie mogę.

- Warren, jeżeli Margery naprawę nie może... - zaczęła Rose.

Spojrzenie Warren'a spowodowało, że zamilkła. Do licha, co ta Rose znowu knuje?

- Margery, czy zdajesz sobie sprawę, jakie to ważne?

- Ależ tak, zapewniam cię. Nie brakuje mi wyobraźni... ani poczucia odpowiedzialności - powiedziała oschłym tonem.

- Wobec tego zrobisz to, co uznasz za słuszne.

- Warren, nie stać mnie na włóczenie się po całym świecie. To znaczy...

- Wszystko finansuje Centrum - oświadczył, odsuwając na bok jej obiekcje.

- Ile czasu to zajmie?

Miał pokusę żeby skłamać, ale jej nie uległ. Nie wolno mu okłamywać Margery.

- Nie wiem.

- Wydaje mi się... wydaje mi się, że mogłabym pomóc ci ruszyć tę sprawę z miejsca, ale pamiętaj, że mogę ci poświęcić najwyżej kilka dni.

- Dobrze. Rose załatwi nam bilety. Lecimy jutro.

O piątej Warren odprowadził Rose i Margery na wielki parking przed Centrum, do samochodu Rose. Musiał jeszcze coś zrobić w laboratorium. Chociaż sam nie wiedział dlaczego, z największą niechęcią tracił Margery z oczu. Wmawiał sobie, że wygląda na bardzo zmęczoną, była przybita, musi pamiętać o jej zdrowiu. Ostatecznie, żeby mu pomóc, zdecydowała się zmienić własne plany.

Oddał Margery w ręce Rose, która miała go zastąpić.

- Do zobaczenia wieczorem.

- Wieczorem?

- Warren przychodzi do nas na kolację.

- Rozumiem.

- Do zobaczenia.

Warren cofnął się od drzwi samochodu. Przez chwilę patrzył, jak odjeżdżają, a potem wsunął ręce do kieszeni spodni i wrócił do bloku numer siedem.

Zastanawiał się, dlaczego Margery tak naprawdę zgodziła się mu pomagać. Czy ze względu na dobro ludzkości, czy - pochlebiając sobie - może on sam się tu trochę liczyć?

Nie bądź śmieszny, zgromił się za tę myśl. Zgodziła się, bo ona i Ian byli kochankami. Poczul bolesny ucisk w żołądku. Ciekawe, co Margery zrobi, kiedy uda im się odnaleźć Iana! Wobec kogo okaże się lojalna?

Mimo przyjaznego i uprzejmego zachowania Rose, Margery czuła się skrępowana. Kilka razy w czasie jazdy przez płaskie, pełne drzew i zieleni przedmieścia, Margery miała ochotę powiedzieć: „zatrzymaj się,

wynajmę pokój w motelu”. Nie miało to jednak sensu, także byłoby krępujące, może nawet dziwne.

Skręciły na pnący się w górę podjazd za skrzynką pocztową i Rose zaparkowała samochód przed bliźniakiem z czerwonej cegły. Na podjeździe stało już jedno auto.

- Czy to samochód twojego męża?

Rose skinęła głową.

- Tak. Morty także pracuje w Centrum, ale na innym oddziale.

- Poznaliście się Atlancie?

- Tak - potwierdziła Rose. - Była to taka randka w ciemno.

Z uśmiechem wzruszyła ramionami i wysiadła z samochodu.

- Macie dzieci? - dopytywała się Margery, kiedy obie ciągnęły do domu jej walizkę.

- Jeszcze nie. Na razie nie mamy na to czasu, jesteśmy bardzo zapracowani.

- Tak. Rozumiem - powiedziała Margery, chcąc w jakiś sposób podtrzymać rozmowę. Z obserwacji wiedziała, że jest wiele małżeństw, w których oboje małżonkowie mają dobre stanowiska w swoich zawodach, a jednak, jak się zdaje, nigdy nie mają dość czasu albo pieniędzy, żeby mieć dzieci. Zastanawiała się, czy Rose w ogóle chce mieć prawdziwą rodzinę.

Morty, wysoki, szczupły i przystojny mężczyzna, kilka lat starszy od swojej żony, powitał Margery ciepło. Wziął od niej walizkę i wniósł na piętro, otwierając drzwi do ładnego pokoju gościnnego, którego ozdoba był dywan utrzymany w ciepłych kolorach żółci i zieleni w odcieniu mchu. Meble wyglądały na nowe, w niezłym gatunku, politurowane. Każdy najmniejszy drobiazg miał swoje miejsce. Kwiaty, jak zauważyła, były sztuczne, ale zrobione z jedwabiu.

- Dziękuję - zwróciła się Margery do Morty'ego.

- Bardzo mi miło. Miewamy od czasu do czasu gości z miasta i Rose zawsze umieszcza ich w tym pokoju. Jest tu chyba o wiele przyjemniej aniżeli w motelu, prawda?

- Tak, oczywiście - potwierdziła Margery z uśmiechem.

- Zostawię cię teraz, pewnie chcesz się odświeżyć - powiedział już w progu. Po czym z wahaniem zapytał: - Przyjechałaś zobaczyć się z Warrenem?

- Prawdę mówiąc, wybieram się na coś w rodzaju polowania... - Urwała. Czy wolno jej komukolwiek o tym mówić?

Morty przybrał poważny wyraz twarzy.

- Wszystko w porządku. Jestem na bieżąco w sprawie Szkocji. Rose mówi mi o wszystkim.

- To świetnie - powiedziała Margery. - Odlatujemy z Warrenem do Szkocji jutro rano.

- Długo znasz Warrena?

- Zaledwie kilka dni.

- Warren jest dość... bojowy.

- O, z pewnością - przyznała apatycznie Margery.

- Przeszkadzam ci. Proszę, rozgość się. - Morty miał na sobie dżinsy i koszulkę polo. - Koktajle będą podane za dwadzieścia minut. Przyrządzam zwykle martini.

Margery przebrała się w luźne granatowe spodnie i swój ulubiony irlandzki sweter z wykładanym okrągłym kołnierzykiem. Była gotowa w ciągu dziesięciu minut. Usiadła na brzegu łóżka, próbując zebrać myśli. Szkocja. Czy zwariowała, zgadzając się wracać z Warrenem do Szkocji? Jak ma to wytłumaczyć dziekanowi w Minneapolis? Nie może powiedzieć profesorowi Ricktersowi całej prawdy, musi wymyślić coś absolutnie przekonującego. Co będzie, jeżeli straci szansę na etat?

Warren. Nie można się zorientować, co on właściwie czuje.

Do tego nie wiadomo, co myśleć o szczególnych stosunkach łączących go z Rose. W Szkocji często o niej mówił.

Wstała zdecydowana zejść na ten koktajl i zapomnieć o Warrenie i jego problemach. Nie powinno ją to obchodzić. Leci z nim do Szkocji pomóc w odnalezieniu Iana, i to wszystko.

Przyjemnie popijało się martini, które jednak szybko szło do głowy. Po długim locie, jaki odbyła, i po pierwszym drinku uznała, że powinna na tym poprzestać.

- Nie, dziękuję - powiedziała, kiedy Morty podniósł kryształową karafkę. - Już czuję działanie tego jednego.

- Na pewno marzysz o łóżku - powiedziała Rose, która się wreszcie pokazała, odświeżona i przebrana. Wyglądała bardzo ładnie z jeszcze wilgotnymi, wijącymi się włosami, ubrana w szerokie wygodne spodnie i zielony sweter narciarski.

- Pomyślałam, że może upieczemy kurczęta na rożnie w ogrodzie - oświadczyła w drodze do kuchni. - Co ty na to?

Margery poszła za nią.

- Wspaniale. Barbecue w zimie - zdziwiła się. - W Minnesocie cieszymy się, kiedy się nam trafiają dwa kolejne dni bez mrozu.

- Georgia jest piękna - powiedziała Rose, krojąc kurczaki na części.

Margery ofiarowała się z pomocą i już za chwilę kroili pomidory i rozrywała liście sałaty.

- Pochodzisz z Georgii?

Rose potrząsnęła głową.

- Z Ohio.

- A Morty?

- Ze stanu Nowy Jork, z części północnej.

- Wszyscy są tu, widzę, przybyszami.

- W ciągu ostatnich dwudziestu lat Atlanta rozrosła się jak chwast. Mnóstwo zakładów przemysłowych, wspaniałe hotele, wielkie centra zjazdów wszelkiego rodzaju...

- Centrum Badań Kontrolnych...

- No, tak, także Centrum - włączył się do rozmowy Morty. - Mam już grill, więc jak będziecie gotowe... - Pociągnął łyk swego drugiego martini. - Centrum zatrudnia ponad dwa tysiące osób, tylko tu, w Atlancie. Setki innych pracuje niemal w każdym mieście, jak Stany długie i szerokie.

- To olbrzymia instytucja - powiedziała Rose. - Jeśli ktoś kichnie w Cokeville w stanie Wyoming, następnego dnia mamy to zarejestrowane w komputerze.

- Zdumiewające. - Margery wstawiła gotową sałatkę do lodówki. Wycierała ręcznikiem ręce, kiedy w drzwiach kuchni pojawił się Warren.

- Cześć, Warren - zwrócił się do niego Morty. - Drinka?

- Jednego. - Spojrzał na Margery i uśmiechnął się zakłopotany. - Dobry wieczór.

- Witaj - odpowiedziała i niespodziewanie nabrała ochoty na drugiego drinka.

- Warren, możesz pomóc Morty'emu przy kurczakach - odezwała się Rose, przesuając się bokiem obok niego, żeby się dostać do kredensu.

Wydaje się, pomyślała Margery, że Warren często jada u Freedów. Nawet nie zapukał, tylko ot tak, po prostu wszedł sobie do kuchni. No, ale przynajmniej przebrał się i ogolił. Miał na sobie brązowy sweter z szetlandzkiej wełny, a pod nim koszulę. Co prawda kołnierzyk był postrzępiony, a sweter na łokciach wytarty, ale niech tam. Wszedł z kuchni pomóc Morty'emu i wtedy Margery skonstatowała, że dzinsy leżały na nim o wiele lepiej aniżeli tamte okropne sztruksowe spodnie, w których go dotąd widziała. Margery, zganiła się w duchu, uspokój się.

Do kolacji zasiedli przy okrągłym kuchennym stole, zastawionym codziennym nakryciem. Rose, spostrzegła Margery, utrzymywała wszystko w nadzwyczajnym porządku - nienagannie czysta kuchnia, zadbanej dom, przystrzyżony trawnik... nawet pomalowana skrzynka na

listy. Osobowość na piątkę – zorganizowana, nieco przesadna pedantka. Ciekawe, gdzie byłoby w tym domu miejsce na dzieci?

Kolacja upływała w milej atmosferze, aczkolwiek Margery wyczuwała jakieś dziwne napięcie, którego natury nie mogła pojąć. Rozmowa była interesująca. Rose i Warren omawiali testy, którym poddali mikroba, a Morty wykazał duże zainteresowanie pracą Margery. Coś jednak wisiało w powietrzu. Margery często chwytała uważne spojrzenia Morty'ego, kiedy jego żona promieniała ożywieniem w czasie rozmowy z Warrenem.

Rose okazywała zainteresowanie Warrenem w sposób kontrolowany, ale jednak. Zdarzyło się, że zatrzymał na Margery wzrok kilka sekund dłużej i Rose natychmiast zapytała:

– Czy słuchasz, co mówię, Warren?

Margery w takich chwilach płonęła ze wstydu. Czuła się winna, co jeszcze pogarszało jej samopoczucie.

Po kolacji wszyscy zabrali się do sprzątanía. Warrenowi udało się nawet wytrzeć pięknie stół i starannie poustawiać na miejscu wszystkie krzesła. Co ty o nich wiesz, powiedziała do siebie Margery.

Kiedy kuchnia została uporządkowana, Morty rzucił okiem na zegarek.

– Może ktoś ma ochotę na drinka?

– Warren musi wcześniej wstać – szybko wtrąciła Rose.

Znowu nieprzyjemny zgrzyt, pomyślała Margery.

– Margery? – zapytał Morty odwracając się plecami do żony, która odprowadzała Warrena do drzwi udzielając mu ostatnich instrukcji.

– Nie zapomnij swoich notatek.

– Nie, dziękuję, Morty. Jeśli pozwolisz, chciałabym zadzwonić.

– Bardzo proszę. Tam jest telefon.

– Może mi się uda przespać dziesięć godzin. Jestem wykończona. –

Uśmiechnęła się do Morty'ego, próbując jakoś rozładować atmosferę.

Na szczęście Warren już wychodził i mogła odetchnąć. Bez względu na to, co powodowało napiętą atmosferę w tym domu, obecność Warrena jeszcze ją pogarszała. Kiedy był w pobliżu, Margery z trudem panowała nad sobą. Co takiego w nim jest, że staje się w jego obecności niezdolnie przewrażliwiona?

Podchodząc do telefonu, głęboko wciągnęła powietrze. Usłyszała, jak Rose, upominając czy wręcz strofując Warrena, trzyma go w drzwiach, jak gdyby chciała przeciagnąć moment jego odejścia w nieskończoność. Ogarnęła ją złość. Co za brak wrażliwości! Co może czuć Morty, jej mąż? Opanowała się jednak natychmiast. To nie jej sprawa i nie jej problem. Warren, Rose i Morty powinni sami go rozwiązać.

Profesora Kennetha Ricktersa zastała w domu.

- Muszę poświęcić mojej pracy kilka dni więcej, niż się spodziewałam...

- Ależ w poniedziałek zaczynają się przecież wykłady.

- Wiem, panie profesorze, ale nie spóźniłabym się, gdybym nie miała szczególnie ważnych powodów.

- Jestem tego pewien - powiedział szczerze - ale w połowie tygodnia, przypuszczam, pojawi się pani.

- Mam nadzieję.

- Rozumiem. - Zanim Rickters odłożył słuchawkę, dodał jeszcze: - Oczywiście pani pamięta, że w lecie ma pani dostać etat?

- Jest to dla mnie sprawa najwyższej wagi, profesorze - powiedziała uczciwie.

- Dobrze. Dobrze. Nie chciałbym tylko, żeby pani sobie czymś zaszkoziła. Może pani zawsze organizować swoje wyjazdy w czasie, kiedy nie ma zajęć.

- I tak w przyszłości będzie.

- Połowa tygodnia, przypominam.

- Tak, panie profesorze. Dziękuję.

- Ummm...

- Dobranoc, profesorze.

Margery wróciła do salonu opanowana tylko jedną myślą - profesor Rickters ostrzegł ją, że może utracić etat. Zrobił to oczywiście w sposób bardzo delikatny, niemniej wyraźny. Dziękuję ci, Warren, pomyślała z goryczą.

Rose skończyła wreszcie z instrukcjami dla Warrena i stała teraz na środku pokoju, nerwowo zacierając ręce.

- Hmm, czekają na mnie w sypialni zaległe numery „Time'a”. Mam nadzieję, że mi wybaczysz?

- Ależ oczywiście - odpowiedziała Margery. - Ja też mam zamiar zaraz się położyć.

Morty podszedł do kredensu.

- Widzę, że będę musiał wypić jednego na sen w samotności - oświadczył patrząc na Rose zniechęcony. - Może złapię jeszcze ostatnie wiadomości.

- Więc dobranoc.

Margery zdobyła się na wymuszony uśmiech. Była skrępowana świadomością, że stosunki między małżonkami nie są najlepsze. Odwróciła się i poszła na górę do pokoju gościnnego. Zanim zamknęła drzwi, zdążyła jeszcze usłyszeć głos Rose:

- Ale tylko jednego, Morty.

Boże, jak dobrze jest w łóżku. Jasnozielona pościel była świeża i pachnąca, a ona śmiertelnie zmęczona po udrękach ostatnich dni. Próbowwała się odprężyć i przemyśleć wszystko, co się wydarzyło, ale było to tak zagmatwane, że dała sobie z tym spokój do rana.

W pewnej chwili odniosła wrażenie, że słyszy przytłumione głosy. Nie chciała się budzić, próbowała spać dalej. Nadaremnie. Z niechęcią podniosła wreszcie powieki i spojrzała na czerwone, migające światełko budzika. Dwunasta piętnaście. Błysk. Dwunasta szesnaście...

- Nic mnie to nie obchodzi, do cholery! - dobiegł ją z dołu podniesiony głos. To Morty. Potem Rose syknęła:

- Cicho!

Sprzeczką toczyła się dalej, nieco ciszej, ale Margery już rozbudziła się na dobre. Jakież to upokarzające, pomyślała naciągając kołdrę, żeby nie słyszeć.

- Ja pracuję z nim, na litość boską! - Rose podniosła głos. - Wymyślasz, co ci się podoba i czepiasz się mnie. Och, dosyć już tego! Idę do łóżka!

- Idź, idź! Szkoda, że nie czeka tam na ciebie Warren... Wiem, że serce ci się kraje z tego powodu!

- Idź do diabła, Morty! - Trzask zamykanych drzwi. Nagle w domu zapanowała taka cisza, że aż dźwięczało w uszach.

Margery usiadła na brzegu łóżka, apatycznie patrząc na promyk słabego porannego słońca na zielonym dywanie. Ależ jej się trafiło! Ciekawa była, jak będzie wyglądało śniadanie. Może powinna poczekać, aż Morty pojedzie do pracy i dopiero potem zejść na dół? Cóż, jednak nieuniknione jest spotkanie z Rose, która ma odwiedzić ją i Warrena na lotnisko. Czy w samochodzie też można się spodziewać jakiejś sceny?

Margery już to słyszała: „Warren, pamiętaj, uważaj na siebie i nie zapomnij o myciu zębów”. Przestań, Margery.

A co Warren sądzi o tym małżeństwie? Nie ulegało wątpliwości, co Rose czuje do swojego szefa. On jak gdyby tego nie dostrzegał, ale czy mężczyzna może być aż taki ślepy?

Przypomniała sobie, że Morty wypytywał ją o Warrena, jak długo się znają i tak dalej. Z pewnością sprawiłoby mu ulgę, gdyby się dowiedział, że Warren ją pocałował.

Zmusiła się, żeby o tym nie myśleć. Znała Rose jeden dzień, a Warren wydawał się szczerze nieświadomy jej uczucia.

Tak czy owak, Margery, to nie twoja sprawa, pomyślała i zeszła do kuchni.

Niecierpliwie spacerując tam i z powrotem, Warren czekał na nie pod swoim blokiem. Rose, milcząca i z oczami zaczerwienionymi z niewyspania, podjechała do krawężnika.

- Czeka - mruknęła do siebie.

- Spóźniłaś się - oświadczył Warren pochylając się do okienka Rose.

- Nie, nie spóźniłam się - odpowiedziała zmęczonym głosem, wręczając mu kluczyki do bagażnika.

Kiedy wkładał walizkę, Rose zwróciła się do Margery:

- Czy nie sprawiłoby ci różnicy, gdyby Warren usiadł z przodu? Ma takie długie nogi, a z tyłu jest ciasno.

- Ależ oczywiście, proszę. - Margery wysiadła i wyciągnęła rękę do klamki tylnych drzwi. Warren jednak był szybszy i już je otwierał.

- Dzień dobry, Margery - powiedział patrząc jej w oczy tak intensywnie, że się zarumieniła.

Trwało to nieco za długo, aż w końcu Margery wykrztusiła coś bez sensu i wsiadła do samochodu.

- Możemy jechać? - szorstko spytała Rose.

W drodze na lotnisko Warren szybko udzielał jej wskazówek dotyczących pracy w laboratorium.

- Zaraz po powrocie zacznij robić analizę krystalograficzną.

Siedząc na tylnym siedzeniu Margery patrzyła to na Rose, to na Warrena i zastanawiała się, jak to z nimi jest naprawdę. Ostatecznie uznała, że prawdopodobnie jest to tylko przyjaźń, ale pamiętała również wczorajszą kłótnię Freedów.

Ale czy to wszystko ma dla niej jakieś znaczenie?

Miała do wykonania pewne zadanie w sprawie najwyższej wagi, a problemy Warrena w porównaniu z tymi, jakie miał Ian, były doprawdy

znikome. Wmawiała w siebie, że nie obchodzi ją ten egoista, zadufany w sobie pan doktor Yeager. Nie mogła jednak opanować podniecenia, w jakim żyła od kilku dni. Wdała się w dziwną przygodę z tym osobliwym, nadpobudliwym geniuszem. Jak to się skończy? Czy uda im się odnaleźć Iana? Co wtedy?

Na lotnisku Rose wjechała na odpowiedni pas, wyłączyła stacyjkę i odwróciła się do Warren.

- Tym razem powinnam lecieć z tobą - powiedziała z naciskiem. - Jeff z powodzeniem mógłby wykonać pozostałe testy.

- Ale ty to zrobisz lepiej - uciał Warren.

Margery wysiadła z samochodu i podeszła do otwartego okienka Rose.

- Dziękuję za wszystko - powiedziała uprzejmie. - Mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy.

- O, tak. Jestem tego pewna - odpowiedziała Rose, rzucając Warrenowi twarde spojrzenie.

8

Kolację podano w samolocie wczesnym popołudniem, stosując się do czasu w Atlantycie. Margery była rozkojarzona. Trudno jest dojść do siebie po szybkich zmianach czasu i temperatury. Z żalem pomyślała, że nie opracowano jeszcze ostatecznie formuły pigułki zapowiadanej przez chemików od pewnego czasu, która rzekomo ma likwidować niemal chorobowe stany po długich podróżach samolotem.

Mimo wielkiego fizycznego zmęczenia, które czuła w całym ciele, jej umysł bezustannie pracował, nie tylko nie pozwalając jej zasnąć, ale nawet odpocząć.

Rose pierwotnie kupiła Warrenowi bilet w pierwszej klasie, ale kiedy okazało się, że leci ich dwoje, zmieniła ten bilet na dwa w klasie turystycznej. Długie nogi Warrena ledwo się mieściły w ciasnej przestrzeni między rzędami foteli, a jego szerokie ramiona znalazły się w krępującym sąsiedztwie ramion Margery. Ich dotyk raz po raz wywoływał w niej przyspieszone bicie serca. Co ona tu robi? Dlaczego Warrenowi udało się ją namówić do tak niewiarygodnego przedsięwzięcia? Nadal miała w oczach nachmurzoną twarz Rose, siedzącej w samochodzie przed terminalem w Atlantycie. W pewnym stopniu współczuła jej, zbyt dobrze wiedząc, co kobieta czuje, kiedy mężczyzna ją odtrąca. A przecież Warren był w stosunku do Rose okrutny. No, powiedzmy nie okrutny, ale całkowicie obojętny, podobnie jak mąż przyjmujący zabiegi żony za rzecz naturalną, należną sobie.

Warren zmienił lekko pozycję i mocniej dotknął jej ramienia, co natychmiast wywołało w niej drżenie. Nie pozwól mu się domyśleć. Nie powinien wiedzieć, jak na nią działa. Powinna zachować chłodny, wręcz olimpijski spokój.

Samolot leciał, zostawiając za sobą zachód słońca. Zapadał zmierzch i jakimś cudem Margery udało się zdrzemnąć. W pewnej chwili obudziła się. To Warren trącił ją łokciem.

- Jak myślisz, gdzie może być MacLaren? - Pytanie zabrzmiało wręcz naiwnie, jak gdyby musiała wiedzieć. Spojrzała na niego zaspanymi oczami.

- Nie wiem. Poznałam go zaledwie trzy tygodnie temu. Nie mam pojęcia, dokąd uciekł.

- Jednak poznałaś go jako tako. Czy wspominał jakichś kolegów? Przyjaciół? Rodzinę, byłe żony?

- Matkę - odparła zmęczonym głosem. - Mieszka w Edynburgu. Spędziłam u niej Boże Narodzenie.

- Więc jednak mamy jakiś trop. Nie mówiłaś mi jeszcze o tym. A przyjaciele? Czy on ma przyjaciół?

Margery potrząsnęła głową.

- Nigdy nie mówił o nikim w sposób szczególny. Zapamiętałabym.

- Ciekawe, czy kontaktowałby się z matką? - zastanowił się Warren.

- Jego pracownicy w laboratorium mogą wiedzieć coś więcej. Niektórzy pracują tam od lat - rzekła Margery.

- Tak, oczywiście, porozmawiamy z nimi. Nie. Ty z nimi porozmawiasz, wypytasz ich... Znają cię przecież - postanowił Warren..

- Nie zdradz się, po co naprawdę przyjechaliśmy. Nie można dopuścić do paniki.

Odwróciła twarz. Chętnie poprosiłaby go, żeby jej tak nie instruował, ale czy to by coś dało? Była na razie zbyt zmęczona, żeby podjąć jakąś próbę. A przecież czy nie byłoby cudownie, gdyby Warren był łagodniejszy, troskliwszy, gdyby był mężczyzną, do którego kobieta może się przytulić, na którym może się oprzeć? Jakże inaczej patrzyłaby wtedy na swoją przygodę! Mogliby rozmawiać, ale serdecznie. Mogliby

dzielić każdą chwilę, każdą godzinę, posiłki, dnię, nawet skarżyć się wzajemnie na zmęczenie.

Tu przypomniała sobie, że Warren nigdy chyba się nie skarżył na zmęczenie i, doprawdy, co ona robi myśląc o czymś tak niemożliwym jak naturalne stosunki między nimi? Poza tym oboje nie potrafiały okazywać uczuć. Jakie to smutne. I jaki się wtedy człowiek czuje samotny!

Na Heathrow poszła do toalety, żeby się orzeźwić i otrząsnąć z senności. Umyła twarz, uczesała włosy i lekko pomalowała usta jasną pomadką.

Nagle tak niespodzianie wybuchnęła śmiechem, że stojąca obok kobieta, myśląc prawdopodobnie, iż jej sąsiadka w samolocie za dużo wypila, odsunęła się wzdłuż szeregu umywalek na sam koniec. Margery z trudem się opanowała.

Szminka? Perfumy? Po co zawracać sobie tym głowę? On i tak nic nie zauważy, nawet za tysiąc lat. Jest całkowicie pochłonięty tropieniem Iana, a ją wziął z sobą tylko dlatego, że znała Iana lepiej niż on. Warren Yeager wykorzystuje ludzi. Posłużył się Rose i resztą swoich pracowników. To samo pewnie dotyczy jego rodziny, jeżeli ma taką. A jednak kilka ukradkowych spojrzeń ukazało jej innego Warrena, w pewien sposób fascynującego.

Tak naprawdę, czym się sama od niego różni? Czy nie ukrywa swojej prawdziwej twarzy, tak jak on? Królowa lodu i tragiczny bohater – dwoje z tego samego gatunku... Prawdziwe lustrzane odbicia.

Zatrzymali się w małym hotelu w pobliżu portu lotniczego.

– Złapiemy ranny pociąg do Glasgow – oświadczył Warren w źle oświetlonej recepcji. – Mam nadzieję, że nie lubisz się wysypiać za długo.

– Nie, istotnie – odparła. – Nigdy tego nie robię.

– To świetnie.

Już miała go zapytać, czy nie ma ochoty na kolację, ale słowa uwięzły jej w gardle. Nie była Rose Freed.

Warren zaniósł jej walizkę na górę, ale ograniczył się do ukłonu na pożegnanie i zostawił samą w pokoju. W małej jadalni zjadła coś samotnie i o dziewiątej według czasu londyńskiego już spała.

Następnego ranka znowu ubrała się w podróżny kostium, składający się z gabardynowej spódnicy i marynarki. Miała już dość wciąż tego samego ubioru, był jednak wygodny i wytrzymał nie gniotąc się całe godziny siedzenia. Mogła przynajmniej zmieniać bluzki. Tym razem włożyła zieloną, wysoko zapinaną pod szyją. Duża, brązowa torba na ramię i płaszcz z wielbłądziej wełny oraz praktyczne pantofle na niskim obcasie dopełniły stroju. Wyglądała schludnie, poważnie, jak kobieta na odpowiedzialnym stanowisku. Z pewnością nie olśniewająca, ale nie była typem kobiety, która chce fascynować ubiorem.

W Glasgow wynajęli samochód, białego małego renault i pojechali do Duncllyde. Warren wysadził Margery przed wejściem do laboratorium.

- Zjem śniadanie i wracam za pół godziny, a ty zaczynaj. Ciebie nie będą o nic podejrzewać.

- Co ja mam im powiedzieć? Oni przecież myśla, że odleciałam do Stanów.

- Och, coś wymyślisz.

Margery ruszyła w kierunku znanych sobie drzwi. Była zdenerwowana. To tutaj się wszystko zaczęło. Myślała, że zostawiła za sobą rzeczy zarówno dobre, jak złe, i oto jest tu z powrotem. Miała uczucie, jak gdyby porwało ją jakieś koło, które się toczy coraz szybciej, ale zawsze wraca do miejsca, z którego wyruszyło.

- Pani Lundstrom! - zawołała Gwen Townsend, zdumiona. - Myślałam, że...

- Pojechałam do Londynu, ale zażądano ode mnie dodatkowych informacji, więc oto jestem - odparła Margery lekkim tonem. - Doktor MacLaren jest u siebie?

- Och! Nic pani nie wie? Doktor zniknął! - Szeroko otworzyła oczy i przygryzła wargę. - To przedziwna sprawa. W ogóle nie przyszedł wczoraj do pracy. Może pani sobie wyobrazić?

- To zastanawiające - podjęła grę Margery.

- Do tego ta gruba ryba z Londynu dzwoni wczoraj późnym wieczorem i każe mi przewrócić całe laboratorium do góry nogami.

- Mój Boże!

- Musiałam wezwać na pomoc kilku laborantów, żeby wyważyli drzwi, bo ten doktor Smythe czekał ze słuchawką przy uchu. Coś okropnego!

- Rzeczywiście, to straszna wiadomość - powiedziała Margery i zastanowiła się nagle, jaki los czeka tych wiernych pracowników MacLarena.

- Wszystko zaczęło się od przyjazdu tamtego człowieka. - Panna Townsend zniżyła głos. - Tego doktora z Atlanty. Od razu powiedziałam sobie, że z tego nie wyniknie nic dobrego. Czułam to. - Wydeła różowe wargi. - Ten doktor Yeager był, jak na mój gust, zanadto wyniosły. Zgadza się pani ze mną?

Margery bąknęła coś pod nosem. Panna Townsend ma absolutną rację, ale nie powinna się tego dowiedzieć. Tajemnice i kłamstwa. Gdzie jest prawda?

Margery z rozmyślną swobodą chodziła po budynku, powtarzając na prawo i lewo historię o Londynie, i oczywiście zadając chytre pytania na temat zniknięcia Iana.

Nikt nic nie wiedział i przybycie Margery jeszcze bardziej ich przygnębiło.

- Przedwczoraj powiedział mi, żebym dalej pracował nad doprowadzeniem mikroorganizmów do stanu dojrzałości przy

zastosowaniu enzymów – powiedział starszy technik kierujący laboratorium. – Więc robię to, dopóki ktoś nie wyda innego polecenia.

– Jestem przekonana, że doktor MacLaren się pojawi – oświadczyła Margery – ale czy naprawdę nikomu nie powiedział, dokąd wyjeżdża?

– Nie. A może jego matka coś wie? – spytał technik, który wykazywał chęć pomocy.

– Tak. Rzeczywiście – zgodziła się Margery.

Gabinet Iana był pusty. Przeglądając kartoteki czuła się jak złodziej. Wszystkie papiery, które tam były, dotyczyły laboratorium, natomiast zniknęła cała jego prywatna korespondencja. Przeszedł ją dreszcz, kiedy się przyjrzała wylamany drzwiom do ukrytego laboratorium. Czy to możliwe, żeby upłynęły zaledwie trzy dni od owej strasznej nocy, kiedy się tam dostała? Podeszła do prowizorycznie wstawionych drzwi i położyła na nich rękę. Opanował ją absurdalny strach – co będzie, jeśli Ian chowa się za nimi?

Gałka była chłodna i zatłuszczona. Z trudem ją przekreśliła i ze zgrzytem uszkodzonych zawiasów drzwi się otworzyły. W środku panowała nieprzenikniona ciemność. Szybko zapaliła światło. Półki nad wąskim laboratoryjnym blatem były puste, nie było na nich nawet próbowek. Kilka leżało rozrzuconych na blacie, jak gdyby ktoś je gwałtownie zgarniał.

Kiedy Ian to zrobił? Wczoraj nie było go w pracy, prawdopodobnie więc opróżnił laboratorium przedwczoraj wieczorem. Czy po tym, kiedy przyszedł do jej pokoju?

Poczuła ucisk w sercu. Biedny Ian, doprowadzony do rozpacz, zdesperowany i zagubiony.

Zajrzała do lodówki. Była pusta. W pokoju czuć było stęchlizną. Margery odnosiła wrażenie, że ten opuszczony i zatechły pokój przemawia do niej, szepcze o jakimś dramacie Iana i o jego niepokoju. O czym myślał, kiedy w pośpiechu zabierał z laboratorium próbki, notatki i szkiełka mikroskopowe? Nie mogła uwierzyć, że była o krok od

zakochania się w nim, wydawało się to wyblakłym wspomnieniem z odległej przeszłości. Nie była wtedy tą osobą, jaką jest dzisiaj. Podobnie Ian. Oboje nosili maski skrywające ich prawdziwe oblicza.

Wracając do recepcji, dostrzegła wysoką postać Warrena, który w zmoczonej trenzu mówił coś do panny Townsend. Pewnie znowu pada, pomyślała.

- Bardzo mi przykro, panie doktorze, ale nie mogę pana wpuścić. Nie ma pan przepustki, a doktora MacLarena, który mógłby panu pozwolić wejść, nie ma - usłyszała Margery wychodząc z korytarza do recepcji przez samozatrzasujące się drzwi.

- Margery, może ty... - zaczął wyraźnie zdenerwowany.

- Nie ma tam co oglądać, Warren - powiedziała, jednocześnie chwytając podejrzliwe spojrzenie Gwen. Recepcjonistka odgadła, że Margery kłamała. - Iana nie ma. Laboratorium jest puste.

- Pani Lundstrom - odezwała się zagniewana recepcjonistka. - Ten pan nie ma prawa tu wchodzić. Myśle, że jakieś przepisy jeszcze obowiązują?

- Ależ oczywiście, panno Townsend. Chodźmy, Warren. Niczego się tutaj nie dowiemy, nie ma co niepokoić tych ludzi.

Na szczęście, nie dyskutował więcej i ruszył za nią. Na dworze było szaro i dżdżysto. Ołowiane chmury wisiały nad wzgórzami za miastem.

- Margery, chciałem zobaczyć jego laboratorium. Może został jednak jakiś ślad.

- Nic tam nie ma - powiedziała znużona. - Zniknęło wszystko, jego papiery i w ogóle wszystko.

- Cholera - mruknął Warren. Drobne kropelki dżdżu osiadały na jego ciemnych włosach. Stanął, patrząc jej prosto w twarz. - Czy ktokolwiek wie, gdzie wyjechał?

- Nie, nie mają pojęcia. Po prostu zniknął.

- No cóż, musimy zatem zacząć od miejsca, gdzie mieszkał. A potem może do jego matki?

Rada nierada, Margery pojechała z Warrenem do mieszkania Iana. Mieszkał na piętrze wygodnego domu, jego gospodyni zajmowała parter.

- Ach, pani Lundstrom. Nie sądzę, żeby doktor był w domu. Wczoraj, wcześniej rano, widziałam, jak z walizką wsiada do samochodu - poinformowała gospodyni. - Pewnie wziął urlop. Kochany człowiek, tak ciężko pracował w tym laboratorium, czasem nawet przez całą noc.

- Więc wyjechał - zwrócił się Warren do gospodyni. - Nie wie pani dokąd?

- Nie wiem, proszę pana. Powiedziałabym, gdybym wiedziała. A kim pan jest?

- Chodźmy, Warren. - Margery zmieszana pociągnęła go za rękaw.

Od Edynburga dzieliło ich jakieś sześćdziesiąt kilometrów. Przez cały dzień padało i Margery nerwowo reagowała na sposób prowadzenia samochodu przez Warrena. Właśnie miała zamiar zaproponować mu, że siądzie za kierownicę, kiedy wjechał na ślepy pas dla ciężarówek i powiedział:

- Prowadź. Widzę, że się boisz.

Bez słowa zamienili się miejscami. Margery dostosowała siedzenie do swojego wzrostu i wycofała samochód na szosę. Warren z pewnością nie miał złych intencji, ale jego szorstki ton ją zabolął. Co on sobie myśli? Ciągnie ją za sobą właściwie nie wiadomo po co, naraża na szwank jej zawodową karierę. Wysysa wszystkich do ostatniej kropli krwi, by ich porzucić, kiedy już nie są potrzebni. Czy nie zdaje sobie sprawy ze swojego przykrego sposobu bycia, czy zwyczajnie go to nie obchodzi? Miała już na końcu języka pytanie: „Warren, czy jesteś taki przykry, bo nie potrafisz być inny?”, ale uświadomiła sobie, że potrafi być inny. Owego pamiętnego wieczoru był troskliwy i miły. Rose nie bez powodu go uwielbiała. Czyżby o tym nie wiedział? Czy też może po prostu nie go to nie obchodziło?

Próbowała skupić się na prowadzeniu samochodu, podziwiać typowy szkocki krajobraz z jego maleńkimi wioskami, domami z

dachami krytymi dachówką i wszechobecnym murem z kamieni. Wjeżdżali w ścianę deszczu i wyjeżdżali z niej, gęste płachty mgły zacierały kontury wrzosowisk. Niezależnie od paskudnej pogody, był to kraj piękny. Jak wyglądałaby taka jazda w lecie z mężczyzną, który nie siedziałby obok jak automat?

Rzuciła na Warrena przelotne spojrzenie. Jaka szkoda, pomyślała. Jest taki przystojny, silny i godny podziwu. Cóż, kiedy jego imponujący intelekt jest raczej przekleństwem aniżeli darem natury. Zacisnęła mocniej ręce na kierownicy, postanawiając przestać o nim myśleć. Co z tego, że już ją raz pocałował, tylko raz...

- Coś nie w porządku, Margery? Dobrze się czujesz? Może ja teraz poprowadzę?

- Nie, nie jestem zmęczona - odparła lakonicznie i do końca jazdy nie powiedziała ani słowa. Zatrzymała się przed schludnym domem z cegły, należącym do pani MacLaren.

- Czy to jego samochód? - zapytał Warren wskazując na starego pomarańczowego austina stojącego przy krawężniku.

- Nie, to samochód jego matki.

- Margery - zaczął odwracając się do niej. - Widzę, że coś cię trapi.

- Nie wiem, o czym mówisz - powiedziała wymijająco, unikając jego spojrzenia.

Przyglądał jej się przez chwilę, jak gdyby miał zamiar coś powiedzieć, lecz w końcu wzruszył ramionami i zrezygnował. Po wyjściu z samochodu stał przez chwilę i przyglądał się domowi.

- Chodźmy. Ty będziesz mówiła. Ona cię zna - zdecydował.

Idąc do drzwi frontowych, Margery znalazła się przed Warrenem. Czuła się fatalnie, ciągle myślała o swoim utykaniu. Zapomnij o tym, nakazywała sobie, jego i tak to nie obchodzi. Był ciągle pogrążony w jakichś swoich myślach. Swoją drogą dziwne, że nigdy nawet nie napomknął o jej utykaniu, bo zwykle był dość bezceremonialny. Czyżby

przez litosć? Miała ochotę płakać. Rose Freed nie miała fizycznych defektów. Czy porównywał ją z Rose?

Kiedy pukała do starannie pomalowanych drzwi, doznała dojmującego poczucia winy. Miała zamiar posłużyć się panią MacLaren w sposób niewybaczalny. Matka Iana była taką życzliwą, gościnną i serdeczną kobietą!

Pani MacLaren, wysoka i świetnie prezentująca się w tweedowej spódnicy i wełnianym komplecie swetrów, otworzyła im drzwi. Twarz rozjaśnił jej uśmiech.

- Margery, co za niespodzianka!

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzamy? Zadzwońiłabym...

- ...ale ja nie mam telefonu. Nie wydaje ci się to o wiele przyjemniejsze? Proszę, niech państwo wejdą do środka.

- To jest doktor Yeager z Ameryki - powiedziała Margery, uświadamiając sobie równocześnie, jak jest zdenerwowana. - A to pani MacLaren.

- Miło mi pana poznać, doktorze Yeager. Czy jest pan kolegą mojego syna?

- Ja... - zająknął się Warren, ale w momencie, kiedy Margery już otwierała usta, żeby coś powiedzieć, opanował się i z uśmiechem dokończył: - W pewnym sensie tak.

- To bardzo miłe. Czy państwo jedli już lunch?

- Tak, dziękujemy - zdecydowanym tonem odpowiedziała Margery, rzucając Warrenowi ostrzegawcze spojrzenie.

Po nastawieniu czajnika pani MacLaren usiadła obok Margery na obitej brązowym aksamitem kanapie.

- Teraz powiedz mi, co robisz w Edynburgu? Jaka szkoda, że o włos rozminęłaś się z Ianem.

- O mój Boże, a mieliśmy taką nadzieję, że go tu zastaniemy. Chodzi o jego badania. Doktor Yeager chciał mu zadać kilka pytań. Czysto technicznych.

- Naprawdę bardzo żałuję. Zatrzymał się u mnie na chwilę wczoraj wcześniej rano. Pojechał do Londynu, a potem na południe, gdzieś, gdzie jest ciepło. Ma urlop. Nic ci o tym nie mówił, Margery?

- Przed dwoma dniami wyjechałam z Dunclyde. Wzywały mnie sprawy zawodowe.

- Rozumiem. Dlatego rozminęliście się.

- Czy pojechał samochodem? - spytała Margery.

- Tak. Na tylnym siedzeniu miał całą górę pudeł. Wicie, takich z ostrzegawczymi napisami, materiały biologiczne czy coś w tym rodzaju. Miałam wrażenie, że ta podróż nie była samą tylko przyjemnością, że Ian zawozi gdzieś te pudła po drodze.

Margery strzeliła w ciemno.

- Och, musiał je wieść na to sympozjum do Paryża?

Pani MacLaren spojrzała na nią zdziwiona.

- Nic mi nie mówił o Paryżu. Ale na pewno jechał gdzieś do Europy. - Uśmiechnęła się. - Zimy mamy tu naprawdę straszne. Ja jestem, co prawda, do nich przyzwyczajona. Jestem pewna, że Ian myślał o jakimś miejscu cieplejszym niż Paryż.

- Może się tam jednak zatrzyma po drodze - powiedziała Margery.

- To byłby rzeczywiście cały Ian. Nie może sobie odmówić żadnej przyjemności. Trzeba poza tym przyznać, że dużo ostatnio pracował.

Odezwał się gwizdek czajnika. Pani MacLaren przeprosiła gości na chwilę i poszła zaparzyć herbatę. Warren wstał i zaczął kraść po pokoju. W pewnej chwili zatrzymał się przed kominkiem. Na gzymsie stało mnóstwo fotografii - Ian, pani MacLaren, mężczyzna, który mógł być ojcem Iana, Ian jako dziecko, Ian jako student. Był jedynakiem i nic dziwnego, że matka nie widziała poza nim świata.

- Byłoby nam łatwiej go szukać, gdybyśmy mogli pokazać ludziom jego fotografię - powiedział Warren cicho.

- Warren, nie zrobisz tego - szepnęła Margery i wstała. Ale Warren już zdążył wziąć małą fotografię i właśnie wsuwał ją do kieszeni.

- Warren - powtórzyła Margery, ale w tym momencie weszła pani MacLaren z tacą.

Kiedy wyjeżdżali z Edynburga, Warren był bardzo spokojny. Jego twarz wyrażała determinację, Margery czuła bijącą od niego zniewalającą energię.

- Musi podróżować samochodem - oświadczył po długiej chwili. - Wziął przecież z sobą całe laboratorium.

- Ale gdzie mógł pojechać?

- Najpierw do Londynu, potem do Europy. Jeżeli wybrał się na południe, to albo własnym samochodem - Warren jechał szybko, pochłonięty swoimi myślami - albo wynajął samochód z kierownicą po lewej stronie, przystosowany do ruchu europejskiego, prawostronnego. Byłoby to o wiele wygodniejsze, nie sądzisz?

- Niewątpliwie.

- Zatem, Margery, jedziemy do Londynu. Polecimy z Glasgow, Ian wyprzedza nas tylko o jeden dzień. Znajdziemy go - powiedział Warren zdecydowanie.

Londyn. Margery spędziła tylko jeden dzień w Londynie, wtedy, kiedy przyleciała do Wielkiej Brytanii pierwszy raz, trzy tygodnie temu. Zwiedziła British Museum, oglądała zmianę warty przed pałacem Buckingham w zimny, ale słoneczny dzień, i zjadła coś samotnie w restauracji w pobliżu kolorowego Picadilly Circus. Nie widziała jednak najstarszej części miasta, a miała na to wielką ochotę. Cóż, kiedy Warren, przekonany, że Ian wynajął samochód, z właściwą sobie energią ciągnął Margery od jednej agencji wynajmującej samochody do drugiej.

- Dzięki Bogu, ci przynajmniej mają komputery - powiedziała półgłosem przed wejściem do biura agencji Avis.

- Co mówisz?

- Nic, nic.

Dowiedzieli się, że tylko pięć agencji wypożycza samochody za granicę – naturalnie za ustaloną opłatą.

Margery wymyśliła historyjkę, że próbuje odnaleźć brata z powodów rodzinnych i agenci bardzo chcieli jej pomóc, ale kiedy razem z Warrenem bez powodzenia sprawdzili cztery spośród pięciu agencji, Margery straciła cierpliwość.

– Strasznie dużo opierasz na domysłach – zarzuciła Warrenowi, kiedy mieli wejść do głównego biura Auto-Europe. – Skąd wiesz, że Ian wynajął samochód? Poza tym dlaczego sądzisz, że może go gdzieś zostawić?

– Instynkt mi to mówi.

– To śmieszne.

– Do tej pory mnie nie zawiódł.

Okazało się, że w Auto-Europe właśnie naprawiano poważną awarię komputera. A w Londynie mieli dosłownie dziesiątki swoich filii.

– Jedyna droga, jaka pani zostaje, to sprawdzenie w poszczególnych biurach. Bardzo mi przykro – powiedział agent wręczając Warrenowi mapę z zaznaczonymi na czerwono adresami filii.

– Kiedy się uporacie z tą awarią? – zapytała Margery, którą już zaczynała boleć kostka.

– Dzisiaj raczej nie.

Kiedy wyszli, wzięła od Warrena mapę i skinęła na taksówkę. Musiała przyznać, że teraz zobaczy właściwie cały Londyn. Jeździli piętrowymi autobusami, kiedy nie było w pobliżu taksówki, do Soho pojechali metrem. Kiedy w autobusie zaburczało jej w żołądku tak głośno, że siedzący obok jegomość uniósł brwi, Warren zgodził się, żeby się zatrzymali i zjedli po hamburgerze z frytkami.

– Hamburger w Londynie? – zapytała Margery, zbyt zmęczona, żeby się oprzeć temu pomysłowi. Warren odpowiedział, że tak będzie najszybciej i niecierpliwie czekał, kiedy będą mogli podjąć poszukiwania.

Gdy następnego ranka Margery zeszła na dół, Warren już płacił w recepcji rachunek. Trudno go nie poznać, westchnęła, nawet od tyłu. Ubrany był w oliwkowozielone sztruksowe spodnie, wypchane i błyszczące na siedzeniu, i dobrze jej znana, bezkształtną marynarkę z brązowego tweedu, której brakowało guzika. Wysłuzoną skórzaną torbę postawił przy sobie na podłodze, niedbale rzuciwszy na nią swój trensz.

Kiedy się odwrócił i ją zobaczył, odruchowo podniósł rękę na powitanie i schował do kieszeni kartę kredytową. Zauważyła, że włożył koszulę w brązowo-żółtą kratkę, która się ogromnie kłóciła z marynarką i zrobionym na drutach krawatem w zielono-brązowe paseczki.

Jak zawsze, tryskał energią. Zdawało się, że nie potrzebny mu był ani sen, ani jedzenie, ani odpoczynek. Jego ciało funkcjonowało bezbłędnie, napędzane potrzebą rozwiązania obecnego problemu, Margery wyobrażała sobie, że także w innych przypadkach, czy w swoim laboratorium, przez całe dni może obywać się bez wszystkiego, póki nie znajdzie rozwiązania kolejnego zagadnienia.

Do pewnego stopnia zadowolona była z tempa, które narzucił. Nie pozwalało jej to bowiem na dreczenie się myślą o ich możliwym zbliżeniu. Do tej pory zachowywał się jak typowy naukowiec, ale bała się, nawet bardzo, że jeżeli stanie się łagodniejszy, zrobi jakiś ruch czy powie cieplejsze słowo, nie będzie w stanie mu się oprzeć. Co się stało z jej umiejętnością panowania nad własnymi uczuciami? W przeszłości bardzo jej się to przydawało.

Dopiero w małej agencji mieszczącej się w hotelu Sommerset ostatecznie zdołali się czegoś dowiedzieć.

Margery opowiedziała swoją historyjkę, a Warren pokazał urzędnikowi Iana fotografie.

- Szukam go wszędzie - mówiła Margery zdławionym głosem. - Umarła nasza matka i...

- Proszę jeszcze raz powtórzyć nazwisko.

- Ian MacLaren. Doktor Ian MacLaren. Prawdopodobnie wynajął samochód z kierownicą po lewej stronie, gdyż wybierał się do Europy.

- Kiedy mógł być u nas?

- Wczoraj, może przedwczoraj.

Urzędnik zaczął przerzucać umowy o wynajem samochodu. Wydawało się, że trwa to bez końca. Margery słyszała, jak Warren niecierpliwie postukuje obcasem w podłogę.

- Tak. Znalazłem. Dr Ian MacLaren. Był wczoraj, wynajął audi z kierownicą po lewej stronie, miał wyjechać do Genewy za dzień lub dwa.

Margery odetchnęła ze zdumieniem i ulgą. A już myślała, że bez końca będą przemierzać ulice Londynu.

- Według umowy powinien oddać samochód w naszej filii Auto-Europe, która się mieści w hotelu Epoque przy ulicy Maltaire.

Warren zapisywał te informacje na odwrocie swojego biletu lotniczego Glasgow-Londyn.

- Dziękujemy - powiedział z uśmiechem. - Bardzo nam pan pomógł.

Jeszcze tego samego popołudnia wyjechali z Londynu niepozornym, angielskim fordem. Warren posłużył się kartą kredytową swojego Centrum, którą z wyraźną satysfakcją zaakceptowano.

Z Londynu do Dover, skąd odpływał prom do Europy, było ponad sto kilometrów, ale samo wydostanie się z Londynu zabrało im godzinę. Nigdy jeszcze Margery nie jechała w tak gęstym strumieniu samochodów. Otaczały ich ze wszystkich stron, wydawało się, że ciągną się bez końca, ulica za ulicą wzdłuż nie kończących się szeregów szarych domków.

- Nie ma tu jakiejś autostrady? - nie wytrzymała Margery. Warren wzruszył ramionami.

- Czuję tu MacLarena - powiedział. - Tak, jak gdyby przed chwilą jechał tymi samymi ulicami.

Warren bezustannie zjeżdżał z jednego pasa na drugi, gdyż siedział za kierownicą nie przystosowaną do lewostronnego ruchu w Anglii, co dość denerwowało Margery. Ale kiedy się znalazł na autostradzie, prowadził o wiele lepiej.

- Będę zadowolony, kiedy będę mógł wreszcie jeździć prawą stroną - wyznał. - Nie jestem takim złym kierowcą.

Margery wiedziała, że była to próba nawiązania rozmowy i że powinna coś odpowiedzieć, ale nic jej nie przychodziło na myśl i w samochodzie zaległa cisza. Zakłócał ją tylko zgrzyt miarowo i monotonnie przesuwających się po przedniej szybie wycieraczek. Warren odchrząknął i podjął następną próbę.

- Mam nadzieję, że to nasze uganianie się po Londynie nie... zmęczyło cię za bardzo?

Obrzuciła go szybkim spojrzeniem. Czy to aluzja do jej utykania? No tak, po wielogodzinnym chodzeniu po twardych chodnikach stało się zapewne bardziej widoczne.

- Nic mi nie jest - powiedziała przygnębiona.

- Wiesz - podjął znowu - prawie tego nie widać... To znaczy, mówię o twoim chodzie.

Margery nie wiedziała, co powiedzieć. Odwróciła głowę i wyprostowała się na swoim siedzeniu. Patrzyła przez okna na szarzielone wzgórza Kentu przesuwające się w deszczu, ale ich nie widziała.

Zanim dotarli do Dover położonego na urwistej, białej ścianie wybrzeża, było już ciemno. Margery umierała z głodu. Warren nie pomyślał o tym, żeby przystanąć i coś zjeść. Znaleźli niedrogą gospodę w pobliżu przystani promowej, potem zarezerwowali miejsca na prom odpływający wcześniej rano.

Warren nie wziął od niej walizki, kiedy szli na górę. Zajęty był studiowaniem mapy, którą mu dał recepcjonista.

- Musimy być na promie o ósmej – oświadczył, kiedy otwierała drzwi do pokoju.

- Nie martw się, będę gotowa – powiedziała chłodno.

Spojrzał na nią w jakiś szczególny sposób, rozwinięta mapa zwisała mu z dłoni.

- Świetnie się spisałaś, Margery – powiedział łagodnie. – Wiem, że cię to męczy.

- Powiedziałam, że to zrobię, Warren, i dotrzymam słowa.

- Musisz być głodna – powiedział uśmiechając się jak mały chłopiec, któremu się choć raz coś udało. – Może pójdziemy na kolację? Widziałem tu niedaleko restaurację...

Przypomniał sobie o jedzeniu! I to bez gderania Rose! Uświadomiła sobie, że Warren czeka na odpowiedź. Jego twarz wyrażała wprawdzie jakby nadzieję i pewne skrepowanie, ale zachowała zwykłą pewność siebie. Margery pomyślała, że mogliby mieć razem chwilę Wytchnienia, odprężenia. Warren prawdopodobnie przywiązywał do swego zaproszenia jakąś wagę – wyraźnie dał dowód, że pragnie jej towarzystwa.

- Nie... przepraszam, Warren. Pęka mi głowa. Może zamówię coś na górę i pójde spać.

Na jego twarzy odbiło się rozczarowanie.

- Tak, rozumiem. Zdarza mi się pracować bez przerwy i wiem, jak to wyczerpuje tych, którzy mi pomagają. Rose zawsze mi mówi...

- Dobranoc, Warren – przerwała Margery zdecydowanym tonem.

- Dobranoc.

Warren stał w korytarzu trzymając rozwinięta mapę w dłoni, wysoki i silny, lecz w jakiś szczególny sposób bezbranny. Margery zamknęła drzwi i energicznie przekręciła klucz.

9

Wilgotny, słony wiatr rozwiewał jej włosy, wyciągał spod spinki kosmyki, które przylepiały się do szyi. Prom opadł w dół między wysokimi falami, by za chwilę wypłynąć na grzbiet kolejnego potężnego bałwana, jednocześnie przechylając się na bok od strony portu.

Margery pociągnęła Warrena za rękaw.

- Chodźmy stąd - powiedziała - zanim zrobi mi się naprawdę niedobrze.

Zostawiali za sobą białe skały Dover, które jak duchy wylaniały się z mgły, coraz mniejsze w miarę oddalania się od lądu.

- I są ludzie, którzy ten kanał przepływają wplaw - zdumiał się Warren, przechylony przez poręcz i wpatrzony w ciemnozieloną toń wody, pokrytej białą, groźną pianą.

- Z pewnością nie w taką paskudną pogodę.

Mimo wszystko Margery była podniecona tą przygodą. Nigdy nie płynęła prawdziwym statkiem. W dzieciństwie ojciec zabierał ją na ryby, ale wypływali łódką, na któreś z jezior w stanie Minnesota.

W pewnej chwili fala uderzyła w solidną burtę, rozpryskując wysoko w powietrze strzępy piany. Znaleźli się w plamie słońca, piana połyskiwała teraz w dole i musowała jak szampan. Margery chciała przytrzymać się poręczy, ale nie dosięgła jej i rzuciło ją na Warrena. Automatycznie chwycił ją za ramię, właśnie w momencie, kiedy prom wznosił się na następną wysoką falę. Uśmiechnęła się z wdzięcznością do Warrena, czując jednocześnie przyjemny dreszcz, jakim zareagowała na dotknięcie jego ręki.

Odprawa celna odbyła się na promie. Pociąg i setki znajdujących się na pokładzie samochodów mogły opuścić prom tuż po przybiciu do brzegu.

Widać już było płaskie wybrzeże Francji, a płynące od lądu mgły niosły z sobą zapach bagien. Nad ich głowami przeleciał klucz dzikich gęsi. Poczuli smutek. Jakże inaczej mogłaby wyglądać ta przygoda z kimś innym!

Margery siadła za kierownicą i ruszyli autostradą na południowy wschód, omijając stolicę Francji.

- Może zatrzymalibyśmy się w Paryżu, żeby spojrzeć na miasto? Jest południe, ruch o tej porze jest zwykle mały - powiedziała z nadzieją w głosie.

Warren potrząsnął głową.

- Nie możemy sobie pozwolić na stratę czasu.

- Byłeś już kiedyś w Paryżu?

Potwierdził skinieniem głowy.

- Kilka razy. Niestety, nie widziałem w ogóle miasta. Cały czas spędziłem w Instytucie Pasteura.

- Nie widziałeś ani Luwru, ani wieży Eiffla?

Obrzuciła go szybkim spojrzeniem. Jak można być w Paryżu i nie widzieć wieży Eiffla?

- Warren, to okropne.

- Wiem.

- Nigdy sobie nie pozwalasz na trochę rozrywki, odpoczynku?

- Wiem, że powinienem - brzmiała cała jego odpowiedź. - Kiedyś to zrobię.

Przejechali długi, ruchliwy odcinek południowo-wschodniej autostrady - tak samo biegły tory Orient Ekspresu - mijając dolinę Sens i w Auxerre zatrzymali się na późny lunch.

Auxerre było uroczym starym miasteczkiem, pełnym krętych uliczek, wzdłuż których stały ciasno jeden przy drugim domy z szarego

kamienia. W przeciwieństwie do Warrena, który miał ochotę zatrzymać się w jakimś barze przy autostradzie serwującym hamburgery, pizzę czy inne tego typu szybkie przekąski, Margery chciała poszukać prawdziwej restauracji francuskiej.

- Zajmie nam to naprawdę niewiele więcej czasu - powiedziała zdecydowanym tonem i skręciwszy w wąską uliczkę zaparkowała samochód.

Warren przystał na to bez wielkiego entuzjazmu.

Margery upatrzyła sobie małą kawiarenkę, w której stoliki nakryte były obrusami w biało-czerwona kratkę, a stojące na nich świeczki kapaly stearyną i na serwety, i do popielniczek.

- Nie jest tu zbyt czysto - orzekł Warren rozglądając się dokoła.

- No, cóż. Nie jest to plastik i neon, jeśli to masz na myśli, ale założę się, że jedzenie będzie wspaniałe - odparowała Margery, nie pozwalając mu zepsuć swojej przygody.

Zamówili krajany jak tort placek lotaryński z francuskiego ciasta, zapiekany z boczkiem, szynką, jajami i tartym serem. W koszyczku obok leżało świeżutkie, pachnące pieczywo. Przez okno widać było ulicę, którą szła właśnie staruszka dźwigająca coś w dwóch zrobionych szydełkiem torbach, jakie widziało się tu na każdym kroku.

- Bardzo to romantyczne - powiedziała Margery znad szklanki słynnej wody Perrier. - Nie sądzisz?

- Romantyczne?

Odłożyła widelec.

- Co ci jest, Warren? Czy nie możesz choć raz odprężyć się i cieszyć chwilą?

Wzruszył ramionami.

- To przez MacLarena, który mi nie wychodzi z głowy. Myślę tylko o tym, że możemy go w Genewie zgubić.

Zapadał już zmrok, kiedy zbliżali się do Dijon. Margery prowadziła przez większą część dnia i czuła się zmęczona. Z pewnym trudem udało jej się namówić Warrena, żeby się zatrzymali na noc.

- Wolałbym jechać dalej - mówił.

- Jeśli chcesz, możemy wstać przed szóstą, ale teraz czuję, że muszę odpocząć.

Starożytne Dijon leży w odległości pięciuset kilometrów od Paryża, w sercu wzgórz Burgundii. Margery wyszukała hotelik w zachodniej części miasta, w pobliżu katedry św. Benigny z trzynastego wieku, której nieco późniejsza ostateczna forma architektoniczna z czternastego wieku szczególnie działała na wyobraźnię. Koniecznie chciała ją obejrzeć. Noc była zimna, więc Margery wzięła szal, który zarzuciła na głowę, kiedy weszli do wnętrza katedry.

Warren włożył się za nią zrzędząc, że nie jest jeszcze tak późno, żeby nie mogli jechać dalej.

- Jedź beze mnie - powiedziała wreszcie. - Zresztą już i tak nie jestem ci potrzebna.

- Mam zostawić cię tutaj samą?

- Poradzę sobie - powiedziała półgłosem, gdyż weszli do mrocznej nawy katedry.

Warren zacisnął wargi. Margery nie wiedziała, czy tak podziałała na niego atmosfera katedry, czy do głosu doszedł zdrowy rozsądek?

Kolację zjedli razem, w hotelu. Nie rozmawiali wiele. Margery czuła, że Warren jest równie skrępowany jak ona. Wyciskając słynną musztardę z Dijon na kielbasę zastanawiała się, co ona właściwie robi, uganiając się z tym naukowcem po Europie. Naraża się na niebezpieczeństwo odmowy przyznania etatu, może nawet utratę pracy. Wszystko z powodu Warrena.

Ale czy rzeczywiście? Czy nie chodzi także o Iana? To oczywiste, że znalazł się w okropnych kłopotach i kto wie, czy nie mogłaby mu pomóc. Ale czy zawdzięcza mu aż tyle?

W czasie kolacji Warren był milczący i pochłonięty własnymi myślami. Margery przypuszczała, że ciągle chodzi o tego mikroba i o Iana. Warren nigdy się nie poddawał. Byłby z niego dobry policjant, pomyślała, z tym przywiązaniem do wykonywanej pracy i instynktem, o którym tak często wspominał.

Na deser zamówiła dwa kawałki piernika z imbirem, z czapą bitej świeżej śmietany, z którego słynął ten region.

- Nie jest to bardzo zdrowe - powiedział Warren przez stół, na którym paliła się świeca.

- I proszę, kto to mówi. - Margery demonstracyjnie oblizła łyżeczkę, ciesząc się ostentacyjnie każdą kalorią i nic sobie nie robiąc z uniesionych brwi Warrena. W pokoju runęła na łóżko i zasnęła kamiennym snem.

Następnego ranka przejeżdżali przez Dole leżące u stóp wzgórz Côte d'Or. Kiedy Warren napełniał bak benzyną, Margery poszła do pobliskiego sklepu i kupiła dla ojca butelkę regionalnego burgunda z rocznika 1978, słynnego, przyjemnego w picu czerwonego wina.

Warren przystanął na środku rynku i kilka razy nerwowo nacisnął klakson.

- Co ty robisz? - zawołał zniecierpliwiony, widząc ją wchodzącą ze sklepu.

Pół godziny później, kiedy pędzili wśród łagodnych, rozciągających się na południe od Dole wzgórz pokrytych równymi rzędami winorośli, Margery wstrzymując oddech powiedziała:

- Wiesz, co? Myślę, że mogę polecieć do domu z Genewy.

Warren odwrócił do niej głowę gwałtownym ruchem.

- Ależ nie możesz tego zrobić!

- Teraz tylko przeszkadzam. Nie jestem ci wcale potrzebna.

- Przeciwnie, ogromnie mi jesteś potrzebna. Kiedy znajdziemy Iana, Bóg jeden wie, w jakim go zastaniemy stanie. Może wpaść w panikę na mój widok i coś się może wydarzyć. Jakiś wypadek.

- Wypadek?

- Myślę o mikrobie! - Podniósł głos. - Czy zdajesz sobie sprawę, co się może stać, jeżeli on go gdzieś porzuci? - Widać było, z jakim wysiłkiem usiłuje nad sobą panować. - Posłuchaj, Margery, dlatego przecież jedziesz ze mną. Na mój widok on może próbować uciekać. Kto wie, może nawet dostać szału. Myślałem, że to rozumiesz. Mówimy o człowieku bardzo niebezpiecznym.

Ale Margery nie miała ochoty na ustępstwa. Dosyć już miała Warrena, jego pomysłów i dyrygowania innymi.

- Jeżeli jest taki niebezpieczny, to dlaczego mnie oszczędził? Odpowiedz, miał przecież okazję, wtedy, w laboratorium.

Warren nie odrywał oczu od nawierzchni szosy.

- Widzisz? - zapytał. - Dokładnie z tego powodu jesteś mi potrzebna, Ian... nie jesteś mu obojętna. I nie robi ci żadnej krzywdy. Dlatego jesteś naszą najlepszą bronią.

- To straszne. Teraz jestem bronią. Posługujesz się mną jak przedmiotem. Nie zniosę tego!

Przez dłuższy czas milczał, wreszcie oświadczył:

- To jest twój punkt widzenia, ja na to patrzę inaczej. Dla mnie jest to po prostu konieczność, i już. Najprostsza i najlepsza droga, żeby osiągnąć to, co chcemy. Bez krzywdzenia kogokolwiek.

- Rozumiem, a jeżeli mnie się coś stanie? Niekiedy sprawy przybierają zły obrót, oboje to wiemy - powiedziała ostro.

Prowadził, więc widziała tylko jego profil.

- Zorganizujemy to bardzo starannie. Musi nam się udać.

- Doskonale, w takim razie nie mam się czym przejmować. To znaczy w wypadku, kiedy go znajdziemy.

- Znajdziemy go - powiedział Warren z ponurą miną, nie reagując na sarkastyczny ton Margery.

Przekroczyli granicę francusko-szwajcarską. Margery sztywno wyprostowana wyglądała przez okno. Dzień był wspaniały, powietrze

idealnie czyste, zupełnie jak na pocztówkach ze Szwajcarii, które zdarzyło jej się widzieć. Ośnieżone białe Alpy zadawały się przebijać lazurowe niebo, doliny były soczyście zielone. Jaka szkoda, że była zbyt wszystkim oszłamiona, żeby się beztrudnie cieszyć. Zaraz za Cossonay, szwajcarskim miasteczkiem, gdzie na drewnianych balkonach wywieszono ku słońcu kolorowe pledy, skręcili na autostradę w kierunku Genewy. Szosa wiała się serpentyną w dół z dużej wysokości i Margery mogła zobaczyć całe Jezioro Genewskie.

- Mój Boże, jak pięknie - wyrwało się jej.

- Tak, bardzo. Byłem w Genewie tylko raz, przyleciałem na Kongres Światowej Organizacji Zdrowia, ale doliny tonęły wtedy we mgle. A dzisiaj... to jest coś.

Dla Margery była to pewna niespodzianka, że Warren jednak coś zauważa.

W dole przed nimi jezioro połyskiwało w popołudniowym słońcu chłodnym szarokobaltowym granatem, odbijając jak na fotografii otaczający je łańcuch pokrytych śniegiem szczytów,

- Wygląda jak wielka misa - rzuciła Margery. - Albo jakiś krater.

Warren wskazał palcem kierunek.

- Genewa położona jest na najdalszym krańcu. Czekał, zaraz ją zobaczysz.

- Ładna?

- To piękne miasto. Czyste, zorganizowane.

- Jak wszystko w Szwajcarii.

- Tak. Możesz sobie wyobrazić, jak się to podobało Rose. - Głos jak gdyby nagle mu przycichł. Czyżby się poczuł skrępowany?

Genewa istotnie była niesłychanie uporządkowana, tak czysta, że dla Margery szokiem byłoby zobaczyć na ulicy skrawek papieru albo kogoś w przekrzywionym kapeluszu na mocnej szwajcarskiej głowie. Ludzie byli ubrani w płaszcze z najlepszych gatunków welen, lśniące czystością buty i kosztowne futrzane czapki.

- Bije od nich solidność - powiedziała Margery.

- I zamożność - dodał Warren, zatrzymując samochód pod hotelem Epoque.

W oknie hotelu widniała tabliczka Auto-Europe. Warren otworzył drzwi i puścił Margery przodem.

Dobrze wie, jak się zachowywać, stwierdziła w duchu jeszcze raz, ale niestety najczęściej jest zbyt zaabsorbowany, żeby myśleć o urokach życia.

Margery zaczęła powtarzać swoją historyjkę agentowi, którego angielszczyzna była nienaganna.

- Próbuję odszukać brata. Mamy problem rodzinny...

Warren wyjął fotografię Iana.

- Mamy jego zdjęcie...

- To niepotrzebne - powiedział agent. - Doktor MacLaren zwrócił samochód. - Przeglądał leżące przed nim kwity. - O, jest, wczoraj rano. Pamiętam, bo to było na moim dyżurze.

- Czy zostawił jakiś adres? - zapytał Warren. - A może wypożyczył inny samochód?

- Coś mówił, niech pomyślę.

Agent pukał się ołówkiem w czoło.

Warren czekał pełen napięcia, czał się jak szakal. Margery pomyślała, że za chwilę przeskoczy biurko i zacznie potrząsać tym biedakiem.

- Warren - odezwała się z czarującym uśmiechem, wpijając mu paznokcie w rękę poniżej rękawa. - Jestem pewna, że go znajdziemy.

- Tak! - Agent podniósł na nich rozpromienioną twarz. - Pani brat pytał o jakąś inną agencję wynajmu samochodów. Pamiętam, ponieważ zapytałem, czy nie jest zadowolony z naszych usług...

- Do jakiej agencji poszedł? - przerwał Warren.

Twarz Margery poczerwieniała.

Agent wyprostował się.

- Zdaje się, że do Avis...

Warren pociągnął za rękę Margery, prowadząc ją ku wyjściu. Kiedy podjechali pod biuro Avis, Margery koniecznie chciała iść sama.

- Brindisi? - zapytał podniecony Warren, kiedy Margery wróciła do kawiarni, gdzie na nią czekał. - Czy to we Włoszech?

- Tak. - Margery usiadła naprzeciw. - Młoda urzędniczka powiedziała mi, że jest tam port, skąd odpływają promy do Grecji i w innych kierunkach.

- Grecja?

- Warren, nie możemy wiedzieć, czy jedzie do Grecji. Urzędniczka powiedziała, że Brindisi to duży port.

Warren patrzył gdzieś w przestrzeń.

- Morze Śródziemne - powiedział półgłosem. - A po drugiej stronie jest Trzeci Świat...

- Dalej tak myślisz? - zapytała.

- Jestem o tym coraz bardziej przekonany.

Oparła twarz na dłoni i zapatrzyła się w okno nie widzącym wzrokiem, Ian, Ian, co ty knujesz?

- Lepiej już chodźmy. - Warren zaczął wstawać, ale ponownie osunął się na krzesło. - Chyba... - Głos mu dziwnie złagodniał i dokończył cicho: - Margery, chyba nie mówiłaś poważnie o tym, że chcesz wracać do domu?

Spojrzała na niego. Zabrzmiało to prawie tak, jak gdyby chciał zatrzymać ją z prywatnych powodów, dla siebie.

- Nie wiem - odpowiedziała.

Wpatrywał się w nią badawczo przez chwilę, zaczął coś mówić, ale się zawahał i wymamrotał coś o rachunku. Na wpeł się podniósł, żeby wyjąć pieniądze z kieszeni spodni.

- Piętnaście franków. Czy dwa franki napiwku to dość?

- Napiwek wliczony jest do rachunku. Zachowaj go. Będzie ci potem potrzebny do rozliczenia się z wydatków.

Posłał jej rozbawione spojrzenie.

- Rozliczenia z wydatków?

Wyciągnął z kieszeni garść pogniecionych rachunków i pokwitowań zmieszanych z frankami, szylingami i amerykańskimi dwudziestopięciocentówkami.

- O, mam. To chyba wszystko. Rose zawsze... - Zmitygował się i urwał.

- Och, Warren - westchnęła Margery. - Daj mi to, spróbuję zrobić z tym jakiś porządek.

Bez protestu wręczył jej papierki i wstał.

- Dziękuję - powiedział niemal nieśmiało. Po chwili twarz mu się rozjaśniła. - Teraz wiem, że zostajesz.

- Skąd wiesz?

- Żeby się zająć moimi finansami - odparł. W tym momencie Margery zdała sobie sprawę, ile wysiłku Warren wkłada w to, żeby być dla niej miły i dowcipny, żeby być dobrym kumplem. Żeby ją oczarować.

- Nie wiem - powtórzyła chowając papierki do zamykanej na zamek błyskawiczny przegródki w portmonetce. - Mogę stracić pracę.

- Z pewnością uda ci się wziąć jeszcze jeden dzień lub dwa. Wiem, że go znajdziemy. Czuję to.

Stał nad nią, tak blisko - wysoki, napięty, z kosmykiem ciemnych włosów opadających na czoło. Miała ochotę podnieść rękę i odsunąć go na bok. Zastanawiała się, czy to możliwe, żeby chciał, aby została nie tylko dlatego, że może się przydać przy odnalezieniu Iana. Zgodnie z logiką powinna odlecieć do Stanów i zostawić go samego. Ich ciągła bliskość stawała się dla niej torturą.

Ale druga Margery, ta, której od tak dawna nie chciała dopuścić do głosu, krzyczała w niej, że ma zostać, przeżyć z nim do końca tę przygodę. Ale czy może sobie pozwolić na choćby jeszcze jeden dzień?

- Chcesz przecież znaleźć MacLarena tak samo jak ja - powiedział ściszym, niemal serdecznym głosem.

Byli w połowie drogi do wyjścia, kiedy Margery przystanąła i spojrzała mu prosto w oczy.

- Ale z zupełnie innych powodów.

- Godzę się na wszystko - powiedział, po czym szybko ruszył w kierunku auta.

Do końca dnia samochód prowadził Warren, a Margery spisywała w notesie dane z zatłuszczonych, pogniecionych kwitów, jednocześnie zastanawiając się nad przyczynami własnej decyzji. To prawda, że chciała odnaleźć Iana, ale było w tym także coś więcej. Pragnęła dotrzeć do końca tego zwariowanego polowania, tej odysei z Warrenem. Nie chciała się z nim rozstawać, w każdym razie nie teraz. Była w tym wszystkim jakaś nieuchwytna iskra, tajemnicza i ekscytująca, która fascynowała ją i przerażała zarazem. Margery miała dziwne uczucie, jak gdyby stała nad przepaścią.

Do Aigle przyjechali kilka minut po piątej. Było to piękne miasteczko, czyste, z solidnymi, mocnymi budynkami, rozłożone w szerokiej dolinie Rodanu, która obfitowała w winnice ciągnące się wysoko po zboczach wzgórz, daleko od dna koryta rzeki. Słońce błąkało się jeszcze po odległych szczytach Dents du Midi i istotnie szereg postrzępionych wierzchołków przypominał rząd zębów. Margery wyszła z samochodu na chodnik z cegły i głęboko wciągnęła w płuca czyste, ostre powietrze.

- Czy nie możemy się tu zatrzymać na noc? - Spojrzała na Warrena błagalnie. - Tak tu uroczo.

- Oczywiście - zgodził się nadszpiewanie łatwo. - Narzuciłem trochę mordercze tempo.

- Można by tak powiedzieć.

Znaleźli hotel niedaleko stacji kolejowej. Margery była oczarowana. Dom był mały, zaledwie jednopiętrowy, zbudowany z bali. Nad drzwiami i oknami wryto regionalne, barwne motywy ozdobne. Wewnątrz ściany wyłożono białą sztukaterią, sufit podtrzymywały ciemne, masywne belki

stropowe, ułożone w równoległe pasy. W jadalni znajdował się ogromny kominek. Trzaskały w nim i syczały kłody drewna, napełniając powietrze zapachem żywicy. Dziewczyna w recepcji miała na sobie tyrolską spódnicę i gorset z grubego sukna, białe skarpety do kolan i ciężkie, czarne buty.

- Mam nadzieję, że mają jakieś pokoje - cieszyła się Margery, kiedy Warren zaczął pertraktacje. Mieli, owszem, ale tylko dwa pokoje w amfiladzie, właściwie dla jednej osoby.

- No, nie - szepnęła rozczarowana.

Dziewczyna spojrzała na Margery.

- Nie sądzę, żeby państwo znaleźli teraz dwa pokoje w Aigle. Zjechało się wielu narciarzy. - Wzruszyła ramionami. - Jeden z tych pokoików ma... jak to wy nazywacie po angielsku... sofę. Wygodną. W drugim pokoju jest łóżko,

Warren zmarszczył brwi.

- Sam nie wiem.

- Dlaczegożby nie? - z zapalem wtraciła Margery. - Jedno z nas zajmie sypialnię, drugie może spać na kanapie. Możemy rzucać monetę. To taki piękny domek!

- Bierzemy - powiedział Warren wyciągając swoją kartę kredytową i zostawiając paszporty.

Margery jednak zachowała się dość nerwowo już w chwilę po wniesieniu walizek na górę. Oboje natychmiast ruszyli w kierunku łazienki, zatrzymali się gwałtownie, patrząc na siebie zażenowani.

- W porządku - powiedział Warren. - Ty wejdz pierwsza.

- Nie, nie. - Margery ze spuszczoną głową przyglądała się swoim pantoflom. - Ja... mogę poczekać.

Żadne z nich nie uczyniło ruchu. Wtem znowu jednocześnie ruszyli i wszystko zaczęło się od początku. Kiedy wreszcie Margery znalazła się za zamkniętymi drzwiami łazienki i zobaczyła w lustrze swoją czerwoną ze zmieszania twarz, jęknęła: „Co ja zrobiłam”? Na

domiar wszystkiego ściany były cienkie jak papier, więc odkręciła kran i nienaturalnie długo lała do zlewu wodę. Wyglądało na to, że się uwikłali w dziwną sytuację.

Kiedy przyszła kolej na Warrena, Margery zajęła się walizką, ale nie stwierdziła, by Warren odczuwał potrzebę zrobienia tego samego.

Przebrała się w sypialni w gruby sportowy irlandzki sweter i granatowe luźne spodnie. Uczesała włosy, lekko podkreśliła kredką oczy i nałożyła na usta nieznaczoną warstwę szminki. Na koniec leciutko uperfumowała miejsca za uszami, tuż za dyskretnymi złotymi kulkami kolczyków.

- Umieram z głodu - obwieściła.
- Czy zjemy tutaj?
- Chciałabym bardzo.

Wyszli na korytarz. Kiedy Warren zamykał drzwi, Margery przystanąła za balustradą podestu, przyglądając się dużej sieni na dole. Pomyślała, że jak na ironię, dla kręcących się tam ludzi wyglądają z Warrenem na męża i żonę.

Warren wrzucił klucz do wypchanej kieszeni marynarki i spytał:

- Idziemy?

Przy schodzeniu ze schodów Margery trzymała się poręczy i jak zwykle, kiedy miała na czym się oprzeć, szła nie utykając. Och, gdyby tak mogło być zawsze. Znowu zastanowiła się nad tym, czy Warrena razi jej chód.

Mocny zapach czosnku gotowanego w winie, topiącego się sera, masła i świeżego chleba wypełniał salkę, obiecując wiele przyjemnych doznań kulinarnych. Jadalnia była niemal po brzegi wypełniona turystami, którzy z zaczerwienionymi twarzami po całodziennym jeździe na nartach lub włóczeniu się po malowniczych uliczkach Aigle przyszli tu głodni jak wilki. Margery zauważyła, że był to tłumek bardzo międzynarodowy. Pod oknem siedziała para Japończyków, przy barze Arab wyglądający na biznesmena rozmawiał z mężczyzną w berecie na

głowie, który niewątpliwie był Francuzem. Dwóch wysokich narciarzy w typie skandynawskim siedziało w pobliżu kominka, z apetytem zjadając fondue z małego kociołka. Tuż za Margery i Warrenem ustawiła się w kolejce do stolika jakaś czteroosobowa rodzina.

- Czy możemy prosić o stół przy oknie? - zapytała Margery, kiedy przyszła na nich kolej.

Kelnerka zaprowadziła ich do stolika tuż obok kominka. Lewym ramieniem Margery dotykała podwieszanej zasłony zdobiącej okno z małymi szybkami.

- Czy można państwu zaproponować jakiś koktajl? - zapytała kelnerka, wymawiając słowo "koktajl" z akcentem francuskim.

Warren spojrział na Margery, szukając u niej pomocy.

- Wolałabym wino - odpowiedziała. - A ty, Warren?

- Tak, oczywiście. Białe.

Zdecydowali się ostatecznie na białe wytrawne z winnic Regionalnych. Zamówienie kolacji także spadło na Margery. Odwróciła się i spojrzała na Skandynawów.

- Fondue z sera - zamówiła zdecydowanie. - Dwa razy. Potem przypuszczam, że pan będzie miał ochotę na sznycel wiedeński.

- A pani?

- Dla mnie tylko fondue i mała porcja sałaty.

Panujący w przytulnej jadalni gwar był bardzo sympatyczny, w tle można było dosłuchać się trzaskania bierwion i syku wesołego ognia. Ze środkowej belki sufitu zwisał zabytkowy żyrandol. Stoliki oświetlone były stojącymi na nich świecami. Ich blask napępiał wnętrze ciepłem i spokojem. Kelnerka wróciła niemal natychmiast, przynosząc wino i chleb.

- Przypuszczam, że jedzenie będzie równie dobre jak atmosfera tej jadalni - powiedziała Margery popijając wino.

- Ja mogę zjeść cokolwiek - odparł Warren między dwoma kęsami chleba. - Ale... czy myśmy jedli lunch?

- Nie.
- No wiesz! Trzeba mi było przypomnieć.
- Nie jestem Rose – powiedziała Margery, zanim zdążyła ugryźć się w język.

Warren jednak, przypadkowo albo celowo, nie zwrócił na to uwagi.

- Z jedzeniem zawsze byłem okropny. Albo się przejadałem, albo głodowałem. Kiedy byłem chłopcem, mama chodziła za mną z widelcem.

Smarował już drugą kromkę chleba pachnącym, wiejskim masłem.

- Nie jest to bardzo zdrowe.

- Tak, jestem tego pewny. Powiedziałem sobie, że po powrocie muszę zwrócić większą uwagę na regularne posiłki. Teraz mogę sobie pozwolić na stratę kilograma czy dwóch. - Uśmiechnął się zakłopotany.

- Wiesz, dobijam do czterdziestki.

- Gdzie się urodziłeś?

- W New Jersey. Urodziłem się tam i wychowałem. Mieszkają tam moi rodzice i starszy brat z żoną i dziećmi.

Margery pomyślała, jak mało wie o Warrenie. Ogarnęła ją ciekawość.

- Dokąd stamtąd wyjechałeś?

- Do Harvardu.

- Zawsze chciałeś się poświęcić badaniom naukowym?

- Tak. Odkąd pamiętam, zawsze myślałem tylko o tym.

Margery sięgnęła po butelkę z winem i napełniła kieliszek Warrena. Jeżeli po jednym kieliszku stał się taki rozmowny, to co będzie po dwóch?

- A ty? - zapytał Warren. - Urodziłaś się w Minneapolis?

- Na przedmieściach, w pobliżu miasta. Urodziłam się tam i wychowałam. W tej dzielnicy mieszka wielu Norwegów.

- Ty także wyglądasz na Norweżkę. A twoi rodzice?

- Oboje są blondynami. Moja siostra też.

- Masz siostrę?

- Tak, mam - odparła lakonicznie.

- Nie bardzo ją lubisz?

- No, nie. Lubię. Jest ode mnie o wiele młodsza. Ale rodzice okropnie ją rozpuścili.

- A ty? Przyznaj się, nie byłaś rozpieszczana?

Margery pociągnęła większy łyk wina. Dlaczego mu nie powiedzieć? Sprawilaby jej ulgę rozmowa o dzieciństwie, zwłaszcza z kimś, kogo za dzień czy dwa więcej nie zobaczy. Odetchnęła głęboko.

- Wiesz, nie cierpiałam okresu dorastania - zaczęła, patrząc przez okno. - Kiedy miałam dziewięć lat, jechałam z ojcem samochodem i mieliśmy wypadek.

- To ta kostka - łagodnie powiedział Warren.

- Tak. Przeszłam kilka operacji. - Spojrzała teraz na niego próbując się uśmiechnąć, ale zamiast uśmiechu w jej oczach pojawiły się łzy. Co się, na Boga, z nią dzieje?

- Nie musisz mi tego opowiadać.

- Teraz to już nie ma znaczenia - odpowiedziała, lekko machnąwszy dłonią. - Dawno już przeszłam nad tym do porządku dziennego.

Ale jego oczy, poważne i skupione, mówiły, że jej nie wierzy ani trochę.

- Wiesz, nie mogłam uczestniczyć w żadnych ćwiczeniach fizycznych, nie mogłam tańczyć, nic z tych rzeczy. Pamiętam swój kompleks niższości nastolatki. Zresztą, prześladuje mnie do dziś. Ale moi rodzice nigdy się z tym nie zgadzali. Mówili zawsze: „Och, Marge, nie bądź taka przewrażliwiona. Jesteś bardzo bystrą dziewczynką, a dzisiaj tylko to się liczy”. - Margery lekceważąco wzruszyła ramionami.

- Jestem pewny, że musieli mieć poczucie winy. Z powodu tego wypadku. Może sobie tego nie mogli darować? - powiedział łagodnie.

- No, więc tyle o tym - odezwała się Margery po dłuższej chwili ciszy. - Stałam się samotnicą. Nauczyłam się trzymać od ludzi z daleka.

Wiesz, do końca studiów nie miałam ani jednej randki – dodała beztrasko. Wyciągnęła z torebki chusteczkę i wydmuchała nos. – Jesteś pewien, że i ty nie jesteś odludkiem? – powiedziała lekkim tonem, pragnąc odwrócić uwagę od siebie.

– Ja? Chyba największym na świecie. – Oparł ręce na stole i splótł palce. – Zaprosiłbym cię do tańca – oświadczył nieoczekiwanie i spojrział jej prosto w oczy. – Ale pewnie byś odmówiła.

– Może jednak nie – odpowiedziała cicho.

– Takiemu mizantropowi? Który się nie umawiał z dziewczętami na randki? Do samego uniwersytetu, zresztą i potem zaledwie kilka razy.

– Byłeś takim odludkiem?

Poważnie skinął głową.

– Nauczyłem się nie dbać o te rzeczy. Byłem bardzo pochłonięty nauką. Może byłem za głupi, żeby to rozumieć?

– Biedny Warren.

– Nie było tak źle. Zdaje się, że oboje straciliśmy coś z naszej młodości. Zawsze sobie przyrzekam, że jeżeli będę miał dzieci, zadbam o to, żeby miały lepsze dzieciństwo.

Kelnerka przyniosła wrzące fondue, cudownie pachnące czosnkiem i winem. Długimi widelczykami nakłuwali bułkę pokrajaną w kostkę i zanurzali w gotującej się, pokrytej pęcherzykami potrawie.

– Ale się upaprzemy!

– Nie szkodzi – wymamrotał Warren mimo pełnych ust.

– Czy wiesz, że podobno, według starego obyczaju szwajcarskiego, jeżeli kobiecie spadnie chleb z widelca, musi pocałować siedzących przy stole mężczyzn? A jeżeli to się przytrafi mężczyźnie...

–... musi pocałować siedzące przy stole panie – dokończył Warren.

– Lub panią.

Tak długo i wymownie patrzył na Margery, że zarumieniła się i ze śmiechem dorzuciła:

– Jaki dziwny zwyczaj, nie sądzisz?

- Podoba mi się – odparł powoli, nie odrywając od niej spojrzenia, pod którym coraz bardziej topniało jej serce. Przestała słyszeć gwar wypełniający jadalnię, wydawało jej się, że oprócz nich dwojga nie ma nikogo. Tylko te oczy zatopione w jej spojrzeniu. Niesforny kosmyk włosów znowu opadł mu na czoło, ser kipiał w naczyniu do fondue, za oknem zaczął prószyc śnieg, pokrywając białą uroczą uliczkę za oknem.

Przyjście kelnerki z kotлетem wiedeńskim dla Warrena i sałatką dla Margery sprowadziło ich na ziemię.

Jedząc sałatkę Margery przyglądała się, jak Warren pochłania swój kotlet. Uznała, że ich rozmowa była zastanawiająca. Nigdy by nie pomyślała, że którekolwiek z nich zdolne jest to takich zwierzeń. Czy to wino tak na nich podziałało? A może to otoczenie, w którym człowiek czuje się taki odpreżony, żarzące się w kominku polana albo świece odbijające się w oczach hipnotyzującymi iskierkami? Zastanawiała się, czy Warren mówił kiedyś to samo Rose, i wmawiała sobie, że chyba nie. To zupełnie do niego niepodobne – tak się otwierać, mówić w szczególności o niezbyt chlubnym okresie szkoły średniej. Dlaczego jej się zwierzył?

- Więc nie umawiałeś się z dziewczętami na studiach? A jak jest teraz?

- Och, najwyżej raz na rok ktoś, kogo prawie nie znam, umawia się ze mną na spotkanie. Jest to ulubiona rozrywka w Centrum.

- Dokąd zabierasz te osoby? Do laboratorium? Pokazujesz im klatki ze zwierzętami?

- No, na pewno nie zabieram ich do swojego mieszkania. Wiesz, jaki mam tam bałagan?

Margery zamówiła czekoladę, po czym z energią podjęła indagacje.

- A Rose? Długo ją znasz?

- Kilka lat — odpowiedział swobodnie. - Pracowała ze mną jeszcze przed poznaniem Morty'ego.

- Rozumiem. Miałaś kiedyś... randkę z Rose?

- Nie, nigdy się z nią nie umawiałem.

Margery uwierzyła mu. Ależ się pomyliła! Jaka byłam złośliwa i śmieszna, pomyślała.

Ciężar spadł jej z serca, czuła się coraz bardziej rozgrzana. To chyba wino, pomyślała, kiedy zakreśliło jej się w głowie.

Warren zamówił na deser szarlotkę i nalegał, żeby Margery skosztowała.

- Już nie mogę - oponowała.

- Tylko trochę.

Wyciągnął przez stół widelczyk z kawałkiem ciasta, ale nie trafił do ust Margery. Śmiała się, kiedy wstał i speszony wycierał jej policzek serwetką.

Potem znowu dotknął jej twarzy i błędził po niej palcami. Pochylał się nad nią niebezpiecznie blisko. Jego chmurny, jak gdyby pytający wzrok, palił ją żywym ogniem. Powietrze w jadalni zrobiło się nagle gęste, czuła na sobie jego ciężar, kontury rzeczy i ludzi zacierały się w półmroku. Widziała tylko Warrena, przesłaniał jej cały świat. Za oknem leniwie opadały płatki śniegu, na kominku płonęły polana, syczał jasny płomień.

On także czuł napięcie. Wyrażało to jego spojrzenie, drżenie ust, ręki.

- Nigdy dotąd nie przeżywałem takiego wieczoru - powiedział dziwnie zduszonym głosem.

- Ani ja...

- Margery... Ja...

- Mów dalej - szepnęła.

- Nazywają mnie tępym egoistą. Może taki jestem. Ale nie wiem, jak cię o coś poprosić. Potrafię tylko w jeden sposób...

Słuchała tego, co mówił, i buntowało się w niej wszystko. Co za nieoczekiwane zwariowana sytuacja. Margery, która zawsze potrafiła trzymać na wodzy swoje uczucia, siedzi tu, zastanawiając się, czy ma

się oddać Warrenowi. Wydawało się to czymś nie do pomyslenia, a jednak.

W pewnej chwili przestała myśleć i dała się ponieść uczuciom. Czuła w sobie jakieś drżenie, oblewały ją fale ciepła, pełzające wzdłuż pleców do szyi. Wiedziała, o co ją zapyta, zanim wypowiedział pierwsze słowo.

- Chciałbym z tobą być razem w sypialni – powiedział patrząc na nią odważnie.

Wstrzymała oddech, czując palący dotyk jego palców. Odniosła wrażenie, że w tej chwili jakby budzi się do życia. Narodziny, początek życia.

Czekał na jej odpowiedź. Atmosfera wokół nich pulsowała napięciem. Nie mogła sobie później przypomnieć, jak zareagowała. Zdaje się, że nie powiedziała ani słowa.

- Powinniśmy chyba iść – powiedział cicho, wyciągając z kieszeni na stolik kilka pomiętych banknotów.

Wstała i oszołomiona poszła za nim. Wszystko stało się nieważne, kierował nią instynkt i przebiegające po skórze fale dreszczy. Idąc za nim, najpierw przez jadalnię, potem po schodach, nie myślała o niczym. Wiedziała, co nastąpi.

Żadne z nich, co było oczywiste, nie uciekało się do kokieterii. Stali tuż przy sobie w ciemnym saloniku. Był to dziwny, trwający wieki moment, zanim Warren zdecydował się ją pocałować. Potem wyprostował się i niepewnym głosem zapytał:

- Czy mogę... cię rozebrać?

- Tak, proszę – odpowiedziała cicho.

Szło mu to trochę niezdarnie, ale namiętność, z jaką się pochylił i pocałował jej piersi, sprawiła, że nie mogła złapać tchu. Była gotowa oddać się Warrenowi już w chwili, kiedy pocałował ją w usta. Drżącymi palcami pomagała mu potem zdjąć marynarkę i koszulę. Byli jak para nastolatków, którzy robią to po raz pierwszy – spieszą się, są

niecierpliwi. Objęli się i upadli na kanapę. Długo tłumiona namiętność wybuchała ze zdwojoną siłą. Margery zapomniała o kobiecej skromności i powściągliwości. Dała się porwać zmysłom. Z okrzykiem rozkoszy razem przeżyli spełnienie i długo się potem do siebie tulili. Margery leżała u boku Warrena czując, jak jego ciepły oddech rozwiewa jej włosy. Szczęśliwa i uśmiechnięta patrzyła przez okno chłonąc atmosferę zimnej, alpejskiej nocy, dopóki nie spłynął na nią sen.

Mniej więcej o trzeciej nad ranem Warren ocknął się, obudził ją i chwiejnym krokiem, trzymając się za ręce, poszli do sypialni. Zanim zasnęli, przytulił usta do jej miękkich warg upewniając się, że to wszystko prawda.

- Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką spotkałem w życiu - szepnął jej do ucha.

Wstrzymała oddech.

- Nawet z moją nogą? - Nie mogła wprost uwierzyć, że nazwał ją piękną.

- W ogóle jej nie zauważyłem. Dopiero w Londynie, kiedy tyle chodziliśmy.

- Ta kostka jest brzydka. - Łzy same cisnęły się jej do oczu.

- Nie, jest piękna. Jest częścią ciebie.

Wiedziała, że jej łzy kapią mu na pierś, ale ich nie wstrzymywała.

10

Warren otworzył oczy i jeszcze przez chwilę leżał oszołomiony. Miał najcudowniejszy sen, jaki sobie można wyobrazić. Nagle dotarło do niego, że to przecież nie sen. Kochali się i oboje byli sobą zachwyceni. Wiedział, że ją także cieszyło jego ciało. Margery, taka ciepła, pachnąca i zmysłowa. Czy to możliwe, żeby to on był tym szczęśliwym mężczyzną?

Leżał i patrzył w sufit, bojąc się odwrócić na bok, żeby Margery nie zniknęła i cała noc okazała się wytworem wyobraźni.

Nie, to jednak nie wyobraźnia. Wiedział, że Margery leży obok niego i zamknął oczy, żeby intensywniej przeżyć tę niezwykłą prawdę. Był wstrząśnięty: zbliżył się tak blisko do kobiety, czuł jej ciało niemal jak swoje. Jak to możliwe... On, Warren Yeager, mizantrop, król abnegatów oszalał na punkcie kobiety... Pięknej, wrażliwej, inteligentnej kobiety, która odwzajemniła jego uczucia.

Margery poruszyła się i odwróciła na bok, dotykając piersią jego ręki. Dreszcz rozkoszy był tak subtelny, że miał ochotę krzyknąć z radości. Kiedy poruszyła się jeszcze raz, odwrócił głowę i spojrzał na nią. Oczy miała otwarte i wpatrzone w niego. Wyciągnął rękę i przytulając ją poczuł, że jej ciało tężeje.

- Margery? - wyszeptał speszony.

Uśmiechnęła się do niego nieśmiało, dostrzegł na jej policzkach różowe plamy. Odgadł, że jest zawstydzona. Cudownie zawstydzona.

- Która godzina? Warren, chyba musimy już jechać? - zapytała lekko spłoszona, przywołując w jego pamięci wszystko: Iana MacLarena, mikroba i Brindisi. Boże, zupełnie zapomniał o MacLarenie!

Spojrzał na zegarek.

- Kilka minut po ósmej. - Wróciło podniecenie, gorączka działania, stan, który znał aż nazbyt dobrze. Jeszcze wczoraj już dawno wyskoczyłby z łóżka i gnał przed siebie. Tymczasem dziś rozpaczliwie zapragnął zostać w tym ciepłym łóżku do wieczora. Walka wewnętrzna nie była łatwa.

- Tak, niedługo musimy wyruszyć - odezwał się wreszcie. - Mam zamówić śniadanie na górę? A może coś jeszcze?

Uderzyło go, jak kompromis ułatwia sytuację. Jak zwykła mówić Rose? Niecierpliwość jest bezproduktywna.

Jeszcze się chwilę wahał, czy nie przytulić do siebie Margery, ale ona już spuszczała z łóżka swoje długie nogi i naciągała na ramiona pled, odrzucając do tyłu jasne, mieniące się złotem włosy.

- Nie, nie. Niczego mi nie potrzeba. Wezmę prysznic i za chwilę będę gotowa. Ale ty zjedz coś, moja toaleta jednak trochę potrwa. - Mówiła szybciej niż zwykle, unikając jego wzroku. - Czy mógłbyś mi podać szlafrok? Jest w walizce.

Warren szybko wciągnął spodenki i podszedł do walizki. Co za dziwne uczucie - grzebać nagle wśród pachnących damskich fatalaszek. Znalazł jedwabny, jasnoniebieski szlafrok, który zapamiętał z Duncllyde.

- Dziękuję - powiedziała cicho odwracając się do niego plecami, ale on i tak dyskretnie patrzył w bok.

- Może wypijesz przynajmniej filiżankę kawy?

- Nie, dziękuję. Wezmę teraz prysznic.

Stała jednak w miejscu, jak gdyby zmieszana czy niezdecydowana.

- To... ty się ubieraj, a ja pójdę na kawę.

Z uśmiechem kiwnęła głową. Czyżby przyjęła tę propozycję z ulgą?

Kiedy zniknęła w łazience, Warren zaczął się krzątać po pokoju w tak radosnym nastroju, że chciało mu się śmiać na cały głos. Wywijął w powietrzu zbieranymi częściami garderoby, gwizdał przy tym i cieszył się słysząc, jak Margery bierze prysznic. Zastanowił się, co to za melodia i

udało mu się przypomnieć, że był to wielki przebój z „My Fair Lady”, jednego z niewielu musicali, które zapamiętał. Przypomniał sobie nawet słowa i uśmiechnął się jeszcze szerzej. Czyżby wyśpiewywał je taki zatwardziały, stary kawaler jak on? Ależ tak! Był szczęśliwy i chciał się tym nacieszyć. Po raz pierwszy postanowił o niczym nie myśleć.

Kiedy już włożył sztruksowe spodnie i czystą koszulę, uznał, że ma za długie włosy. Zaczesał je do tyłu, lecz jeden niesforny kosmyk bez przerwy opadał na czoło. Czy ma czas na fryzjera? Może jest tu gdzieś jakiś dobry fryzjer? Słyszał, że w Europie fryzjerzy są doskonali.

Zauważył też, że spodnie są mocno zniszczone, wytarte i wypchane na kolanach i siedzeniu, a u koszuli brak guzika. Co Margery o nim pomyśli?

Nie przestając pogwizdywać, zostawił Margery do dyspozycji cały apartament i zszedł do jadalni. Usiadł przy narożnym stoliku i pożałował, że nie ma jej przy nim. Ale oczywiście toaleta kobiet jest staranniejsza. Czy Margery się maluje? Tak, bardzo dyskretnie. Podobała mu się jej różowa szminka. Musi też ułożyć swoje piękne włosy, które w jego palcach prześlizgiwały się niczym kaskada delikatnych, jedwabnych nitek.

Poczuł głód. Wypił dwie filiżanki mocnej szwajcarskiej kawy, zjadł talerz płatków owsianych ze świeżą śmietanką i porcję biszkoptowego ciasta z owocami. Wspaniałą kuchnię mają ci Szwajcarzy, bardzo pożywną. Już miał wracać na górę, kiedy pod wpływem jakiegoś impulsu zamówił dla Margery filiżankę gorącej czekolady z bitą śmietaną i kawałek ciasta. Mimo sprzeciwu kelnera uparł się, że zanieśie je do pokoju sam.

Zapukał do drzwi, starając się utrzymać tacę w drugiej ręce. Margery otworzyła natychmiast.

- Warren, jestem gotowa. Przepraszam... - urwała zaskoczona widokiem tacy.

Przez ułamek sekundy miał ochotę cisnąć tacę i wziąć Margery w ramiona. Wyglądała elegancko w dobrze skrojonych spodniach uwydatniających biodra i jej długie nogi. Włożyła do nich perłowszary sweter, skromny i luźny, nie na tyle jednak, żeby nie rysowały się pod nim jej małe piersi. Warren przywołał się do porządku.

- Mają tu wspaniałą kuchnię. Musisz to zjeść.

- Warren... dziękuję. Bałam się, że będziesz się spieszył...

- Usiądź i zjedz - powiedział zdecydowanym tonem, czując się z siebie dumny, opiekuńczy i jednocześnie władczy. Kobiety bardzo lubią takich mężczyzn. Ten typ, który był Warrenowi dotychczas obcy.

Postawił tacę na stole i przysunął krzesło, żeby Margery mogła zasiąść do śniadania. Podniosła do ust filiżankę, ale postawiła ją z powrotem, nisko pochylając głowę. Kiedy ją znów uniosła i spojrzała na Warrena, spostrzegł, że jej niebieskie oczy wypełniły się łzami.

- Dzięki... - szepnęła. - To takie ładne z twojej...

Nie mogła dokończyć. Warren szybko myślał, co ma zrobić. Ujął jej dłoń w swoje ręce. Czy tak było dobrze?

Siedział na kanapie nie mogąc oderwać od niej wzroku. Taka jest piękna! Miała cudowne dłonie - długie i wąskie. Śmieszne, ale nie zauważył dotąd, że ma przekłute uszy. Teraz, kiedy zaczesła włosy do tyłu, zauważył małe perełki tkwiące w jej uszach, także pięknych, przylegających do głowy jak muszelki. I ta długa szyja! Przypomniawsobnie to miejsce, gdzie wyczuł jej bijący puls.

Z Aigle wyjechali kierując się na południowy wschód, do Włoch. Przezierające przez chmury słońce już roztapiało śnieg, który spadł w nocy.

- Piękny dzień - powiedział Warren.

- Tak, chociaż wydaje mi się, że o tej porze roku można się tu spodziewać burz.

- Niedługo będziemy we Włoszech i przynajmniej nie grozi nam śnieg.

- To prawda - powiedziała Margery, nie przestając patrzeć przez okno.

Warren poczuł się lekko przygnębiony. Nie oczekiwał wprawdzie, że Margery rzuci mu się na szyję i przysięgnie dozgonną miłość, ale po ostatniej nocy oczekiwał nieco ciepła, a przynajmniej rozmowy. Czy nie zauważyła, że zwariował na jej punkcie? Zdawało mu się, że jak gdyby zaniknęła się w sobie. Nie sądził, żeby to była tylko nieśmiałość. Jego świeżo rozbudzona wrażliwość wyczuwała w jej zachowaniu jakby skrępowanie czy zażenowanie...

- Czy Szwajcaria nie jest piękna? - zaryzykował jeszcze raz, kiedy jechali wzdłuż rozległej doliny otoczonej iskrzącymi się, postrzępionymi wierzchołkami gór. Nad nimi tylko błękit nieba i kilka puszystych, białych obłoków. Na zboczach, tu i tam, widać było skupiska zgrabnych, malowniczych domków i nawet kilka niszczących, starych zamków.

- Tak, bardzo piękna - przyznała Margery nie odwracając głowy.

Szosa zaczęła się wznosić pod górę. Margery wzięła do rąk mapę.

- Mamy przed sobą nowy tunel do Włoch pod Przełęczą św. Bernarda - powiedziała z ożywieniem. - Piszą tu, że jest to najstarsza droga przez Alpy, używana jeszcze przez Rzymian. Na szczycie jest klasztor, w miejscu, gdzie święty Bernard zapoczątkował hodowlę psów. Mnisi zajmują się tym w dalszym ciągu. Warren, pomyśl, psy z baryłkami whisky przytwierdzonymi do obroży... psy, które ratują ludzi zagubionych w górach. Zaczęło się to w tym miejscu!

Spojrzał na nią.

- Lubisz psy?

- Tak, chociaż nigdy nie miałam własnego. Moja siostra ma alergię, jest uczulona na sierść. Kocham wszystkie zwierzęta. Z wyjątkiem szczurów.

- Nikt ich nie lubi.

- Nieprawda. W Dunclycie była dziewczyna, która karmiła zwierzęta. Był tam szczur, który jej jadł z ręki. Była w nim zakochana.

- Wiesz, Rose też nic nie ma przeciwko szczurom.

Zaległa cisza i Warren miał ochotę kopnąć się w kostkę. No, ale czy Margery nie wie, że Rose to tylko przyjaciółka? Wiedziała przecież, że Rose ma męża. Przypomniawszy sobie, jak Margery – zapytała go, czy nie umawiał się z Rose i z przerażeniem pomyślał, co powiedziałaby, gdyby wiedziała, że oni... Ale zdarzyło się to tylko raz, i na dodatek bardzo dawno temu.

Przyszło mu na myśl, że Margery naprawdę nie ma powodu być zazdrosna o Rose, która była jego współpracownicą, podczas gdy Ian MacLaren i ona... Nie chciał tego rozważać. Jak tonący brzytwy uchwycił się przypuszczenia, że nie doszło między nimi do czegoś poważniejszego. Może wyrobił sobie o tym fałszywe mniemanie.

Kiedy już zbliżali się do tunelu św. Bernarda, zachmurzyło się i zaczął padać śnieg. Widoczność była okropna. Zauważył, że Margery zaczęła się trochę denerwować i starał się jechać bardzo ostrożnie. Byłby się nawet zatrzymał i oddał jej kierownicę, ale szosa była wąska i kręta, a na poboczach leżały wysokie zaspasy.

- Och! – krzyknęła Margery mimowolnie, kiedy z mgły wyłonił się nagle pług śnieżny. Toczył się w ich kierunku, tyle że po drugiej stronie drogi.

- Wszystko w porządku – powiedział Warren. Najchętniej otoczyłby ją ramionami i przytulił. – Nie bój się, Margery. Niedługo zostawimy ten odcinek za sobą.

Posłała mu ciepły, pełen wdzięczności uśmiech. Na granicy włoskiej poddani zostali pobieżnej odprawie paszportowej i bagażowej. Potem zamienili się miejscami. Chmury zostały za nimi. Zjeżdżali teraz w szeroką, szarą w porze zimowej, dolinę Aosty.

- Jeszcze nigdy nie byłam we Włoszech – powiedziała Margery, nie odrywając oczu od szosy.

- Ja też.

- W ogóle nigdzie nie byłam - ciągnęła prawie rozdrażniona. -
Dlaczego dotąd nie podróżowałam?

Różnice między Szwajcarią a Włochami zaznaczały się coraz wyraźniej. Nazwy niektórych miast zdradzały jeszcze wpływy francuskie, ale ich wygląd był bardzo włoski. Pola otoczone były rzędami smukłych, bezlistnych o tej porze roku topoli. Wzorowo uporządkowany, niemal nieskazatelnie czysty krajobraz Szwajcarii ustępował miejsca tchnącemu radością życia, uroczemu bałaganowi Włochów.

Było ciepło. Warren zdjął swój sportowy tweedowy płaszcz, rzucił go na tylne siedzenie i uchylił okno po swojej stronie.

Castella-monte, Strambino, Cabaglia - czytali tablice mijanych miast. Samochody wyprzedzały Margery jadąc ze zwariowaną prędkością i beztrząsco szarżując na zakrętach.

- Byłoby dobrze minąć wieczorem Bolonię - odezwał się Warren patrząc na mapę. - Mamy daleką drogę do Brindisi, może nam zabrac więcej niż dzień.

- Do tego późno wyjechaliśmy - powiedziała Margery.

- Nie żałuję ani chwili - wyznał cicho. - A ty?

Nie odpowiedziała natychmiast.

- Warren...

Czekał zdezorientowany, ogarnięty złym przeczuciem.

- Warren... myślałam o tym i... chciałam ci powiedzieć, że to nie był dobry pomysł.

Warren spostrzegł, jak silnie zacisnęła szczupłe dłonie na kierownicy.

- Ja tak nie myślę - powiedział bezradnie. - Dla mnie to był cudowny pomysł, Margery, naprawdę.

Zabrzmiało to uroczyście i rzeczowo, jak typowe wyznanie samotnika.

- Ja czułam to samo - przyznała niemal szeptem - ale może nie powinniśmy... To znaczy.

- Dlaczego nie? - wybuchnęła.

- No, wiesz, ty i ja... znaleźliśmy się tu, żeby wykonać pewne zadanie. Zadanie, Warren. Nie jesteśmy na urlopie... Nie możemy.

- Rozumiem. - Odtrąca go. Nie chce więcej zbliżeń. Ogarniające go uczucie straty było tak bolesne, że musiał odwrócić twarz.

- Przepraszam, Warren. Tak mi przykro... ale wiesz, że nic z tego... nie będzie - mówiła łamiącym się głosem.

Milczał, nie chcąc ani jej przyznać racji, ani zaprzeczyć. Jechali przez coraz to inne okolice. Novara, Galliate, Magenta. Rozczarowany i obolały Warren czuł się tak, jakby dostał po głowie maczuga.

Wczorajszej nocy była czuła i kochająca. Wydawało mu się, że jej na nim zależy. Że pragnie go równie gorąco jak on jej. A więc się mylił?

Nie, to niemożliwe. Przecież nie mógł zapomnieć pieszczot jej rąk, słów wymawianych szeptem. Oddawała mu się z taką pasją. Chciała go. Ale to było wczoraj. Dlaczego dzisiaj jest inna?

Olśniło go, kiedy mijali przemysłowe przedmieścia Mediolanu. Margery nigdy nie miała przedtem takich przeżyć. Bała się swoich uczuć, była ostrożna. Czy dobrze rozumował? Była także przewrażliwiona na punkcie swojej kostki. Uważał, że jej utykanie jest bez znaczenia. Ale ona nie mogła o tym zapomnieć.

Opowiedziała mu o swoim dzieciństwie, o małych okrucieństwach koleżanek i kolegów, o ślepocie rodziców.

Przeżycia podobne do jego własnych. Nigdy się nie umawiał z dziewczętami, odkąd zauważył, że zadzierają nosa i chichocząc szepczą za jego plecami: „mruk i odludek”. Stał się chłopcem, który w końcu zajął się wyłącznie nauką, pograżył w niej bez reszty, stając się stopniowo arogantem, nie okazującym ludziom należnego szacunku, nie potrafiącym powstrzymać ostrego języka.

Spojrzał na Margery. Miała taki szlachetny profil, o nieskazitelnie czystej linii. Usta miała w tej chwili zaciśnięte, ściągnięte brwi zdradzały wewnętrzną walkę.

Ona jest do mnie bardzo podobna, pomyślał. Też boi się zaangażowania i zranionych uczuć. Nigdy dotąd wobec nikogo nie żywił takich uczuć i dopiero teraz zrozumiał, ile trosk, komplikacji i trudnych sytuacji przynosi prawdziwa miłość.

Może Margery także przeżywa mękę niepewności, która jest jego udziałem? Czym to się skończy? Nie wiedział nawet tego, dokąd ich ten pościg za MacLarenem zaprowadzi i jak długo uda mu się zatrzymać Margery przy sobie.

Co będzie, jeśli go opuści? Może to przecież zrobić. On nie ma prawa jej zatrzymać. Czy może ją o to błagać? Czy może jej wyznaczyć swoje uczucia?

Kiedy zatrzymali się w Modenie na stacji benzynowej, Margery kupiła w sklepiku bochenek chleba i trochę sera. Zabrali się do jedzenia, siedząc na jakimś starym murku przy szosie.

Warren nie pamiętał, by cokolwiek w życiu mu tak smakowało. Jak to się stało, że nagle wszystko, co je, jest takie pyszne?

- Czy nie powinniśmy raczej jeść spaghetti? - zapytał.
- Zjemy wieczorem - przyrzekła.

Jeszcze jedna kolacja z Margery. Jeszcze jedno wspólne poznawanie nowych smaków, wspólne nowe wrażenia. Był zaskoczony, że tyle rzeczy w życiu było mu obce - fondue, pyszne desery i ciepło kobiecego ciała. Zimowy gwałtowny wiatr i śródziemnomorskie słońce.

Autostrada okrążyła Bolonię, wiodąc prosto na południowy wschód, nad Adriatyk.

Margery rozłożyła mapę i studiowała dalszą trasę.

- Do wybrzeża dojeżdżamy w Rimini, stamtąd prosto na południe. Och, to Brindisi jest strasznie daleko. Nie zdawałam sobie z tego sprawy - powiedziała zmartwiona.

- Dotrzemy tam jutro, zobaczysz.
- Będziemy musieli dzisiaj dojechać przynajmniej do Rimini.
- Świetnie - powiedział udając obojętność.

Szuka okazji, żeby odlecieć do domu, opuścić go na zawsze.

Zapadał wczesny zimowy zmrok i Warren włączył światła. Widział, że Margery rozciera sobie kark i kręci się niespokojnie. Jego także bolała szyja, krzyż, czuł zmęczenie w barkach. Zdecydowany był jednak jechać tak długo, jak będzie w stanie.

- Nie zmęczyłeś się prowadzeniem?

Zastanowił się, czy nie skłamać, ale był za stary, żeby się bawić w siłacza.

- Tak, jestem zmęczony, ale powiedziałaś, że musimy być wieczorem w Rimini, wobec tego chcę tam dojechać.

Zamilkła.

O dziewiątej minęli przedmieścia Bolonii.

- Czy moglibyśmy się zatrzymać, Warren? Muszę pójść do toalety.

Dzięki Bogu, poddała się pierwsza.

- Oczywiście. Nie jesteś głodna?

- Jestem. I to strasznie.

Przydrożna restauracja była zwyczajna i jaskrawo oświetlona. Nie miała w sobie nic z uroku wczorajszego szwajcarskiego hotelu. W kącie sali siedziało dwóch siwych starych Włochów w ręcznie robionych, zapinanych swetrach, spod których przy szyi widać było rozciągnięte podkoszulki. Grali w karty popijając kawę i mocne wino. Kelner nie mówił po angielsku.

Warren znalazł się w kłopotcie. Pochylił głowę nad kartą dań i próbował wypatrzyć na niej jakieś znane słowo: spaghetti, lasagne czy choćby pizza.

Kelner stał nad nimi zniecierpliwiony. Warren widział, że Margery już coś dla siebie zamówiła i czeka na niego. Nie miał odwagi na nią spojrzeć.

- Myśle, Warren - odezwała się - że też zjesz cannelloni.

- Oczywiście - odparł. - Uwielbiam cannelloni.

- Cannelloni, per piacere - powiedziała do kelnera.

- Vino?

To Warren zrozumiał.

- Nie, prowadzę samochód. A ty, Margery?

Potrząsnęła głową, kelner wzruszył ramionami. Widocznie Włosi prowadzą po winie.

- Kawę - powiedziała pokazując dwa palce.

Warren sięgnął do koszyczka z chlebem.

- Jeżeli będę tak jadł, utyję.

- Och, nie. Uważam, że nic ci nie grozi. Nie masz przecież drobnych kości.

Zauważyła to, pomyślał.

- Dziękuję - wymamrotał. - Powiedz mi, co to jest, to cannelloni?

Spostrzegł, że Margery próbuje ukryć śmiech.

- To płatki ciasta takiego jak na makaron, nadziewane serem i szpinakiem, zwinięte w rurkę i zapieczone pod beszamelem z tartym parmezanem. Dobre, naprawdę.

- Ach, tak. Wydaje mi się, że już to jadłem, tylko zapomniałem, jak się ta potrawa nazywa.

Po kolacji Margery siadła za kierownicą. Warren wygodnie rozłożył się w fotelu. Był syty i zadowolony.

- Świetne były te cannelloni - oświadczył.

- Jak daleko mamy do Rimini?

Zapalił światło i spojrział na mapę.

- Sto siedemdziesiąt kilometrów.

- Dam sobie radę.

- Chcesz prowadzić przez całą noc? - zapytał wiedząc, że rozwiązałyby to problem noclegu i dalszych komplikacji.

Milczała przez dobrą chwilę, zanim odpowiedziała:

- Całkiem dobry pomysł.

Był zawiedziony. Ale cóż, jeżeli chciała prowadzić przez całą noc, on musi się z tym pogodzić.

Dojechali do Rimini już po północy i zaczęli szukać stacji benzynowej. Wszystkie po kolei były zamknięte. Warren przypomniał sobie, że to przecież weekend.

- Może zaryzykować i jechać dalej. Kto wie, czy nie ma jakiejś stacji przy szosie - powiedział.

- Ale jeżeli nic nie znajdziemy, utknemy w drodze, a noc jest zimna.

- Musisz być zmęczona.

- Tak, jestem. Pieką mnie oczy.

- Moglibyśmy się tu zatrzymać, a rano wcześniej ruszyć dalej. Bylibyśmy w Brindisi już jutro.

- Dobrze - powiedziała. Podniosła ręce do góry, rozciągając zmęczone stawy. Stali na czerwonych światłach. Nie mógł oderwać oczu od jej piersi, wyraźnie rysujących się pod sweterkiem.

Recepcjonista w hotelu był wyraźnie znudzony. Warren nie wiedział, jak się zachować i stał przed kontuarem recepcji niezdecydowany.

- Chciałabym mieć osobny pokój - spokojnie oświadczyła Margery.

- Proszę o dwa pokoje, per piacere - powiedział szybko Warren, zauważając jednocześnie, że recepcjonista obrzucił go ironicznym spojrzeniem. Znowu porażka, pomyślał przygnębiony.

Pokój Margery znajdował się dalej, w głębi korytarza. Również dalej była toaleta. W swoim pokoju miał przynajmniej prysznic i pościel była czysta. Długo stał pod gorącym strumieniem wody. Kładąc się do łóżka poczuł się lepiej, nie mógł jednak zapomnieć, że Margery znajduje się zaledwie kilka kroków dalej. Czy teraz się rozbiera? A może już śpi? Czy czuje ulgę, że jest w pokoju sama? Z pewnością, prosiła przecież o osobny pokój.

Co między nimi zaszło? Co przemieniło namiętność w chłód? Czy coś nieodpowiedniego zrobił albo powiedział? Czy zawiódł ją jako kochanek? Czy Ian MacLaren był lepszy, dał jej więcej satysfakcji?

Zirytowany, wstał z łóżka. A już przecież odprężył się nieco po całodziennym miotaniu się w niepewności. Zaczął chodzić po pokoju... do okna, do drzwi i z powrotem. Niech diabli wezmą tę niecierpliwość. Gdyby nie zaczął myśleć o tym MacLarenie...

Ogarnęła go rozpacz. Nie mógł się uspokoić, ciągle wracał myślami do Iana i Margery, i do tego nieszczęsnego mikroba. Czuł ucisk w sercu. Czyżby Margery była kochanką MacLarena? Czy dlatego dzisiaj była taka chłodna? Wspomnienia?

Bezwiednie wciągnął spodnie i narzucił koszulę. Pójdzie do niej i zapyta. Nie wytrzyma dłużej tej pustki, tej samotności. Bosó, w nie zapiętej koszuli, skradał się korytarzem do jej pokoju. Kiedy zapukał, nie mógł złapać tchu.

- Tak? - usłyszał jej głos.

Więc i ona nie śpi!

- To ja, Warren.

Cisza.

- Muszę z tobą pomówić.

Kiedy otworzyła drzwi, niemal wtargnęła do środka. Margery była blada, jak gdyby lekko przestraszona.

- Nie mogę... nie mogę spać, Margery, kiedy jesteś tak blisko. To ponad moje siły.

Nie odpowiedziała, jedynie mocniej przytrzymała odchylający się z przodu szlafrok.

- Co się właściwie stało? - zapytał wprost. Widział, że jest spłoszona, ale postanowił postawić wszystko na jedną kartę. - Zdaje sobie sprawę, że nie jestem doskonały, ale myślałem... wczoraj w nocy myślałem, że mnie lubisz. - Postąpił krok w jej kierunku. - Margery, powiedz coś. Powiedz mi, do cholery, co złego zrobiłem?

Westchnęła i spojrzała w bok.

- Nie zrobiłeś nic złego, Warren.

- Więc o co chodzi?

- To moja wina. Jestem po prostu... Ja się zwyczajnie nie chce angażować.

Mocniej objęła się założonymi na piersiach rękami. Pod cienkim szlafrokiem uwydatniały się jej szczupłe ramiona.

- Dlaczego? - zapytał wprost.

Wzruszyła ramionami i odwróciła twarz.

- Nic dla nas dobrego z tego nie wyniknie.

- Nie wyniknie nic dobrego! Margery, mam trzydzieści dziewięć lat i jestem sam. Nie mam żony, nie mam dzieci, prawie nie mam przyjaciół. Jestem bardzo samotny. Chcę być z tobą, czy to nie dużo?

Usiadła na łóżku chowając twarz w dłoniach.

- Zostaw mnie sama, Warren.

- Nie! - Podszedł do łóżka, usiadł i położył jej rękę na kolanie. - Margery, myślę.. Myślę, że się w tobie zakochałem.

Gwałtownym ruchem podniosła głowę.

- Nie wiesz, co mówisz.

- Nie mów mi, czy wiem, co mówię, czy nie...

- Warren...

- Margery, proszę cię.

Wyciągnął rękę i pogłaskał ją po policzku. Zamknęła oczy, wydawała się wzruszona. Starał się postępować jak najłagodniej, nie chciał spłoszyć jej swoją gwałtownością. Pochylił się i delikatnie pocałował ją w usta. Usłyszał jakby pomruk rozkoszy. Teraz ujął jej twarz w obie dłonie i pocałował ją jeszcze raz. Poczuł, jak Margery wsuwa mu rękę pod koszulę i delikatnie gładzi po plecach. Potem objęła go obiema rękami i przyciągnęła do siebie.

Tym razem nie spieszył się. Całował jej powieki, nos, znowu usta. Zsunął jej z ramion szlafrok, nocną koszulę, wreszcie pozbył się swego

ubrania. Łagodnie pchnął Margery na łóżko i położył się obok. W przyćmionym świetle jej jasne ciało wydawało się jakby z marmuru.

Wodził ustami po jej gładkiej skórze. Słyszał westchnienia rozkoszy i pojął, jaką cudowną rzeczą może być dla mężczyzny dawanie przyjemności kobiecie. Przesuwał palce po wewnętrznej stronie jej ud, czując, jak drży pod jego dotykiem. Głaskał jej kolana, nogi, kostki, nawet tę ułomną, jej wąskie stopy. Potem jego ręka powędrowała powoli wyżej.

Kiedy wreszcie zanurzył się w jej ciało, ogarnęło go niewymowne uniesienie. Jednocześnie wydali westchnienie rozkoszy. Byli wyczerpani, było mu cudownie.

- Margery? - odezwał się.

- Jestem, jestem - odparła wesolo i wyciągnawszy rękę, odsunęła z jego czoła niesforny kosmyk. - Chciałabym niejedno powiedzieć tym dziewczętom, które cię nazwały mrukiem.

- Naprawdę?

Oparł się na łokciu i patrzył na jej twarz, ledwo widoczną w ciemności.

- Tak! Wiesz, ja także miałam przezwisko.

- Oo? Jakie?

Skrzywiła się.

- Bardzo się go wstydzę.

- No, proszę cię, powiedz.

- Królowa lodu - szepnęła, patrząc pytająco w jego twarz.

Odchrząknął znacząco.

- Królowo lodu, wasza wysokość topnieje.

- Naprawdę jestem taka zimna?

Skinał głową.

- Czasami.

- Przykro mi. Przepraszam.

- Ale ja czasami jestem wręcz antypatyczny.

Przytuliła się do jego ramienia.

- Ja też nie mogłam zasnąć - wyznała. - Czułam się bardzo nieszczęśliwa.

Warren głaskał ją po głowie, zamyślony. Wydawała się przy nim taka drobna i bezbronna. Jakie to dziwne, że los ich zetknął, i że to właśnie Margery była tą jedyną osobą, która mu była potrzebna w odnalezieniu mikroba wyhodowanego przez MacLarena. Ta podróż mogła być całkiem inna. Margery poruszyła się, mrużąc coś przez sen, a Warren ciągle bił się z myślami. Dalej nie miał pojęcia, dokąd dojadą i jak długo będzie się ciągnęła ta odyseja. Najciekawsze, jakie będzie jej zakończenie.

Scandalous

11

Następnego dnia powitało ich zachmurzone niebo. Po śniadaniu Warren usiadł za kierownicą. Mieli przed sobą długą trasę z Rimini do Brindisi, szosą prowadzącą prosto na południe, wzdłuż Adriatyku. Margery pogoda nie psuła nastroju. Było jej lekko na sercu i co chwilę uśmiechała się bez konkretnego powodu. Często kładła rękę na udzie Warrena, jak gdyby chciała się upewnić, że to prawda, że jest tu, obok. Czuła się młoda i beztroska jak dziecko, jak jeszcze nigdy w życiu. Uświadomiła sobie, ile cudownych niespodzianek może ofiarować życie. Fizyczną i uczuciową więź z mężczyzną, z którym można razem przeżywać tyle radości.

- Och, Warren - odezwała się pokazując ręką na wschód. - Spójrz, tam jest morze! To Adriatyk!

- Po drugiej stronie Grecja, Margery. Cała „Odyseja” Homera, Ateny, Sparta i tak dalej.

- Partenon. Zawsze go chciałam zobaczyć. Czy myślisz... - Nagle przypomniała sobie, dlaczego się tu znaleźli, i zrobiło jej się smutno.

- Nie wiemy, dokąd pojechał, Margie - przypomniał Warren łagodnie. Zaczął do niej mówić Margie. Jeszcze nikt przedtem tak jej nie nazywał. Nie tylko się z tym godziła, ale bardzo jej się to podobało. - Może w ogóle nie pojedziemy do Grecji.

- A jesteście tak blisko - powiedziała ze smutkiem, wpatrując się w horyzont niebieskoszarego morza.

Na wschód od szosy wyrosły wzgórza, których zbocza widzieli tylko z daleka. Ziemia była piaszczysta, nie przynosząca tak żyznych plonów jak w północnych i centralnych regionach Włoch. Kraj nie sprawiał

wrażenia europejskiego, nie kojarzył się także Margery z pejzażem śródziemnomorskim czy azjatyckim. Czy nie tak wygląda Afryka?

Na południe od Barletty zza chmur wyjrzało słońce, a morze przybrało kolor intensywnie niebieski. Zatrzymali się na skraju szosy, żeby coś zjeść. Mieli chleb, ser i owoce. Margery obierała pomarańcze ze skórki i oddzielając cząstki wsuwała je do ust Warrenowi, który siedział pochylony nad mapą. Tego popołudnia przypominał niekiedy dawnego, niecierpliwego i popędliwego mężczyznę, jakiego poznała w Szkocji, ale już jej to nie przeszkadzało. Nie oczekiwała cudów, a poza tym nie były to ich wakacje, tylko nerwowy pościg.

Przechyliła się na siedzeniu, żeby wytrzeć strużkę soku spływającego Warrenowi po brodzie, na co zareagował niechętnym pomrukiem, natychmiast się jednak uśmiechnął.

- Rozpraszasz mnie - powiedział żartem.

- O to mi chodziło - odparła figlarnie.

W niewielkiej odległości od Bari zaczęły się pojawiać dziwne, cylindryczne budowle o dachach w kształcie stożków.

- Co to takiego, Warren?

- Nie wiem. Może spichlerze? Wyglądają jak gigantyczne ule. Zobacz, czy w przewodniku coś o nich piszą?

- Nazywają się trulli i pochodzą z czasów prehistorycznych.

- Interesujące. Czyż świat nie jest pełen cudów, Margie? - zapytał kładąc jej rękę na kolanie.

- Masz rację.

Serce w niej rosło na myśl, że będą je odkrywać razem.

Kiedy dojechali do Brindisi, było już ciemno. Miasto trochę ich oczarowało. Przeczytali, że kończy się na nim szosa apenińska, znana jako Via Appia, miejsce wymiany handlowej Rzymian z Grekami. Zobaczyli niskie domy o nieokreślonym stylu, proste, pozbawione zieleni ulice i przystań tonącą w przemysłowych odpadkach.

Była niedziela wieczór, więc Agenzia di Viaggi Hellitalia, gdzie Ian obowiązany był zostawić samochód, była zamknięta.

Warren zdenerwował się.

- Cholera! Do rana Bóg jeden wie, gdzie on może dojechać.

- Znajdziemy go - powiedziała uspokajająco. - Nie martw się. Nie ma sensu się denerwować.

Westchnął z rezygnacją.

- Masz rację. Wrócimy tu rano i spróbujemy się czegoś dowiedzieć.

Margery poczuła lekkie wyrzuty sumienia, Ian jest daleko przed nimi, a ona cieszy się, że spędzi noc z Warrenem.

Kiedy weszli do hotelu Villa Bianca, Warren się nie wahał. W pokoju rzucił walizki na podłogę i przytulił ją mocno.

- Jesteś głodna? - zapytał, raz po raz dotykając delikatnie wargami jej ust.

- Tak, mam ochotę na ciebie - powiedziała wiedząc, że to wyświechtany banał, ale w tej chwili tym się nie przejmowała.

Polubiła smak i zapach Warrena, jego dotyk i głos. Kiedy całował jej szyję, dostawała gęsiej skórki na całym ciele. Mocno przytuliła go do siebie.

- Czy nie jesteśmy na to za starzy? - szepnęła mu do ucha, przeciągając dłoń po gładkiej skórze jego pleców.

- Ani trochę - powiedział kierując ją w stronę łóżka.

Znowu było cudownie. Śmiali się i przekomarzali, byli odprężeni, cieszyli się sobą, podniecał ich każdy dotyk i szeptem wypowiedane słowa.

- Jestem głodna - oświadczyła Margery w pewnej chwili.

- Ja też.

- Wezmę przedtem prysznic - zamruczała całując go w ucho.

Signor Lucini z Agenzia di Viaggi mówił po angielsku ze swoistą fantazją, ale płynnie.

- Si - powiedział. - Signor MacLaren był tu dwa dni temu. Nie chciał dać samochodu, chciał go mieć. Ja mu mówił, że to bardzo drogie.

Margery znowu mu tłumaczyła, że jest siostrą Iana, że umarła ich matka i że musi go odnaleźć.

- To bardzo smutne - ze współczuciem pochylił głowę Lucini. - Signor MacLaren pytał o prom do Grecji. Pamiętam. Ja mu mówił, że ma szczęście, bo latem prom pełny. Teraz mamy dużo kabin.

- Do Grecji? - Margery spojrzała na Warrena. - Nie wie pan, dokąd chciał pojechać w Grecji?

- No, pytał o dobry hotel w Atenach. Kiedyś ja byłem na wakacjach w Dorian Inn, to mu powiedziałem. Bardzo ładny hotel.

Warren zapisał nazwę hotelu na skrawku papieru.

- Chcecie do Grecji?

Margery potwierdziła skinieniem głowy.

- W zimie tylko jedna linia. Adriatica-Hellenic Mediterranean. Dzisiaj, o jedenastej. Chcecie bilety?

Najwidoczniej signor Lucini zajmował się wszystkim. Prowadził agencję, wynajmował samochody, organizował wycieczki turystyczne.

- Tak, dziękuję panu. - Margery obdarzyła go promiennym uśmiechem. W ciągu pięciu minut mieli bilety.

- Chcecie zamienić liry na drachmy? - zapytał. - Mam bardzo dobry kurs. Za franki szwajcarskie i dolary płacić jeszcze więcej. Macie czeki podróżne?

Warren wyciągnął ze wszystkich kieszeni monety i banknoty: angielskie szylingi, franki francuskie i szwajcarskie, liry i kilka dolarów.

- Hm - odchrząknął Lucini segregując pieniądze i jednocześnie obliczając na kartce ich wartość. - No, macie. Tysiąc siedemset pięćdziesiąt drachm. Weźcie trochę lirów na mangiare. - Tu złożoną dłońą wykonał kilka ruchów imitujących jedzenie.

- Ile czasu zajmie nam rejs do Grecji? - zapytał Warren chowając pieniądze do portfela.

- Dziewięć, dziesięć godzin. - Lucini wzruszył ramionami.

- To znaczy dobijemy o dziesiątej wieczorem - obliczył Warren.

- Chcecie hotel w Igoumenitsa?

- Igoumenitsa? - zdziwił się Warren.

- Tam płynie prom. Małe miasto. Znam tam ładny hotel. Signor MacLaren chce hotel

- Czy zna pan ładne hotele w każdym mieście? - spytał Warren zdumiony.

- Si - odparł z uśmiechem Lucini i znowu wzruszył ramionami.

Już mieli wychodzić, kiedy Warren coś sobie przypomniał i odwrócił się do Włocha.

- Czy mógłbym gdzieś w pobliżu ostrzyć włosy?

- Oczywiście! Moja kuzynka, Francesca. Bardzo dobrze obcinać włosy. Mogę zadzwonić. Chce pan teraz?

- Dobrze, niech pan zatelefonuje.

Margery spojrzała na niego zdziwiona. Co mu przyszło do głowy?

Francesca przybiegła szybko i otworzyła swój znajdujący się nie opodal agencji zakład. Umyła Warrenowi głowę, obcięła brzytwą włosy i wysuszyła suszarką. Widać było, że Warren jest speszony, ale zdecydowany. Pokazał nawet Francesce ten niesforny, ciągle opadający na czoło kosmyk.

Wyszedł od niej zadowolony. On jest naprawdę przystojny, skonstatowała Margery.

- Cudownie, Warren - powiedziała dotykając delikatnie jego fryzury.

W pobliskiej kawiarni zamówili kawę z bułeczkami.

- Grecja - rozmarzyła się Margery. - Płyniemy do Grecji. Ateny, Partenon.

- Margery, z przykrością przypominam ci, że nie jesteśmy na wycieczce. Szukamy MacLarena.

- Wiem, ale... czy nie mogłabym na chwilę o tym zapomnieć?

- Oczywiście, Margie - zreflektował się. - Aż do Aten nie myślimy o tym.

- Jutro zaczynają się zajęcia na uniwersytecie - przypomniała sobie i przygryzła wargi.

- To, co robimy, jest ważniejsze.

- Wiem. - Zawahała się. - Warren?

Pochylił się nad stolikiem, z czułością kładąc rękę na jej dłoni.

- Tak?

- Sądzisz, że znajdziemy Iana? A jeśli...

- Tak, znajdziemy. Zapusciliśmy się już tak daleko. Nie możemy teraz pozwolić, żeby nam uciekł. Czy wiesz, jak blisko jest z Grecji do... północnej Afryki? Do krajów arabskich leżących na wschodnim krańcu basenu śródziemnomorskiego? On nie ucieka gdzieś w nieznane, on jedzie do celu. Czuję to przez skórę. W jego szaleństwie jest metoda. Zanim uciekł, miał dokładne plany.

- Plan, Warren. Jakie plany?

Potrząsnął głową i cofnął rękę.

- Plan sprzedaży tego mikroba. Miał się spotkać z kimś, żeby tę sprawę negocjować. Za wcześnie go wystraszyliśmy. Zabrał z sobą własne wyposażenie laboratorium, bo nie skończył jeszcze pracy nad tym zarazkiem.

- Ależ to obłąkany pomysł. Jak mógłby chcieć sprzedać śmiertelny mikroorganizm naszym wrogom? - zaprotestowała.

- Czy, kiedy widziałas go po raz ostatni, zachowywał się normalnie?

Natychmiast stanęła jej przed oczami tamta noc. Ian wyglądał na pijanego, oczy miał zaczerwienione i łzawiące, był przesadnie pewny siebie. To, co wykrzykiwał na progu jej pokoju, brzmiało cokolwiek

dziwacznie. Potem była ta jego tajemnicza, niewytłumaczalna ucieczka i szaleńcza jazda po Europie.

- Margery?

- Wyglądał... istotnie nieco dziwnie - przyznała. - Był przygnębiony. Chyba dużo wypił, zanim przyszedł do mnie, no wiesz, wtedy, wieczorem przed moim wyjazdem...

Warren zeszywniał.

- Czy MacLaren... czy on - jąkał się - czy cię niepokoił, coś ci zrobił?

- Nie, nie - zaprzeczyła szybko. - Recepcjonista wyprowadził go. Rzeczywiście trochę mnie przestraszył, ale było mi go przede wszystkim żal.

- Żal? To szaleniec. Szaleniec, który może zgotować światu horror trudny do wyobrażenia.

Margery zamilkła. Bała się na niego spojrzeć, bała się, że zobaczy, jak ściąga mocno brwi i zaciska twardo usta. Przez ostatnie dwa dni poznała innego Warrena, cudownego mężczyznę, który potrafił się rozluźnić i żyć pełnią życia. Czuła fizyczny ból, że może go tak łatwo utracić. Jednak w końcu Warren znowu ujął jej dłoń i Margery podniosła na niego oczy.

- Naprawdę podoba ci się to uczesanie? - zapytał z nieśmiałym uśmiechem.

Prom odpłynął z Brindisi punktualnie. Warren z Margery stali przy barierce i patrzyli na oddalające się miasto. Wiatr rozwiewał jej włosy, które wciskały się do oczu, póki ich nie zgarnęła i nie spięła spinka. Było ciepło, świeciło słońce i Adriatyk mienił się kolorowymi błyskami.

- Nigdy jeszcze nie płynęłam prawdziwym statkiem - powiedziała Margery rozmarzona. - Nie. Raz, z Dover.

- Ja płynąłem promem na Staten Island - z powagą oświadczył Warren.

- Staten Island? Przecież to przedmieście Nowego Jorku - zaśmiewała się Margery. Przechyliła głowę i oparła ją na jego ramieniu. Przytulił ją tak blisko, że czuła bicie jego serca. Zapragnęła go. Teraz, zaraz, natychmiast.

- Szkoda, że nie kupiliśmy kabiny - powiedział Warren, jak gdyby czytając w jej myślach i patrząc na nią tęsknym wzrokiem.

Igoumenitsa, Grecja. Na stromo wznoszących się wokół przystani zboczach połyskiwały światła. Margery widziała ich wierne odbicie w wodzie zatoki.

Grecja.

Szorstkie głosy mężczyzn w starożytnym języku Homera i Eurypidesa. Wzdłuż bulwaru tawerny i kafejki z szyldami pisanymi alfabetem greckim.

- Boże, nie mam pojęcia, jak jechać - powiedział Warren zjeżdżając z promu. - Jak nazywał się ten hotel, o którym mówił tamten facet? Powiedział, że ma to być gdzieś na prawo, na bulwarze, i że nie jest drogi.

Usiedli do późnego posiłku w sąsiadującej z ich hotelem tawernie. Nie spieszyli się przy jedzeniu. Margery pierwszy raz skosztowała retsiny, greckiego wina dojrzewającego w dębowych kufach.

- Zdaje się, że ci smakuje - powiedziała widząc, jak Warren śmiesznie obraca je w ustach przed połknięciem.

Podano im pilaw - danie z baraniny duszonej w jarzynach w oliwie z koperkiem - i ryż.

W czasie kolacji jeden z Greków wyjął instrument podobny do mandoliny i zaczął na nim wygrywać niespokojną, szybką, dramatyczną melodię o wschodnich akcentach. Kilku mężczyzn podniosło się i zaczęło tańczyć ramię przy ramieniu w takt muzyki, krokiem dość zawiłym, ale równym. Tańczyli w skupieniu pełnym powagi, ale także radości życia. Dopiero wtedy Margery spostrzegła, że na sali nie ma ani jednej kobiety.

Mężczyźni, którzy nie tańczyli, śpiewali i klaskali w ręce. Od czasu do czasu ktoś wchodził na miejsce rezygnującego tancerza.

- Są wspaniali - szepnęła Margery.
- „Grek Zorba” - odparł równie cicho Warren. - Widziałaś ten film?
- Och, już kilka lat temu.
- Pamiętasz, że Anthony Quinn tańczył tak samo?
- Myślałam, że to pomysł reżysera z Hollywood.
- Nie. Ten taniec naprawdę istnieje. Naprawdę!

Tej nocy kochali się bez pośpiechu, rozmarzeni, smakując każdą chwilę, każdy gest. Nie obrażała się, kiedy Warren szeptał: „Moja piękna Margery, moja Królowa Lodu”.

Wyczerpana, obejmowała go czule. Głowę położyła mu na ramieniu i nasłuchiwała, jak bije mu serce. Kiedy usnął, czuła jego oddech na policzku. Szczęśliwa, zastanawiała się, kiedy ta idylla się skończy - i jak.

Droga do Aten zabrała im jeden dzień - dzień pełen nowych widoków, dźwięków i wrażeń. Mimo stycznia było ciepło, niemal tak ciepło, że można było myśleć o kąpieli w morzu. Ich szosa wiała się między wzgórzami, na których poprzysiadaly, jak w czasach starożytnych, bielone wapnem domki. Stada kóz wspinały się po zboczach. W Arta rozkoszowali się powietrzem przesyconym zapachem kwiatów pomarańczy dochodzącym z sadów.

Ateny okazały się miastem tak wielkim, że mijając przedmieścia Warren niemal się przeraził. Jak mają odszukać Iana w tym hałaśliwym, zatłoczonym mieście? Była godzina szczytu. Poruszając się wolno przez zatłoczone ulice, pytając o drogę wielu uprzejmych, uśmiechniętych Greków i gubiąc się kilka razy w plątaninie uliczek, Warren skręcił z placu Omonia w ulicę Pireus, gdzie mieścił się hotel Dorian Inn.

Stanął i odwrócił się do Margery, która z drzeniem patrzyła na wejście do hotelu.

- Jesteśmy na miejscu - oświadczył.

- Jak myślisz, czy on jeszcze tam jest?

- Wątpię. W Brindisi był dwa dni wcześniej od nas, a nie sądzę, żeby chciał tracić czas na pobyt w jednym miejscu.

W recepcji dowiedzieli się, że doktor MacLaren już wyjechał, ale nocował tu przedwczoraj. Recepcjonista nie wiedział jednak, dokąd doktor MacLaren mógł się udać ze swoją górą pudeł.

Mimo wszystko wynajęli pokój. Warren uważał, że w każdym razie jest to miejsce, od którego powinni zacząć dalsze poszukiwania.

- Co teraz zrobimy? - zapytała Margery, kiedy windą wjeżdżali na górę.

- Weźmiemy spis agencji wynajmujących samochody, adresy biur podróży i linii oceanicznych. Zaczniemy jutro. - Zastanowił się przez chwilę. - Będzie z tym dużo roboty. Trzeba będzie zadawać mnóstwo pytań i sprawdzić wiele miejsc. Musiał zostawić za sobą jakiś ślad. Z tymi pudłami, które wiezie ze sobą, nie bardzo może podróżować samolotem.

- Warren, to przecież może potrwać kilka dni! - zawołała wysiadając z windy i idąc za nim do pokoju.

- Tak, to prawda - zgodził się, otwierając drzwi.

- Przyrzekłam, że wrócę w połowie tygodnia - powiedziała zmartwiona. - Jutro albo pojutrze muszę wsiadać w samolot.

- Nie możesz. Wiesz o tym. Chyba wreszcie depczemy mu po piętach. Potrzebna mi jesteś, Margie.

Myśl, że Margery może go opuścić, sprawiła mu ból. Na razie jednak stała przed nim i patrzyła na niego smutnymi oczami.

- Nie chcę wyjeżdżać, ale co będzie z moją pracą? Nikt nie będzie tolerował mojej nieobecności. Warren...

- Może chcesz, żebym porozmawiał z twoim dziekanem i wytłumaczył mu, o co chodzi?

Omiał nie wybuchnęła śmiechem. Warren zdał sobie sprawę, z jak śmieszną wystąpił propozycją.

- Nie, ale ja muszę zadzwonić.

Przytaknął ruchem głowy.

- Powiedz mu, że pracujesz w tej chwili dla Centrum i że to misja urzędowa.

Kiedy Warren brał prysznic, Margery zatelefonowała na uniwersytet. Rozmowa trwała krótko. Kiedy Warren wszedł do pokoju z ręcznikiem okręconym wokół bioder, Margery siedziała na łóżku i tępo patrzyła w ścianę.

- Nie był uszczęśliwiony, Warren - powiedziała ciężko wzdychając.

- Bóg jeden wie, jak mi przykro.

Czuł się bezradny. To była jego wina, to on postawił Margery w tej skomplikowanej sytuacji. Uklęknął przed nią i wziął jej dłonie w swoje ręce.

- Czy zatrzymają to seminarium dla ciebie? Do twojego powrotu?

- Tak. Nie mogą znaleźć zastępstwa, w każdym razie nie w tym semestrze.

- To dobrze. Nie martw się. Kiedy nasza misja się skończy i wyjdzie na jaw jej cel, będziesz... będziesz bohaterką. Sami cię nie puszczą.

- Mam nadzieję.

- Zajmij się teraz sobą, a potem wyjdziemy rozejrzeć się trochę po mieście - zaproponował, chcąc jej dodać otuchy.

Margery ubrała się w komplet, którego Warren jeszcze nie widział. Włożyła miękką, jedwabną, różową bluzkę w drobny wzór i granatową, zamszą spódniczkę do kolan. Kiedy malowała usta, Warren stanął za jej plecami i objął ją w pól.

- Wyglądasz cudownie - szepnął jej prosto w ucho, chwytając w lustrze jej spojrzenie.

Uśmiechnęła się nieśmiało, odwróciła i położyła mu głowę na piersi.

- Taka jestem teraz szczęśliwa, Warren - usłyszał jej zdławiony głos. - A ty, czy ty jesteś szczęśliwy?

- Nigdy nie było mi tak dobrze. - Pocałował ją w czoło.

Poszli pieszo z hotelu przez ruchliwy plac Omonia, przypominający nieco londyński Times Square, i brnęli dalej posługując się mapą, którą otrzymali w recepcji.

- Chciałabym zobaczyć Partenon. Choćby nawet był zamknięty.

Przeszli wolnym krokiem na wschód od placu Omonia, ulicą Athinas, w kierunku skalistego wzniesienia. Akropolis. Po obu stronach szerokiej alei ciągnęły się kafejki i restauracje, eleganckie hotele i sklepy, budynki, w których mieściły się różne biura i agencje podróży, oblepione plakatami reklamującymi słoneczne wyspy.

Wreszcie tuż przed nimi ukazał się na tle nocnego nieba ciemny masyw, na którego szczycie stał Partenon, majestatyczna, na wpół zniszczona marmurowa świątynia oświetlona od dołu reflektorami.

Margery przystanęła i położyła rękę na ramieniu Warrena.

- Jaka piękna. Spójrz.

Reflektory rzucały smugi światła na surową budowlę, która nie wydawała się Warrenowi obca. Miał wrażenie, że kiedyś tu był, jak gdyby widok Partenonu był zakodowany w pamięci każdego.

- Niesamowite - powiedział.

Szli dalej w kierunku Akropolu, trzymając się za ręce i wymieniając uwagi na temat miasta. Zatrzymali się przy jasno oświetlonej wystawie cukierni, pełnej tac z ciastkami i słodyczami. Wewnątrz mnóstwo klientów piło kawę w małych filiżankach i zajadało ciastka.

- Ślinka mi leci - przyznał się Warren.

- Mnie też - roześmiała się Margery.

U stóp Akropolu wiły się kręte uliczki bardzo starej części miasta, o nazwie Plaka. Uliczki były strome, brukowane kocimi łbami, pełno tam było tawern. Za pierwszym rogiem, który minęli, ze wszystkich stron otoczyła ich grecka muzyka, wylewająca się na ulicę z jasno oświetlonych knajpek. Wędrowali, chłonąc wzrokiem malownicze obrazki.

- Nie zmęczyłaś się? - zapytał Warren, pamiętając o kostce Margery. Wiedział wprawdzie, że ona nie znosi, kiedy się na jej chód zwraca uwagę, ale wiedział także, że nigdy pierwsza nie zaproponuje, żeby się zatrzymać.

- Trochę - przyznała.

- Ja też. Poszukajmy jakiejś knajpki.

Zdecydowali się na uroczą tawernę, niedużą i stylową. Kelner, który ich zaprowadził do stolika, mówił doskonale po angielsku.

- Mamy w zimie wielu turystów z Ameryki - tłumaczył swoją znajomość języka. - Uwielbiają tę dzielnicę.

Nawet kartę dań wydrukowano po angielsku, ale były także tłumaczenia francuskie, niemieckie i włoskie. Warren był jednak niezdecydowany.

- Nie wiem, co zamówić - szepnął, nie wstydząc się już swojej ignorancji.

- Zdajmy się na kelnera - również szeptem zaproponowała Margery.

Po chwili kelner postawił przed nimi kawior z majonezem.

- Taramasalata - oznajmił.

Następnym daniem była podana w kokilkach aromatyczna i smakowita zapiekanka z bakłażana i jagnięcego mięsa.

- Musaka - poinformował kelner, nalewając nieodłączną retsinę.

Na deser dostali baklawę, pyszne ciasto z cienkich płatów przekładanych orzechami i miodem, i mocną kawę w maleńkich filiżankach.

Warren postanowił zostawić kelnerowi napiwek, niezależnie od opłaty za usługę wliczanej do rachunku.

- Jak myślisz, chyba powinienem?

- Tak, oczywiście. Wspaniale nas obsłużył.

Warren poczuł się dumny, że staje się wytrawnym podróżnikiem, człowiekiem światowym.

Ciepły, miły wieczór zamienił się w zimną i dżdżystą, chłostaną wiatrem śródziemnomorską noc. Wracali najstarszą dzielnicą starego miasta tak beztroscy, że Warren zapomniał o niebezpieczeństwie zagrażającym światu ze strony Iana MacLarena. Obecność Margery usuwała w cień wszystkie troski i problemy. Przestały one cokolwiek znaczyć wobec ciągłego pragnienia, żeby jej dotknąć i już nigdy się z nią nie rozstawać. Na jednej z uliczek, tonącej w kompletnych ciemnościach, Warren objął Margery i oparłszy ją o ścianę domu, obsypał pocałunkami jej włosy, oczy, usta i szyję.

- Ktoś nas zobaczy, Warren - broniła się ze śmiechem.

- Co mnie to obchodzi - mruknął i pochylił się, żeby ją jeszcze raz pocałować.

Zauroczony atmosferą chłodnej, egzotycznej nocy ateńskiej, nie mógł się nadziwić, że tak długo odmawiał sobie takich przyjemności.

12

Margery poczuła na czole lekki dotyk ciepłych warg Warrena i otworzyła oczy. Jak cudownie, pomyślała, obudzić się w ramionach mężczyzny, swojego mężczyzny. Rano Warren wyglądał wspaniale. Świeżo podcięte włosy, zmierzwiłone w czasie snu, zwijały się w kędziory, a ciepłe, brązowe, jakby wilgotne oczy patrzyły na nią czule. Przesunęła palcami po jego udzie – lubiła te poranne chwile.

- Uhm... - zamruczał i zadrżał, po czym przytulił jej rozgrzane snem ciało i schylił się do jej ust.

Ale później, kiedy jedli śniadanie, Warren był jak gdyby roztargniony. Bawił się sztuccami, wyglądał przez okno, zatrzymywał wzrok na przechodniach spieszących do pracy. Margery wyraźnie widziała, że jest niespokojny. Miała ochotę zapytać, czy coś się stało, ale nie mogła się na to zdobyć. W podświadomości słyszała cichy brzęk dzwoneczka alarmowego.

Wreszcie skończył pić mocną kawę, odsunął filiżankę i złożone razem dłonie oparł na stole. Przyglądał się im przez chwilę, po czym odchrząknął.

- Chcę... chcę po południu zadzwonić do Rose – zaczął ostrożnie. – Może być zdziwiona, że się nie odzywam. Mówiłem, że zadzwonię, żeby zapytać o laboratorium.

Margery zrozumiała, że przecucie jej nie zawiodło. Rzeczywistość upomina się o swoje i ich cudowne interludium wkrótce dobiegnie końca. Odłożyła z powrotem bułkę, którą już wkładała do ust. Zapadła cisza. Niepostrzeżenie zakradł się między nich niepokój, nieoczekiwany intruz.

Dzień mijał powoli. Były chwile, kiedy Margery zapominała o telefonie i Rose, ciesząc się bliskością Warrena. Serdeczna bliskość ulatniała się jednak nieubłaganie i Margery nie miała pojęcia, jak ją ratować.

Chodzili po ruchliwych ulicach Aten, mijali bloki, które mieściły różne urzędy i kawiarnie, niszczące, niestosowne jak gdyby w tym miejscu i czasie kolumny, muzea i eleganckie sklepiki. Pokazywali fotografię Iana w setkach miejsc bez rezultatu, jak się wydawało.

Po lunchu wrócili do swego pokoju w hotelu. Warren, który często spoglądał na zegarek, powiedział, jakby się usprawiedliwiając:

- Teraz powinienem ją zastać.

Kiedy wykręcał numer kierunkowy do Stanów, Margery udawała, że pilnie ogląda przewodniki. Była napięta i nieszczęśliwa. Rose. Co tak naprawdę łączy Warrena i Rose? Znali się od lat, na długo przedtem, zanim Rose wyszła za mąż za Morty'ego Freeda.

Teraz, podając telefonistce w Stanach numer, Warren machinalnie wyprostował się i lekko odwrócił od Margery. Za chwilę jego głos nabrał ciepłych tonów.

- Rose? To ja. Tak. Bałem się, że dzwonię za wcześnie. Jesteśmy w Atenach. Nie, na razie nic konkretnego. Ateny to wielkie miasto.

Przestał mówić, słuchał.

- Dobrze, dobrze, próbujcie dalej.

Znowu przerwa.

- Co? Ależ Rose...

Odwrócił się teraz plecami, przygarbił ramiona i osłonił słuchawkę dłonią.

- Nie ma potrzeby. No, cóż. Co na to powie Morty?

Margery poczuła ucisk w żołądku. Zdawało jej się, że słyszy, jak Rose mówi: „Przylatuję do ciebie, Warren. Wiem, że jestem ci potrzebna”.

- Dyrektor wyraził zgodę? Na Boga, musiałaś niezłe przekonywać. Naprawdę, nie musisz. Zależy mi raczej na tych testach... Tak, wiem, że Jeff potrafi. Rose, u nas wszystko w porządku. - Pauza. - Dobrze. Już zapisuje. Tak, mam.

Warren wolno odłożył słuchawkę i przez chwilę siedział w milczeniu. W końcu podniósł oczy na Margery, próbując się uśmiechnąć.

- Rose przylatuje do Aten. Jutro.

- Rozumiem - odparła chłodnym tonem.

- No, cóż. Rzeczywiście może nam trochę pomóc, szczególnie w bieganiu po mieście. Będzie nas do tego troje.

Margery odwróciła twarz w stronę okna. Czyżby to była aluzja do jej opuchniętej kostki, do tego, że szybko się męczy? Było to bolesne i upokarzające. Poczula się straszliwie samotna.

Tego wieczoru, kiedy Warren zsunął jej bluzkę z ramion, serce jej mówiło, że ich idylla się kończy. Nie odczuwała takiej przyjemności, jak zwykle, a on zdawał się tego w ogóle nie zauważać.

Również przy śniadaniu byli oboje spięci. Wysilali się, aby sprawiać wrażenie szczęśliwych, ale w głowie Margery kołatała się jedna myśl: „To nieprawda. Nasza miłość nie może się tak skończyć”. Było jednak inaczej. Oboje kryli się pod maską beztróskiego nastroju, ale nie było w tym poprzedniej szczerości.

Jedli niewiele, Margery uśmiechała się zbyt często, mówiła za dużo i z przesadnym ożywieniem. Traciła Warrena i powoli zamykała się w sobie, zrozpaczona, że nic na to nie może poradzić.

Rose wyglądała na bardzo zmęczoną, kiedy się pojawiła w hotelu.

- Jak się czujesz? - Warren podniósł się i wziął od niej walizkę.

- Dobrze. Ładnie się ostrzygłeś. - Rose przez chwilę jakby się wahała i nagle wybuchnęła płaczem. - Och, Warren, nie czuję się dobrze. Chodzi o Morty'ego.

Zaczyna się, pomyślała Margery. Wstała i odeszła nieco na bok, czując się jak intruz.

Zamówili kawę i wtedy Rose wszystko z siebie wylała.

- Powiedziałam Morty'emu, że prawdopodobnie będę musiała polecić do ciebie, do Europy, a on wpadł w szal - zaczęła Rose nie odrywając wzroku od Warrena. - Potem poszłam na rozmowę do dyrektora, no i ty zadzwoniłeś. Mimo to Morty nie pozwolił mi jechać.

Margery słuchała milcząc. Czuła się oszukana. A może to była zazdrość?

Uczucia Warrena wobec Rose były aż nadto widoczne. Objawiały się choćby w nacechowanym sympatią, życzliwym potakiwaniu głową. Dłoń Rose, leżąca na stoliku, przysuwała się coraz bliżej ręki Warrena. Margery zastanawiała się, jak mogła być tak naiwna, żeby uwierzyć, że między nimi nic nie było? Była głupia i ślepa. Boże, jak chciała wierzyć Warrenowi, jak łatwo straciła dla niego głowę. Powiedział jej, że nigdy nie miał z Rose randki. Może i tak, ale łączyła ich jakaś szczególna zażyłość, nawet bliskość. Nie tak zachowują się szef i pracownik.

- Morty powiedział, że jeśli polecę do Aten, to koniec z naszym małżeństwem. Po powrocie mogę sobie poszukać adwokata. - Łzy strugą płynęły po twarzy Rose. - Och, Warren, on wyrzuca mnie z domu za to, że wykonuję swoją pracę!

- Posłuchaj - odezwał się Warren, wyraźnie zakłopotany. - Wynajmę ci pokój. Musisz odpocząć. - Wstał tak nagle, jak gdyby miał zamiar uciec od obu kobiet i długimi krokami ruszył do recepcji.

- Margery, przepraszam. Czuje się zupełnie otepiała - tłumaczyła się Rose głosem przytłumionym przez chusteczkę podaną jej przez Warrena. - Przecież ty nie masz z tym nic wspólnego. - I znowu zaniosła się szlochem.

- Wszystko w porządku - powiedziała sucho Margery. Nie dodała ani słowa, przygnieciona ciężarem własnego zmartwienia.

- Musimy przecież szukać MacLarena - wykrztusiła Rose przez łyż.

Warren wrócił z kluczem w dłoni.

- Chodź, zaprowadzę cię do pokoju - powiedział do Rose i, jakby zakłopotany, zwrócił się do Margery: - Zaraz... zaraz schodzę.

Tchórz, pomyślała.

Kiedy odeszli, Margery zastanowiła się nad historyjką opowiedzianą przez Rose. Co naprawdę zaszło między nią a Mortym? Czy Rose mówiła prawdę, czy przekreślała jego słowa dla osiągnięcia swoich celów?

Po chwili Warren wrócił do jadalni.

- Wszystko w porządku, Rose chce teraz wypocząć. Dojdzie do siebie.

- To dobrze - odpowiedziała Margery obojętnym tonem. - Czy uważasz, że możemy wyruszyć na dalsze szukanie Iana? Mimo wszystko... - nie mogła sobie odmówić tej uwagi - Rose przyleciała przecież, żeby nam pomóc.

- Margery... - urwał, patrząc gdzieś w bok.

Cały ranek i przedpołudnie spędzili przemierzając dzielnice Aten. Dłuższe odcinki pokonywali samochodem, bliższe pieszo, potem znów jechali do innej części miasta i znów chodzili jej ulicami. Zaczęło to wyglądać beznadziejnie. Ciagle jednak byli pewni, że z taką górą pudeł McLaren nie upora się szybko z celnikami na lotnisku. Tymczasem zdolali jedynie dowiedzieć się, że ani nie oddał wynajętego we Włoszech samochodu, ani nie wynajął następnego.

- Zupełnie jakby zniknął z powierzchni ziemi - powiedziała Margery, kiedy wpadli coś przekąsić do jakiejś knajpki.

- Może już w ogóle nie ma go w Atenach - powiedział Warren. - Właściwie po co miały tu tkwić dłużej?

- Nie wiem - odparła znużona. - Może po to, żeby zmylić trop.

- Zapewne w ogóle nie wie, że ktoś go tropi.

Do wczesnego popołudnia sprawdzili pięćdziesiąt hoteli i pensjonatów, pokazywali fotografię Iana niezliczonym firmom wynajmującym samochody i recepcjonistom w hotelach.

Wrócili o czwartej, tak jak umówili się z Rose. Warren, zanim zatelefonował do jej pokoju, odciągnął na bok Margery.

- Wiesz... - zaczął sięgając do kieszeni marynarki. - Rano wynająłem dla ciebie osobny pokój. - Wyjął z kieszeni klucz i niezręcznie trzymał go w dłoni.

- Co takiego? - Spojrzała na klucz oniemiała.

- Widzisz - powiedział patrząc gdzieś ponad jej ramieniem - chodziło mi o to, żebyś... nie czuła się... skrępowana w obecności Rose.

Szybko spojrzała mu w oczy. Miał zaczerwioną twarz, ściągnięte brwi. Nie powinna brać tego klucza, nie powinna!

- Myślałem, że będziesz się lepiej czuła. Rozumiesz?

Była tak zszokowana, że z trudem chwyciła powietrze.

- Jak to rozważnie z twojej strony - powiedziała wreszcie chłodno.

- Margie... - zaczął błagalnie.

Niespiesznym ruchem wyciągnęła rękę po klucz. Czuła się upokorzona i nieszczęśliwa.

- Margie, ja...

- Och, nie mów nic, Warren - ucięła krótko. Odwróciła się szybko i poszła na górę, zostawiając go na środku holu.

Następnego ranka, o siódmej, Margery samotnie piła kawę. Stariała się nie myśleć o minionej nocy, długich bezsennych godzinach i przelanych łzach. Stariała się nie zastanawiać nad pytaniem, co Warren i Rose robili przez cały poprzedni wieczór.

Zostawiwszy w recepcji wiadomość, wsiadła do samochodu i ruszyła w miasto jadąc na ślepo krętymi uliczkami, mijając hotele, których jeszcze nie sprawdzili i próbując dotrzeć do Akropolu. Nie darowałyby sobie, gdyby odleciała z Aten po południu, tak jak planowała, i przynajmniej pobieżnie nie zwiedziła miasta. Spodziewała

się, że zrobią to razem z Warrenem, ale teraz było to niemożliwe. Tak czy owak, chciała je obejrzyć, odbyć coś w rodzaju pielgrzymki do miejsca, które w kulturze odegrało tak wielką rolę.

Jechała obrzeżami Plaki i dziwiła się, jak inne, niewygodne, wydają się kocie łby w dziennym świetle.

Na jednej z uliczek rozpoznała miejsce, gdzie Warren przycisnął ją do muru i żarliwie całował.

Niech to wszystko szlag trafi, pomyślała zrozpaczona. Przejechali przez cały kontynent, pokochała go głęboką, uczciwą miłością. Wydawało się, że cały wiek upłynął od owej nocy, kiedy pierwszy raz byli ze sobą na tej kanapie w Aigle. Od tej pory żyła właściwie jak w transie.

Jak to się stało, że zapomniała o tym dawnym Warrenie, aroganckim i egoistycznym doktorze Yeagerze? Siedział w nim przyczajony, tuż pod skórą, czekał tylko na Rose, żeby go uwolniła. A ona, Margery? To była tylko przygoda, nic więcej, wielki flirt Warrena. O Boże, jak to boli!

Kiedy zdecydowała się zaparkować samochód i zaczęła wspinaczkę kamienistą drogą wiodącą na Akropol, stwierdziła, że już się tam kręca turyści, którzy przyszli robić zdjęcia w różowym świetle poranka.

Margery wiedziała, że dwa i pół tysiąca lat temu Akropol, wzniesiony ku czci Ateny, patronki miasta, był ośrodkiem życia religijnego. Erechtejon, jedna z najciekawszych świątyń ateńskich ze słynnym portykiem wspieranym przez sześć kariatyd, ocalała jak gdyby specjalnie po to, by umożliwić współczesnym spojrzenie na miasto.

Partenon, swoją harmonią i czystością linii, przyciąga wzrok jako niedościgniony wzorzec piękna architektonicznego. Promienie słońca ślizgały się po starożytnym marmurze. Margery usiłowała sobie wyobrazić Ateńczyków, którzy przed tyloma wiekami chodzili tą samą drogą, którą teraz wspinała się ona.

W pewnym momencie podszedł do niej jakiś turysta z żoną i dwojgiem dzieci i spytał, czy nie zrobiłaby im zdjęcia.

- Z przyjemnością - powiedziała bez entuzjazmu, słuchając jego pouczeń, jak posługiwać się aparatem.

- Zwiedza pani Ateny? - zapytała żona.

Nastawiając ostrość, przytaknęła skinieniem głowy.

- Przyjechałam tylko na kilka dni.

- Pani jest Amerykanka? - dopytywał się turysta, przybierając uśmiech stosowny do fotografii.

- Tak - odparła i poprosiła, żeby się przesunęli o kilka kroków, jeżeli chcą mieć zdjęcie dokładnie na tle Parterionu.

- Wybieramy się na Kretę - powiedziała kobieta. - To tylko jednodniowa wycieczka promem z Pireusu. Nie mogłabym wrócić do domu nie widząc Krety.

- Kreta - powtórzyła Margery.

- Tak. Jest mnóstwo wysp, które można zwiedzać, ale my uznaliśmy, że Kreta jest najważniejsza, i chcemy ją pokazać dzieciom.

- Jak tam można dotrzeć? - dopytywała się Margery zwracając aparat. - Dowiadawali się już państwo, jak kursują promy?

- To chyba nie problem - odparła kobieta. - W dokach Pireusu jest z pewnością mnóstwo kas sprzedających bilety. Nie tylko na Kretę, ale na dziesiątki innych wysp.

- Myśli pani o tym, żeby się tam wybrać? - zapytał Anglik.

- Kto wie - z namysłem odparła Margery.

Wiedziała, że powinna zawiadomić Warrena o swoich zamiarach, ale nie miała ochoty go widzieć. Sytuację ułatwiało to, że miała samochód i przebiecie się przez poranny ruch na ulicach Aten nie wydawało się trudne.

Zdecydowała, że najpierw pokaże fotografię Iana pracownikom obsługującym promy, a jeśli okaże się, że nikt go na statku nie widział, wsiądzie do samolotu i odleci do Stanów. Jak najdalej od Warrena!

Wspomnienie tego, jak stojąc w recepcji hotelu tchórzliwie wręczał jej klucz do osobnego pokoju, umocniło ją w tym postanowieniu. Nagle poczuła, że go nienawidzi – jego i Rose.

Z autostrady wjeżdżało się wprost na teren doków. Margery zaparkowała samochód i rozejrzała się wokół. Wzdłuż półkolistego bulwaru biegła ulica z licznymi restauracjami, kawiarniami i tanimi hotelikami.

Wyobrażała sobie, że w lecie roi się tu od turystów wybierających się na wyspy na Morzu Jońskim, ale teraz w większości byli to Grecy, mężczyźni i kobiety ubrani w ciemne stroje, dźwigający jakieś toboły i pakunki. Zobaczyła nawet kilka klatek z kurami. W małych budkach dojrzała otwarte okienka, gdzie można było kupić bilety na Hydrę, Mykonos, Rodos, Lesbos i mnóstwo innych wysp. Margery zaczęła sobie zdawać sprawę z ogromu zadania, jakie sobie sama postawiła.

Ruszyła wzdłuż doków, pokazując fotografię Iana każdemu sprzedawcy biletów. W większości byli bardzo uprzejmi, a niektórzy mówili nawet po angielsku.

Nikt nie rozpoznał jednak Iana.

Do południa kostka tak ją rozbolała, że musiała usiąść na chwilę i odpocząć. Wybrała schludnie wyglądającą kawiarnię, ponieważ przez szybę zobaczyła w niej kilka kobiet. Wiedziała już, że w Grecji kobiety nie są mile widziane poza domem. Kawiarnie, według starego obyczaju lewentyńskiego, nastawione były na obsługę mężczyzn.

Usiadła i zamówiła sałatkę i wodę sodową.

Kelner głupio się uśmiechał, siedzący w kawiarni mężczyźni utkwili w niej oczy. Kiedy się zdobyła na odwagę i powiodła wokół wzrokiem, stwierdziła, że wszystkie kobiety przedstawiają ten sam typ: gruby makijaż, utlenione włosy i obcisłe sweterki.

Och, pomyślała przerażona. Boże, wybrała miejsce najgorsze z możliwych! Kobiety patrzyły na nią z pogardą. Czy bały się, że im

zepsuje interes? Niemal zakrzuszyła się ze śmiechu i żeby pokryć zmieszanie, szybko napiła się wody.

Kiedy kelner przyniósł sałatkę, mężczyzna siedzący przy sąsiednim stoliku wstał i stanął przy niej.

- Kalimera - zagadnął pokazując w szerokim uśmiechu złoty ząb. - Ty Amerykanka?

Margery blado uśmiechnęła się i kiwnęła głową.

- Z jakiego miasta? Dużo lat mieszkałem w Bostonie. - Cuchnął potem i czosnkiem.

- Minneapolis - zdołała wyszeptać. - Przepraszam, muszę już iść. - Wyjęła kilka monet i położyła je na stoliku.

- Nie. Ja płacę - dumnie powiedział mężczyzna. - Nazywam się Aristo. A ty?

Margery wstała.

- Mam się z kimś spotkać. Przepraszam.

Ale Aristo już położył swą ciężką łapę na jej ramieniu. Ogarnęła ją panika.

- Muszę iść. - Chciała mu się wyrwać, ale Aristo był zdecydowany na wszystko.

- Przepraszam - usłyszała za plecami nie znany jej głos. Kiedy się odwróciła, żeby zobaczyć, kim jest nieznajomy, Aristo puścił jej ramię.

Za nią stał młody, niebieskooki blondyn w marynarskiej czapce. Rozdygotana, zdołała się uśmiechnąć.

- Dziękuję - wyszeptała.

Aristo wmieszał się w tłum, mrużąc coś ze złością pod nosem. Margery nie mogła opanować drżenia kolan.

- Nie powinnam była tutaj wchodzić - powiedziała upokorzona.

- Wyprowadzę panią - oświadczył mężczyzna.

Ciepło słońca i zapachy bulwaru były kojące. Margery jeszcze dygotała, ale już czuła ulgę.

- Nie jest to najmiłsze miejsce - powiedział marynarz z uśmiechem od ucha do ucha. Mówił ze szwedzkim akcentem.

- Rzeczywiście - przytaknęła z kwaśną miną. - Jeszcze się nie znamy. Nazywam się Margery.

- A ja Willem. Miło mi panią poznać.

- Dzięki serdeczne, Willem. Przrzekam, że nie będzie pan mnie musiał jeszcze raz ratować.

- Było mi bardzo miło,

- Pływa pan na statku?

Roześmiał się i poklepał czapkę.

- Nie da się ukryć. Nasz statek nazywa się „Uppsala”, płyniemy z Goteborgu.

- Ze Szwecji?

- Tak. Czy sprowadzić pani taksówkę?

- Nie, dziękuję. Mam tu samochód. Załatwiam pewną sprawę.

- Cóż. - Marynarz zasalutował. - Jeżeli wszystko w porządku, idę dalej swoją drogą. Jestem umówiony z przyjaciółmi.

- Czuję się już całkiem dobrze.

- Do widzenia, Margery.

Stała patrząc przez chwilę na idącego charakterystycznym, marynarskim krokiem Willema. Westchnęła uśmiechając się do siebie i ruszyła na poszukiwania już z złej sercem.

Pokazywała zdjęcie Iana dziesiątki razy bez rezultatu. Pomyślała, że może go tak szukać całymi dniami, jeśli przyjąć, że opuścił Pireus drogą morską. Sytuacja była tym bardziej beznadziejna, że wsiąść na jakiś statek w Pireusie to tak, jak jeździć autobusami po Nowym Jorku. Ze statków korzystali wszyscy mieszkańcy wysp. Jediną optymistyczną okolicznością było to, że po sezonie turystycznym Ian ze swymi rudymi włosami i okazałą postacią wyróżniałby się zawsze na tle niskich, ciemnowłosych Greków.

- Kalimera - zagaiła rozmowę przy jeszcze jednej kasie i wyciągnęła fotografię Iana. Wskazała palcem na fotografię i z kolei na statek.

Nieoczekiwanie, pomarszczona, twarz starego kasjera wykrzywiła się w bezzębnym uśmiechu, a siwa głowa zaczęła się kiwać potakująco. Kasjer wyrzucał z siebie potoki słów, gestykulując przy tym jak szalony. Po kilku chwilach zjawił się z powrotem, prowadząc z sobą innego mężczyznę ubranego w dziwny mundur.

- Jestem kapitanem. Pani jest Angielką?

- Jestem Amerykanką. Czy mógłby pan przetłumaczyć, co mówi kasjer? - powiedziała z nadzieją w głosie.

- Postaram się. Mój angielski nie jest najlepszy, ale spróbuję.

- Szukam brata - zaczęła Margery i wkrótce miała wszystkie potrzebne informacje. Owszem, Ian kupił bilet do Iraklionu, głównego portu i stolicy Krety. Było to przedwczoraj. Agent zapamiętał go z powodu rudych włosów i dziwnego bagażu, który z sobą dźwigał.

- Dziękuję panu - powiedziała Margery, ledwo łapiąc oddech. - Bardzo dziękuję.

Po kilku minutach z powrotem jechała do Aten. Roznosiły ją wprost duma i podniecenie.

Ale Warrena i Rose nie było w hotelu. Wręczając klucz Margery, recepcjonista powiedział:

- Doktor Yeager był bardzo zmartwiony, kiedy mu dałem kartkę od pani. Powiedział, że dla samotnej kobiety zwiedzanie Partenonu nie jest najlepszym pomysłem.

- Nie wie pan, dokąd poszli? Kiedy pan Yeager wróci?

- Kto to może wiedzieć? Najlepiej, jeżeli pani poczeka.

Więc czekała. I czekała. Wzięła prysznic, przebrała się, przewertowała greckie pisma, a Warrena ani śladu. Gdzie poszli? Może jej szukają? Albo Iana?

Trzecia godzina. Warrena ciągle nie ma. Margery uznała, że zrobiło się za późno, żeby myśleć o dostaniu się na samolot. Będzie musiała spędzić w Atenach jeszcze jedną noc – i z powodu jeszcze jednego dnia spóźnienia jej szef będzie wściekły. Wszystko przez doktora Warrena Yeagera i jego uparty pomysł, żeby wytropić Iana. Dobrze, dowiedziała się, gdzie pojechał i teraz niech z tym robią, co chcą – Warren i Rose.

Około czwartej usłyszała głośnie pukanie do drzwi.

– Margery? Jesteś tam?

Naturalnie, Warren. Kto poza nim mógłby tak walić w drzwi?

– Już otwieram.

Miała ochotę powiedzieć coś złośliwego, lecz Warren miał tak zaniepokojoną minę, że się powstrzymała. Nie potrafił ukryć ulgi na jej widok.

– Mój Boże, umierałem ze strachu. Gdzie się podziewałaś? – Wszedł do pokoju, Rose tuż za nim. – Dzwoniłem wcześniej do hotelu. Recepcjonista powiedział, że wróciłaś, ale kiedy połączył mnie z twoim pokojem, nie odebrałaś telefonu. – Przystał krążyć po pokoju i stanął przed nią. – Gdzie byłaś? – zapytał jeszcze raz.

– Oboje byliśmy bardzo zmartwieni – powiedziała Rose cicho.

– Pojechałam szukać Iana. – Założyła ręce na piersi, jak zwykle, kiedy była zdenerwowana. – Kiedy zadzwoniłeś, brałam pewnie prysznic.

Ostentacyjnie wzruszyła ramionami. Zawsze ta sama królowa lodu.

– Pojechałaś sama – ciągnął Warren marszcząc brwi. – Do licha, Margie. Margery..., Ateny nie są miastem na samotne spaceru.

– Czy nie masz ochoty usłyszeć, czego się dowiedziałam?

Czy to naprawdę jej głos? Taki triumfujący, wyzywający i zaczepny?

– Dowiedziałaś się czegoś? – spytała Rose nieśmiało.

- Popłynął na Kretę - oznajmiła Margery rzeczowym tonem. -
Przedwczoraj, promem.

- Och - odetchnęła Rose z ulgą.

Warren natomiast stał i ważył usłyszane słowa.

- Jak go wytropiłaś? - zapytał wreszcie.

- Nie było to takie trudne. Przyszedł mi do głowy pewien pomysł,
który okazał się właściwy.

Nic nie wspomniała o Aristo i miłym marynarzu.

- Tak po prostu? - dopytywał się Warren.

- Myślisz, że tylko ty jeden miewasz dobre pomysły? - Margery
opuściła ręce i tak pewnym krokiem, na jaki ją było stać, podeszła do
drzwi. - Przepraszam was, chciałam się na chwilę położyć.

Warren zatrzymał się w progu.

- Idź do siebie, Rose. Przyjdziemy po ciebie przed kolacją.

Spojrzał na Margery.

- Czy możemy porozmawiać?

- Oczywiście - odpowiedziała patrząc z satysfakcją, jak Rose
przystanąła na sekundę w korytarzu.

- Margery... Ja...

- Słucham?

- To... po prostu, hmm... Zdaje się, że w czasie naszej podróży...
trochę, no wiesz...

- Ach, masz na myśli nasze wspólne noce? - zapytała drwiąco.

- Tak - odpowiedział poważnym, niemal uroczystym tonem. - Nie
zamieniłbym ich za nic na świecie. Wiesz o tym.

- No, ale się skończyły? - Stała bez ruchu, nie spuszczać z niego
wzroku.

Ramiona mu opadły, ręce wsunął do powypychanych kieszeni
marynarki, nerwowo dzwonił monetami i kluczykami. Niezręcznie
przestępował z nogi na nogę, cofając się w głąb korytarza.

- Jesteśmy nieco egzaltowani – powiedziała ze smutkiem. – I ty, i ja. Teraz żegnaj, Warren. – Ujęła klamkę, żeby zamknąć drzwi.

- Żegnaj?

- Jutro rano wracam do domu.

- Nie! – zawołał. – Nie możesz! Kreta to niemal minuty od lotniska. Jeden dzień! To wszystko, czego nam potrzeba.

- Możesz sam porozmawiać z Ianem. Albo jeszcze lepiej, niech porozmawia z nim Rose.

- Nie – powtórzył. – Ty musisz to zrobić. Jeżeli będzie się czuł przyciśnięty do muru... może się zdarzyć wszystko. Boże, Margie... On może spowodować śmierć setek, tysięcy ludzi. Niewinnych ludzi!

- I dlatego rozkazujesz mi wziąć w tym udział? – zapytała z sarkazmem, chociaż w duchu przyznawała mu rację.

- Błagam cię – odparł spokojnie. – Przejechaliśmy już taki szmat drogi. Nie możesz przecież wycofać się z powodu jednego cholernego dnia! Jeśli chodzi o twoją pracę, to mogę ci w tym pomóc...

- Tu nie chodzi o moją pracę, Warren. Już nie. Chodzi tylko o ciebie.

Zamknęła mu drzwi przed nosem, po czym oparła się o nie plecami i stała ze spuszczoną głową, z sercem ściśniętym bólem nie do zniesienia.

13

Telefon na nocnej szafce Margery zadzwonił następnego dnia wcześniej rano, budząc ją z niespokojnego snu.

- Margery - odezwał się głos Warrena - nie gniewaj się, ale poleciłem Rose, żeby wykupiła trzy bilety na Kretę.

- Trzy?

- Tak. Wiem, że nie mogłaś mówić poważnie o tym, że odlatujesz dzisiaj i...

- Mówiłam poważnie.

- Tak, ale to było wczoraj. Jestem przekonany, że kiedy wszystko przemyślałaś...

Wyczuła w jego głosie zdenerwowanie i na chwilę sprawiło jej to satysfakcję.

- Nadal chcesz mnie do tego zmusić? - zapytała, zdając sobie jednocześnie sprawę, że naprawdę zabrnęła w to wszystko za daleko i nie ma już odwrotu.

- Nie chcę cię do niczego zmuszać - tłumaczył. - Naprawdę wierzę, że MacLaren może spowodować jakiś wypadek czy Bóg jeden wie co. Jesteś mi bardzo potrzebna.

Westchnęła i zadała mu retoryczne pytanie:

- Zdaje się, że nie mam wyboru, prawda? - W duchu zastanawiała się, czy robi to z powodu Iana, czy mimo udreki chce być blisko Warrena?

- Cudownie! Margie, nie potrafię powiedzieć, jaka to dla mnie ulga! Czy możesz być na dole za mniej więcej pół godziny? To jest wczesny rejs i Rose już zatelefonowała po taksówkę.

Rose! Zawsze ta Rose!

- Dobrze - rzuciła sucho i odłożyła słuchawkę.

W samolocie umyślnie zajęła miejsce w rzędzie za Warrenem i Rose. Nie będzie się zniżać do niesmacznej konkurencji z Rose o względy mężczyzny, nawet Warrena. Próbowwała czytać historię Kreta, wyglądała chwilę przez okno, ale cicha rozmowa Warrena z Rose rozpraszała jej uwagę. O czym mogą mówić?

Próbowwała się otrząsnąć i skoncentrować na tym, co czytała. Kreta. W roku trzytysięcznym przed Chrystusem królowa Morza Śródziemnego, na której założono piękne miasta. Stolicą wyspy było Knossos, słynne z labiryntu zbudowanego na rozkaz potężnego króla Minosa.

Margery przypomniał się jej ulubiony mit o Ariadnie, córce króla Minosa. Pokochała Tezeusza, który przybył na wyspę, aby zabić Minotaura i uwolnić Ateny od haniebnego haraczu w postaci siedmiu chłopców i siedmiu dziewcząt, które Ateny musiały dostarczać na pożarcie potworowi mieszkającemu w labiryncie. Ariadna dała Tezeuszowi kłębek nici, który rozwijał idąc korytarzami i dzięki temu odnalazł drogę powrotną. Tezeusz zabił Minotaura i wracając do Aten zabrał Ariadnę z sobą, ale pozostawił ją po drodze na wyspie Naksos.

Niewdzięcznik, pomyślała Margery. Zupełnie jak Warren. Ciągnął ją przez całą Europę, dostarczyła mu wszelkich możliwych wskazówek dotyczących Iana, a on ją porzucił. Okazuje się, że starożytni Grecy mieli problemy niewiele różniące się od współczesnych.

Kreta. Mogłaby się stać kopalnią wspomnień i nowych wrażeń, gdyby mogła zwiedzać ją z Warrenem, poznawać jej tajemnice, błąkać się wśród ruin Knossos i dziesięciu tysięcy wiatraków stojących w głębi kraju.

Kiedy samolot zaczął się zniżać do lądowania, przed oczami Margery pojawiła się niespokojna linia wybrzeża, za którą rozciągały się wzgorza poprzecinane głębokimi dolinami.

Czy Ian jest jeszcze na Krecie? Po co przybył na tę wyspę, która leżała tak blisko Afryki? Czy Warren słusznie rozumował, uważając, że Ian prowadzi jakieś rozmowy z jednym z krajów Trzeciego Świata?

Do Iraklionu dotarli taksówką. Rose zarezerwowała pokoje – trzy pokoje. Iraklion, największe miasto na wyspie, było chaotycznym zlepkiem budynków pnących się w górę od nabrzeża portu, gdzie przycumowany biały prom z Pireusu widoczny był w całej swej okazałości. Zarośnięci, ubrani w ciemne stroje mężczyźni o czarnych oczach siedzieli przy wystawionych na chodniki stolikach kawiarni i pili kawę, jak zawsze w Grecji z małych filiżanek. Kilka osiołków ciężkim krokiem przemierzało wąskie uliczki, dźwigając jakieś toboły.

Mimo że Rose i Warren byli blisko, Margery czuła się bardzo samotna. Czyżby Warren był tak niewrażliwy, że nie zdaje sobie sprawy z tego, jak z nią postępuje? Czy może go to w ogóle nie obchodzi? Dlaczego nagle się tak zmienił?

A jak potoczą się sprawy po powrocie? Jak się ułożą stosunki między nimi? Czy będzie to romans na odległość? Amory korespondencyjne i przez telefon, kradzione weekendy? A może szczęśliwe zakończenie? Może małżeństwo?

Usłyszała pukanie do drzwi. To Rose. Już szli do miasta.

– Pewnie łatwiej będzie go szukać tutaj aniżeli w Atenach. O tej porze roku prawie nie ma turystów. Poza tym doktor MacLaren jest, zdaje się, wysoki i ma rude włosy, więc musi znaleźć się ktoś, kto go zapamiętał – paplała Rose.

Warren dał Margery kartkę.

– Rose sporządziła spis hoteli. Każde z nas ma swoją listę. W ten sposób będzie szybciej. Spotkamy się wieczorem na kolacji.

Rose. Margery zacisnęła usta.

– Może go nie być w Iraklionie, Warren.

– Ale od czegoś trzeba zacząć – wtrąciła Rose.

Margery zmęczona krążyła po wyznaczonej trasie dopytując się o Iana, bez końca opowiadając swoją historyjkę rzekomej siostry. Bolały ją nogi, czuła ból w kostce, była głodna, ale nie odważyłaby się jeść gdzieś sama z utkwionymi w siebie oczami Greków. Zwłaszcza po tylu wspólnych posiłkach z Warrenem, cudownych, serdecznych, miłych.

Po południu wprost kusiło ją, żeby odpajkować na liście pozostałe hotele, wrócić do pokoju i ułożyć wysoko stopy, Iana i tak już tu nie ma, skonstatowała i w tej samej chwili zauważyła niewielkie biuro o nowoczesnym wyglądzie, które miało w oknie wystawowym szyld w języku angielskim. Tygodniowy lub miesięczny wynajem domów. Goście mówiący po angielsku mile widziani. Za biurkiem siedział mężczyzna, który pisał coś na maszynie. Margery stanęła w progu niezdecydowana. Nie był to hotel, ale uznała niemal za pewne, że Ian unika hoteli. Kto wie.

Weszła do środka. Mężczyzna był niski, śniady, ubrany w jedwabną koszulę i obcisłe dżinsy. Na szyi nosił gruby, złoty łańcuszek. Wstał, uśmiechnął się i powiedział coś, co było zbliżone do języka, w którym mówiła jej babka.

- Przepraszam? - zapytała podniecona.

- Pani jest Amerykanką - powiedział mężczyzna, gładko przechodząc na angielski. - Wygląda pani na Skandynawkę, pani...

- Lundstrom.

- Widzi pani, odgadłem.

- Może pan mógłby mi pomóc. - Margery opowiedziała mu swoją historyjkę. - Więc rozumie pan, jakie to ważne.

Mężczyzna głąaskał się po brodzie i intensywnie myślał.

- Mam kilku lokatorów na okres zimowy, większość z nich to artyści i pisarze. Ale był także kilka dni temu klient. Pani mówiła, że jak on wygląda?

Margery opisała Iana.

- Ten mężczyzna był rzeczywiście wysoki, ale miał brodę. Wydaje mi się, że mówił z akcentem brytyjskim, ale nie mogę pani dać jego adresu. Wszyscy moi klienci pragną zachować anonimowość, chcą mieć spokój. Chyba pani to rozumie.

- Jeżeli panu pokażę jego fotografię, czy to coś pomoże? - Do licha! Rose wzięła fotografię! - Zostawiłam ją w hotelu, ale mogę ją przynieść później, jeszcze dzisiaj.

Odnalazła go... Mógł przecież zapuścić brodę...

- No, cóż... - powiedział mężczyzna bez przekonania, bawiąc się łańcuszkiem.

Margery szybko sprawdziła pozostałe hotele z listy i dwadzieścia po piątej wracała na spotkanie z Warrenem i Rose. Prawdopodobnie właśnie ona odnajdzie Iana. Dom gdzieś na Krecie, wynajęty na tydzień - doskonała kryjówka, szczególnie jeżeli miał jeszcze do zrobienia jakieś badania laboratoryjne. Ale dlaczego? Ciągłe zadawała sobie to pytanie. Dlaczego Ian miałby prowadzić dalsze badania?

Pierwszy pojawił się Warren, zlany potem i zmęczony biegiem przez cały gorący dzień. Koszulę miał rozchełstaną, na czoło opadł kosmyk włosów, krótszy, ale równie niesforny co zawsze. Był zmordowany i zniechęcony.

- Niczego się nie dowiedziałem. A ty?

- Nic pewnego, ale może... - Nie chciała zdradzać swego planu, który przechwyciłaby zawsze trzeźwo myśląca Rose. Dlatego spokojnie powiedziała Warrenowi, że chce pokazać fotografię Iana pewnemu człowiekowi.

- Mógł zapuścić brodę - zadumał się Warren. - Ile czasu go nie widzieliśmy? Ponad tydzień. Ja też już mogłem mieć brodę przez ten czas.

Czekali na Rose siedząc przy stoliku przed hotelem. Warren sącył raki, mocny grecki koniak, Margery piła colę. Mogłaby to być chwila pełna odprężenia i uroku. Położyłaby rękę na kolanie Warrena, gdyby

nie groźba pojawienia się Rose. Byli tak blisko siebie, a jednocześnie tak sobie dalecy. Zastanawiała się, czy Warren też ma poczucie utraty czegoś cennego, czy też pogrążony jest w smutku? Czy ukrywa swoje uczucia, tak jak ona? Jeśli tak, to oboje są bardzo żałośni.

Kiedy wróciła Rose, Margery wzięła od niej fotografię, mówiąc krótko, że chce ją komuś pokazać.

- Czy mam z tobą pójść? - zapytał Warren.

- Nie. Sądzę, że lepiej będzie, jeżeli pójde sama - odparła bojąc się, że Warren mógłby popełnić jakąś gafę.

Poszła do pana Złotego Łańcuszka. Na szczęście był jeszcze w biurze, rozmawiał z jakimś wymizerowanym, zarosniętym mężczyzną w średnim wieku w ubraniu poplamionym farbą. Mówili po niemiecku. Margery odniosła wrażenie, że się kłóca. Czekala niecierpliwie, kiedy skończą.

- Witam, pani Lundstrom. Więc w jaki sposób mogę pani pomóc? - spytał Złoty Łańcuszek, gdy Niemiec wyszedł.

Margery wyciągnęła fotografię.

- To jest mój brat. Czy mężczyzna, o którym mi pan mówił, że ma brodę, to nie ten sam, nie mój brat?

- Zdaje się, że tak. Broda nieco zmienia, ale myślę, że to on.

- Och, cudownie! Czy może mi pan powiedzieć, gdzie go mam szukać? Muszę go znaleźć, mówiłam panu...

- Szczerze mówiąc, wątpię, czy jest pani jego siostrą - wyznał agent bawiąc się łańcuszkiem. - Pani brat mówi z brytyjskim akcentem, a pani nie.

- Proszę pana, ja muszę go znaleźć - powiedziała Margery, upadając na duchu.

- Przekonała mnie pani, że pani musi, ale doprawdy nie rozumiem tego człowieka. Nie rozumiem, dlaczego nie chce, żeby go pani znalazła. Chcę pani pomóc, naprawdę.

Patrząc na Margery, zdawał się na coś czekać. Nagle ją olśniło.

- Ach, oczywiście! Muszę wynagrodzić pana czas i trudy.
Szybko sięgnęła do torebki po garść drachm.

- Czy to... wystarczy?

Starannie przeliczył monety. Sprawiał wrażenie zadowolonego.

- Pani brat wynajął dom przy nadmorskiej szosie do Malia. Mniej więcej trzydzieści kilometrów od Iraklionu.

Oderwał kawałek papieru z bloku listowego i napisał adres.

- Proszę, to jest adres. Zapisałem go po angielsku i po grecku, więc każdy taksówkarz będzie mógł przeczytać. Trochę trudno znaleźć to miejsce.

- Dziękuję panu. Naprawdę jestem panu bardzo wdzięczna.
Złoty Łańcuszek uśmiechnął się do niej porozumiewawczo.

- Proszę pozdrowić ode mnie brata!

Drogę do hotelu przebyła niemal biegiem. Od razu zapukała do Warrena.

- Warren, to ja. Znalazłam go!

Drzwi szybko się otworzyły. Stanął w nich Warren. Rzuciwszy okiem na jego pokój, Margery zobaczyła Rose leżącą wygodnie na łóżku, bez pantofli.

- Znalazłaś go? - zapytał Warren.

Margery wyciągnęła kartkę z adresem.

- Masz, to jest adres domu, który wynajął.

Warren przez chwilę wpatrywał się w kartkę i nagle uśmiechnął się szeroko.

- Mamy go! Znaleźliśmy go!

Znaleźliśmy go? - pomyślała Margery. To ja go znalazłam.

- Boże, Margery, co za cudowna wiadomość!

Wzięła adres z rąk Warrena.

- Tamten agent powiedział mi, że dom znajduje się około trzydzieści kilometrów stąd.

- Wspaniale wybrane miejsce. Odosobnione. Można swobodnie w takim domu pracować, nikt nie przeszkadza. - Warren wpadł w zadumę. - Teraz zastanówmy się, jak go zaskoczyć.

Margery ciągle stała na progu pokoju Warrena.

- Dobrze. Zastanawiajcie się nad tym, a ja pójdę do siebie odpocząć. Jestem bardzo zmęczona.

- Oczywiście, oczywiście. - Warren już zniknął w głębi pokoju. - Wymyślimy coś razem z Rose. Rozwiązaliśmy dotąd wspólnie mnóstwo problemów. Nie martw się, Margery, wspaniale się spisałaś.

Rose nalegała, żeby Margery zjadła z nimi kolację. Uprzejmość czy litość? Nie chciała odmówić, żeby nie wyjść na dziwaczkę czy na usychającą z miłości nieszczęśnicę. I pomyśleć, że kiedyś to ona współczuła Rose!

W tawernie nie opodal hotelu zjedli homara i sałatę. Grecy tańczyli pełni radości i fantazji. W miarę narastającego tempa muzyki i ilości wypitego wina rzucali o ziemię talerzami i szklankami. Przypomniało to Margery ich pierwszą noc w Grecji, w Igoumenitsa, noc cudów i radości. Przygnębiona piła dużo retsiny i z trudem znosiła obecność mówiącej bez przerwy Rose, która jak zwykle dominowała.

- Warren, to niesłychane! - mówiła na przykład. Albo: - To dla ciebie za tłuste, Warren. Zdaje się, że trochę przytyłeś? - Albo: - Jak sprytnie odnalazłaś MacLarena, Margery. W taki prosty sposób! - I: - Margery, jesteś za szczupła. Czy byłaś na garnuszku Warrena? Dla niego jedzenie może nie istnieć. - I do Warrena: - Sądzę, że możesz przekroczyć limit pieniędzy wyznaczony przez dyrektora, jeżeli poszukiwania zabiorą ci więcej czasu, niż przypuszczałeś. Zdaje się, że Greg Smythe dzwonił i omawiali tę sprawę.

- Dobrze - powiedział Warren. - Zdaje się, że już wydałem większość pieniędzy. Ale obniżka cen w Atenach za wynajem samochodów była większa, niż myślałem. Jak stoimy, Margery?

Więc teraz ma być jego księgową. Margery wyciągnęła notes i podsumowała wydatki.

- Zostało nam prawie trzysta dolarów.

Warren zmarszczył brwi.

- To nie wystarczy nawet na bilet powrotny!

Rose uśmiechnęła się i poklepała go po ramieniu.

- Mam przy sobie dosyć pieniędzy, nie martw się. Dobrze się zaopatrzyłam na drogę na wszelki wypadek. - Wydawało się, że całkiem zapomniała o Mortym, albo może nie chciała o nim myśleć.

Margery poczuła gniew i zazdrość. Umyślnie wypila resztę retsiny, wstała i lekko się chwając powiedziała wesoło:

- Myślę, że pójdę spać, moi drodzy. Kalispera, jak mówią tutaj. Wesołej zabawy. - Wyszła, starając się kroczyć z godnością. Zabawne, nie obchodziło jej nawet, czy zauważają jej utykanie.

Budząc się z głębokiego snu, poczuła suchość w ustach i jakby stukot w głowie. Przez chwilę nie miała pojęcia, gdzie się znajduje i która może być godzina. Nagle zdała sobie sprawę, że pukanie dochodzi od drzwi. Czy to Dunclyde? Nie, nie... jest na Krecie, a puka.

- Margery - usłyszała stłumiony szept i ponowne delikatne pukanie.

Nie zadała sobie trudu, żeby narzucić szlafrok. Podeszła do drzwi i otworzyła je.

- O co chodzi, Warren? Która godzina? Gdzie jest Rose?

- Już późno - powiedział. - Przykro mi, że cię obudziłem. Nie mogłem zasnąć.

Zobaczyła, że ma na sobie białą, trykotową koszulkę i te swoje wypchane sztruksowe spodnie. Był boso. Serce ścisnęło jej się z gniewu i radości. Czego może od niej chcieć?

- Wejdz - powiedziała ziewając - skoro już mnie obudziłeś.

Wszedł i nieśmiało krażył po pokoju, czekając, aż Margery skończy pić szklankę wody. Kiedy wreszcie usiadła na łóżku, zatrzymał się przed nią.

- Wiem, co o mnie myślisz - wykrztusił. - Że jestem zbyt podminowany odkąd przyleciała Rose... Cóż... Wiem, że się obraziłaś, kiedy ci wynająłem osobny pokój... - Robił wrażenie szczerze zmartwionego.

Świetnie, zasłużył sobie na to, pomyślała Margery.

- Margie... ja... po prostu chcę, żebyś o tym wiedziała... Nigdy do nikogo nie czułem tego, co czuję do ciebie... To jest nawet... trochę przerażające. A Rose... cóż, to stara przyjaźń. Ale problemy z Mortym i... w ogóle. Nie mogłem jej odesłać samej, czy też... Och, wiesz, o co chodzi.

- Tak sądzisz? - zapytała chłodno.

- Nie mogę zasnąć.

- Biedny Warren - powiedziała ironicznie.

Dosłyszał ten ton i rzucił jej spojrzenie pełne żalu.

- Dobrze, wiem, że na to zasłużyłem. Wydaje mi się, że zwyczajnie nie umiem sobie dawać rady z różnymi sprawami. Margie, przepraszam cię. Proszę, powiedz coś. Porozmawiajmy.

- Rose z tobą rozmawia.

- Rose ze mną nie rozmawia, ona do mnie mówi - poprawił.

Margery podeszła do umywalki po drugą szklankę wody.

- Och, Warren. Jaki to ma sens? Wracaj do łóżka. Nie wiem, jak mogłabym ci pomóc.

- Owszem, możesz - powiedział łagodnie i stając za jej plecami, objął ją w pól.

Próbowała udawać obojętność, ale jego dotyk był taki miły. Piła drobnymi łykami wodę czując, że kręci jej się w głowie i ścisną w żołądku. Czyżby to skutki retsiny?

Powoli odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy. Warren delikatnie wyjął jej szklankę z ręki i postawił na umywalce.

- Nie mogłem znieść tego trzymania się z daleka od ciebie. - Oczy mu błyszczały. - Nigdy czegoś takiego nie przeżywałem. Margie, starałem się trzymać z daleka, naprawdę.

Czuła, jak jej złość topnieje. Kolana stały się miękkie, w uszach pulsowała krew. Całym ciałem reagowała na dotyk jego rąk.

- Nie, Warren - szepnęła.

Ale pocałował ją i już nie mogła się dłużej opierać. Przyciągnął ją bliżej, duże dłonie niecierpliwie obejmowały jej plecy. Jest teraz inny, pomyślała melancholijnie. Pewny siebie. Wie, czego pragnie kobieta i jak ją zaspokoić.

- Nie - szepnęła jeszcze raz, ale Warren jak gdyby nie słyszał. Zarzuciła mu ręce na szyję, głaskała jego ramiona i plecy i, przytulając się do niego całym ciałem, szeptała mu coś do ucha.

Sami nie wiedzieli, kiedy znaleźli się przy łóżku. Warren zsunął z niej nocną koszulę i ściągnął swój podkoszulek. Po chwili był nagi. Nie wstydzili się siebie, spalała ich ta sama namiętność i pożądanie.

- Margie - szeptał Warren. - Nikogo takiego jak ty... nigdy... nie było.

Wpatrzona w ciemność pokoju Margery przytulała do piersi jego głowę, czując łaskotanie twardych, wijących się włosów. Gdyby tak można było zawsze!.. W tej chwili należał do niej, ale co będzie rano? Czy odnajdą Iana, wyjaśnią jego straszną tajemnicę i odlecą do Stanów? Warren z depczącą mu po piętach Rose i Margery z perspektywą rozmowy z oburzonym szefem w Minneapolis, gdzie trwa jeszcze zima.

Pocałowała jego włosy. W odpowiedzi zamruczał coś i objął ją mocniej. Drzemali spleceni ramionami.

Warren obudził się pierwszy.

- Niech to diabli. Prawie świta. Muszę wracać do mojego pokoju. Jeżeli Rose... - urwał speszony, wstał i szybko się ubrał.

Margery uśmiechnęła się do siebie. Przyszłość nadeszła.

14

- Czy to możliwe, żeby postradał zmysły? – zastanawiał się Warren następnego dnia przy śniadaniu.

- Ian nie jest wariatem – zaprotestowała Margery.

Bez apetytu rozgrzebywała jajecznicę na talerzu.

- Ależ Margery! – Rose natychmiast pospieszyła z poparciem dla Warrena. – Nie możemy wykluczyć tej możliwości.

Margery nie odpowiedziała, Ian miałby być umyślowo chory? Niemożliwe. Jednak w pewnym stopniu to tłumaczyłoby jego dziwne zachowanie.

Warren spojrzał na nią uważnie. Kiedy znowu się odezwał, w jego głosie pobrzmiwał wyraźny niepokój.

- Nieważne, czy oszalał. On jest i tak zdecydowany na wszystko. Najgorsze jest to, że może być bardzo niebezpieczny. A trzeba pamiętać, że ma w swoich rękach potężną broń.

- Ian nie posłużyłby się tym mikroblem – zaprotestowała Margery.

- Niestety, nie wiemy, na co go stać – rzuciła Rose. – Dlatego to ty przede wszystkim powinnaś nawiązać z nim kontakt.

- Zaczynam wątpić, czy jest to mądry pomysł. – Warren wstał od stolika i wyraźnie niespokojny podszedł do otwartego okna jadalni. – Zwłaszcza że MacLaren siedzi w jakimś domu na zupełnym odludziu.

Margery obserwowała go zdziwiona. Skąd to nagłe wahanie? Dlaczego tak się teraz o nią boi? Nieśmiało pochlebiała sobie, że poczuł się opiekunem, pierwszy raz wykazując więcej zainteresowania nią aniżeli mikroblem i Ianem.

Kiedy wrócił do stolika i usiadł, obserwowała go z uwagą. Czy może mieć rację, że Ian jest niebezpieczny? Jakkolwiek było, nie miała

obaw. Zwyczajnie nie mogła uwierzyć, że Ian mógłby ją w jakiś sposób skrzywdzić.

Już miała powiedzieć coś na ten temat, kiedy nagle spostrzegła, że nikt nie zwraca na nią uwagi. Warren otworzył szeroko oczy i wpatrywał się ponad jej ramieniem w wejściowe drzwi, a Rose, która także spojrzała w tamtą stronę, gwałtownie wciągnęła powietrze jak ktoś szukający ratunku.

Co się dzieje?

Margery odwróciła się i otworzyła usta.

- Uroczę małe zgromadzenie - powiedział Morty Freed nie-naturalnie głośno. Ruszył w ich kierunku, arogancko przepychając się między dwoma sąsiednimi stolikami.

Zaległa martwa cisza. Nikt nie był w stanie wykrztusić słowa. Zapanowała tak chłodna atmosfera, jak gdyby ktoś otworzył okno w czasie burzy. Rose niepewnie ruszyła na spotkanie Morty'ego. Warren uniósł się lekko na krześle z twarzą wyrażającą bezbrzeżne zdumienie.

- Morty! - Rose nareszcie odzyskała głos. - Jak... Dlaczego tu przyleciałeś?

- I ty o to pytasz? - syknął.

Margery zorientowała się, że pił, prawdopodobnie w czasie lotu z Aten. Jakże to wstętnie.

- Nie rozumiem. - Rose była oszołomiona, zawstydzona i jak gdyby przestraszona.

- Myślisz, że będę spokojnie patrzył i siedział z założonymi rękami, kiedy ty wyjeżdżasz do kochanka?

Morty ciężko osunął się na krzesło i zbliżył twarz do Rose, przesywając ją spojrzeniem.

Margery najchętniej zapadłaby się pod ziemię. Rose siedziała sztywno, płonąć ze wstydu. Morty zachwiał się na krześle i uderzył pięścią w szklany blat stolika tak mocno, że rozlała się kawa z filiżanek.

- Do cholery, dajcie mi drinka! - wrzasnął w przestrzeń. - Przez dwa dni próbowałem się dostać do tej piekielnej dziury i chcę, żeby mnie ktoś obsłużył!

- Morty - rzekła półgłosem Rose. - Proszę cię... W tej chwili przestań.

- Przestań? Dlaczego mam słuchać twoich rozkazów? Co ja cię obchodzi? Nic. Obchodzi cię tylko twoja praca i, no... ten... Nie zapominajmy, że tu siedzi wielki doktor Yeager!

Odwrócił się do Warrena i utkwiał w nim przekrwione oczy.

- Morty... - W głosie Rose brzmiała rozpacz.

- Przestań z tym wiecznym „Morty”! Z nim jesteś radosna jak skowronek, co? Wiem, że tak. I nie myśl sobie, że nie wiem, co się dzieje, kiedy wyjeżdżacie razem! Zawsze wiedziałem.

- Co konkretnie chcesz przez to powiedzieć? - Głos Warrena był niebezpiecznie niski.

- To, że sypiasz z moją żoną!

- Morty, do cholery! - Warren zacisnął pięści i zerwał się z krzesła.

- Och, proszę... - załkała Rose.

Margery milczała, zadając sobie w duchu tylko jedno pytanie: czy któreś z nich wreszcie zaprzeczy, że nic ich nie łączy? Przeniosła wzrok z Rose na Warrena i z powrotem. Powiedzcie coś... Zaprzeczcie! Żadne się jednak nie odezwało.

- Zabieram swoją żonę do domu - oświadczył Morty bełkotliwie. - Nie pozwolę, żeby spakowała swoje manatki i wyprowadziła się. Na Boga, nie pozwolę na to!

Ale czyż Rose nie mówiła, że po powrocie ma szukać adwokata? Każdy medal ma dwie strony.

- Ty śmieciu! - ryknął Morty, patrząc Warrenowi w twarz.

- Mam już tego dość - ochryłym głosem powiedział Warren, odsuwając filiżankę.

Morty zwrócił się teraz do żony:

- I ty też! Jedno warte drugiego!

Margery usłyszała szuranie krzesła o kamienną podłogę. Warren wstał i chwycił Morty'ego za kłapy marynarki, Morty zamierzył się na niego niezdarnie.

Margery wstała tak szybko, że krzesło upadło na podłogę. Mniejsza z tym. Ruszyła w kierunku drzwi zasłaniając dłońmi uszy. Pod powiekami czuła łzy.

W holu było kilka osób, które usunęły się robiąc jej przejście. Biegnąc po schodach potknęła się i uderzyła w ułomną kostkę.

- Niech ich diabli porwą! - krzyknęła zamknawszy za sobą drzwi pokoju. - Głupcy! - O wiele jednak gorszy od upokorzenia i wstydu był fakt, że żadne z nich - ani Rose, ani Warren - nie zaprzeczyło oskarżeniu Morty'ego.

Trzęsącymi się rękami pospiesznie wrzucała do walizki swoje rzeczy i z wściekłością zatrzasnęła wieko. Boże, jaka była zaslepiona! Wszystko to prawda - Warren i Rose. Nic dziwnego, że przyleciała do Aten! Podejrzewała kochanka o zdradę.

Och, Margery. Ty skazana na samotność kretyńko! - wymyślała sobie, przełykając łzy. Ty idiotko!

Przed drzwiami zatrzymała się nagle. Dokąd tak gna z tą walizką? Na lotnisko... do domu, podpowiedział jej rozum. Niech Warren, Rose i Morty walczą sobie. Niech cierpią. Ona wyłącza się z gry.

Sprawdziła, czy ma w torebce paszport. Tak, był w przegródce razem z karteczką, na której zapisany był adres Iana. Powinna zostawić tę kartkę Warrenowi, ale nic, absolutnie nic nie zmusi jej, żeby się z nim spotkać.

Nagle zastanowiła się. Wracać do domu? Uciekać jak tchórz, przejechawszy cały kontynent w tak ważnej misji? O, nie. Nie teraz. Najpierw pojedzie do Iana. Pokaże im wszystkim. Wiedziała, że to naiwny małostkowy kaprys, zrodzony ze zranionej dumy i chęci

zranienia także Warrena. Ale również z potrzeby pokazania mu, że ona także ma do kogo uciekać, że ma... kochanka.

Szybko napisała na kartce kilka słów i adres Iana, po czym wsunęła kartkę pod drzwi pokoju Warrena.

Jazda do Malia taksówką przypominała koszmarny sen. Dlaczego nie dostrzegła tego, co przez cały czas widział Morty? Jak mogła tak beznadziejnie marzyć o miłości? Egzaltowana stara panna, która z uporem godnym lepszej sprawy szuka choćby odrobiny uczucia!

Taksówka jechała na wschód wzdłuż skalistego wybrzeża Krety. Co chwilę logiczny umysł Margery mówił jej, że powinna zawrócić. Nie miała żadnego planu działania, jak również najmniejszego pojęcia, co powie Ianowi. Był to krok pospieszny, podyktowany chęcią zemsty, absolutnie dziecinny, z gatunku, ja im pokażę.

Ale przecież wiedziała od samego początku, że jej zadaniem ma być pierwszy kontakt z Ianem. Na tym opierał się ich zamiśl. Teraz właśnie przyszła na nią pora. Miała zrobić, co było zamierzone, miała z Ianem zawrzeć jakąś ugodę. Jaką ugodę? – pomyślała z goryczą.

Gdyby tylko miała konkretny plan działania.

Mijali kolejne miejscowości leżące na północnym wybrzeżu Krety – Hani Kókini, Góurnes, Stahda. O, już Malia. Domek Iana stał w najbliższej części miasta. Zostało jej mało czasu do namysłu.

Czarne oczy taksówkarza ciągle próbowały pochwycić jej spojrzenie w tylnym lusterku, co ją dodatkowo denerwowało. Co będzie, gdy się okaże, że Ian naprawdę oszalał? Może nawet stał się groźny? Czy naraża się na sytuację przerastającą jej wyobraźnię? Woliała o tym nie myśleć. Cokolwiek ją czeka, nie może być gorsze od tego, co już się stało.

W jej pamięci pojawiał się i znikał obraz pięści Morty'ego wymierzonej w twarz Warrena. Nie wyobrażała sobie, by mogła coś takiego powtórnie przeżyć. Nie była w stanie spotkać się z żadnym z całej trójki. Mogła natomiast powiedzieć taksówkarzowi, żeby zawrócił i odwiózł ją na lotnisko. Ale wtedy obróci wniwecz wysiłek tych

wszystkich dni, kiedy szukali Iana w przekonaniu, że popełnia straszną zbrodnię przeciwko ludzkości. Przepadnie wszystko, cały plan, także jej etat. Czy po to naraziła się na takie ryzyko, żeby teraz uciekać?

W oddali widać już było wystający cypel i zimowe słońce odbijające się od białych domów miasteczka. Byli już prawie na miejscu. Droga wiała się wzdłuż dzikiego górzystego wybrzeża, po lewej stronie widać było kilka pobielonych domków. Kierowca spojrzał na kartkę, którą mu dała, i nagle skręcił w podjazd, który biegł w górę serpentyną, kończąc się przed małym domkiem, malowniczo usytuowanym na skale z widokiem na morze.

Chatka Iana, uświadomiła sobie w panice. Myśl szybko! Co masz mu powiedzieć?

Wysiadła z taksówki i wręczyła kierowcy zapłatę za kurs. Może poprosić, żeby zaczekał? Nie. Nawet jeśli nikogo tu nie zastanie, to przecież Ian wynajął tę chatę na tydzień. Prędzej czy później wróci.

- Dziękuję - powiedziała, kiedy kierowca zaniósł przed dom walizkę. Odchodząc przyjrzał się jej dokładnie.

Domek stał bardzo blisko urwiska, jedna ściana niebezpiecznie dotykała krańca skalnego zbocza. Margery dostrzegła ścieżkę prowadzącą zygzakiem między głazami w dół. Na jej końcu znajdował się mały, drewniany pomost.

Odwróciwszy się w stronę domu, zauważyła samochód zaparkowany pod ukośnie nachylnym daszkiem. Na tylnym zderzaku widniała tabliczka z napisem „Avis”. Musiał to być samochód wynajęty przez Iana, co oznaczało, że jest w domu.

Kiedy podnosiła rękę, żeby zapukać do drzwi, nie miała najmniejszego pojęcia, co powiedzieć. Zdołała się jedynie opanować i marzyła tylko o tym, żeby jej serce przestało bić jak szalone.

Zapukała jeszcze raz, nieśmiało, w rozpacz modląc się, żeby go nie było w domu. Sekundy mijały powoli, a ona czekała. Słony wiatr od morza rozwiewał jej włosy, zza domu dochodził szum fal.

Nie ma go, pomyślała z ulgą, gotowa zrezygnować. Mogłaby zejść do głównej drogi i autobusem albo taksówką wrócić do Iraklionu na lotnisko. Zrobiła, co do niej należało.

Wtem drzwi się otworzyły i stanął w nich Ian. Miał tygodniowy zarost, a jego przeraźliwie chuda twarz wyglądała jakby zawieszona na czarnych gwoździach oczu.

Ma oczy bez wyrazu, jakby nieprzytomne, pomyślała w panice.

Stali nieruchomo, bez słowa – jak skamieniali, Ian jakby nie zdawał sobie sprawy, że istotnie ma przed sobą Margery. Ona także patrzyła na niego i niemal nie wierzyła własnym oczom. Pomyślała, że gonili za cieniem, za zjawą... Mężczyzna, który stał w progu, w niczym nie przypominał człowieka z krwi i kości, Iana MacLarena, kiedyś jej przyjaciela i kochanka.

– Margery? – powiedział wreszcie zakłopotany, z niedowierzaniem w głosie.

– Tak, to ja. – Słowa ledwo jej przechodziły przez zaciśnięte gardło.
– Mogę wejść?

– Ależ... tak... oczywiście. Proszę.

Weszła ze swoją walizką, jak gdyby to była najnaturalniejsza rzecz na świecie, że zapukała do drzwi stojącego na uboczu domku na Krecie.

– Jestem... zupełnie oszołomiony – powiedział. – Ty, tutaj. – Kręcił głową z niedowierzaniem.

– Jestem pewna, że się zastanawiasz, w jaki sposób cię odnalazłam. – Uśmiechnęła się niepewnie. Co ma powiedzieć?

– Po prostu nie mogę w to uwierzyć. Ty, tutaj.

Stała rozglądając się dokoła. Ściany pomalowane na kolor szarozółty, wnętrze pełne słońca. Część mebli przykryta była pokrowcami z kretonu w paski. Na kamiennej podłodze leżały wesołe chodniki. Poza pokojem dziennym była kuchnia i korytarzyk prowadzący gdzieś w głąb. Należało przypuszczać, że była tam jedna

albo dwie sypialnie, Ian stał wpatrzony w nią z wyrazem osłupienia na wynędzniałej twarzy.

- Nie było łatwo cię znaleźć - powiedziała lekkim tonem, ale nogi miała jak z ołowiu i serce waliło jej nieprzytomnie.

Wreszcie zdawało się, że Ian uznał jej obecność za rzeczywistą i wyraz zdumienia zniknął z jego oczu. Patrzył teraz podejrzliwie. Gwałtownie zamknął drzwi, po czym powiedział:

- A więc to naprawdę ty... Tutaj. To nie sen. Jak mnie tu znalazłaś, Margery?

Zakasała.

- Byłam o ciebie niespokojna. Nagle zniknąłeś i wszyscy zachodzili w głowę, co się stało.

- Rozumiem. - Skrzyżował ręce na piersi i niemal paraliżował ją swoim nieruchomym wzrokiem.

- Tak. Więc rozmawiałam z twoją matką i... - Dygotała ze zdenerwowania.

- Moja matka nie ma pojęcia, gdzie jestem.

- Ale pytałam w kilku agencjach wynajmujących samochody i... No, cóż. Nie było łatwo cię znaleźć. Upływał dzień za dniem i już prawie zrezygnowałam. Ale udało się.

- Tak... - Nagle w całej postawie Iana pojawiło się napięcie. Na palcach podszedł do okna i odsunął na bok tiulową firankę.

- Przyjechałaś sama?

- Tak.

- Odszukałaś mnie na własną rękę? - Puścił firankę i odwrócił się do Margery. Jego oczy patrzyły badawczo.

- Tak - odpowiedziała już mniej pewnym głosem, Ian nie był przecież głupi.

Patrzył jej prosto w oczy bez słowa, jak gdyby analizował historię, którą mu opowiedziała. Margery wydało się, że trwa to całą wieczność. Widziała, jak machinalnie zacisnął pięści.

- Dobrze - odezwał się wreszcie. - Na razie ci wierzę. Powiedz mi, dlaczego mnie szukałaś?

- Powiedziała ci już... Niepokoiłam się o ciebie.

- Naprawdę?

Co dodać do tego, co mu już powiedziała? Co by było, gdyby mu wyznała, że wie o mikrobie? Wpadłby w szal albo jeszcze gorzej... Myśleć! Myśleć! Znalazła się na pozycji obronnej, przyparta do muru, powoli paraliżował ją strach.

Może spróbować zmienić temat rozmowy? Zrobiła głęboki wdech.

- Czy to ładnie tak przyjmować gości? Odbyłam bardzo męczącą podróż, żeby zobaczyć, co się z tobą dzieje... Co więcej, mogę z tego powodu nawet stracić pracę.

Na twarzy Iana odbiło się zdumienie.

- To prawda, Ian. Czy masz zamiar mnie wyprosić?

- Nie to miałem...

- I nie zostanę tu dłużej, jeżeli masz się zachowywać tak nieprzyjemnie!

- Nigdy nie.

- Czy mogłabym przynajmniej dostać szklanke wody?

- Wody?

- Tak. Wody. Zeszłam cały Iraklion, żeby się czegoś o tobie dowiedzieć. Jestem zmęczona i chce mi się pić.

- Oczywiście...

Odszedł od okna i ciężkim krokiem ruszył do kuchni. Jego ruchy były dziwnie nie skoordynowane.

Margery zbierała myśli. Udało się, przynajmniej na razie zmyliła jego czujność.

Ian wrócił ze szklanką wody, po czym zaczął nerwowo krążyć po pokoju. W pewnej chwili zatrzymał się przed nią.

- Więc jesteś tutaj. I co dalej?

- Może mogę ci w czymś pomóc?

Oczy zaiskrzyły mu się gniewem.

- Pomóc? Myślisz, że teraz możesz mi pomóc? Miałaś już kiedyś taką okazję, jeżeli sobie może przypominasz?

Kurczowo zaciskał dłonie, to znów je wyprostowywał.

- Nie mogłam zmienić faktów. To niemożliwe. Takie sytuacje się zdarzają.

- Co z tego, że się zdarzają? Tylko głupiec mógłby czekać spokojnie, żeby biurokraci zniszczyli jego karierę. Zrujnowali mi całe życie!

- Mógłbyś zacząć od początku – powiedziała łagodnie.

- O czym ty mówisz? Naprawdę? Dlaczego miałbym to robić?

- Bo jesteś wybitnie utalentowany i potrafisz świetnie pracować. A przecież widzę, że tutaj, w tych warunkach, nie czujesz się szczęśliwy.

- Nie wiesz, o czym mówisz. Dlaczego po prostu nie zostawisz mnie w spokoju? – spytał, po czym podszedł do okna i zaczął rozglądać się na wszystkie strony.

- Bo... zależy mi na tobie.

Odwrócił się i spojrzał badawczo w jej twarz. Oczy człowieka zrozpaczonego, pomyślała. Sprawiał wrażenie, jak gdyby chciał wyciągnąć do niej rękę i przytrzymać rzeczywistość, której była symbolem.

- Naprawdę jeszcze cię obchodzi? – Uważnie patrzył jej w oczy.

- Naprawdę.

Kręcił się niespokojnie po pokoju, w pewnej chwili zatrzymał się i spróbował uśmiechnąć, ale tylko nerwowo drgnął mu kącik ust..

- Podejdź do mnie.

Niepewnym krokiem zbliżyła się do niego. Chyba nie ma zamiaru jej pocałować?

Ujął jej rękę i lekko uściskał.

- Dziewczyno – szepnęła żarliwie – gdybyś wiedziała...

- Powiedz mi – powiedziała ostrożnie. – Mnie możesz powiedzieć, Ian.

Ale on puścił jej rękę. Zimny, daleki uśmiech wykrzywił mu usta, zmieniając wyraz twarzy. Był jak dziecko, które się bawi w jakąś niebezpieczną grę. Odwrócił się do niej plecami.

- Jeszcze raz chcesz mnie zdradzić? – spytał.

- Ian... nigdy cię nie zdradziłam. Nigdy. Znienawidziła siebie za to kłamstwo. Przeciągnął dłonią po swych ciemnorudych włosach.

- Teraz to już i tak nie ma znaczenia. Pokażę wam, co możecie zrobić ze swoim zainteresowaniem i troską o mnie. Oo, tak...

Dziwny, przerażający grymas ponownie wykrzywił mu usta.

- Wszystkich was zadziwię.

Instykt jeszcze raz podpowiedział Margery, żeby się nie posuwała za daleko.

- Ian, czy masz coś do jedzenia? – spytała niepewnym głosem, idąc w kierunku kuchni. – Jestem naprawdę bardzo głodna.

Twarz mu złagodniała, groźny wzrok stał się tak samo nieprzytomny jak w momencie, kiedy go zobaczyła w drzwiach. Wzruszył ramionami. To przypomina drgawki, pomyślała.

- Nie wiem. Zajrzyj do lodówki. Mam tu coś do zrobienia.

Poszedł w kierunku korytarzyka.

- Może chcesz, żebym ci coś ugotowała?

- Rób, co chcesz – odparł z roztargnieniem, po czym usłyszała, jak otworzył i zamknął jakieś drzwi na klucz.

Margery stanęła w połowie drogi do kuchni. Zostawił ją samą, ot tak, po prostu. Uwierzył, że przyjechała na Kretę sama.

Doznała uczucia wielkiego zawodu. Odszukała go, stała zaledwie kilka kroków od niego, ale to już nie był Ian. Z tą pustką w oczach, dziwnymi drgawkami i trzęsącymi się dłońmi, był kimś obcym. Czuła, że sprowokowany może być niebezpieczny. Mimo wszystko serce wzbierało w niej współczuciem.

Weszła do kuchni, zajrzała do szafek i do lodówki. Nigdzie nic do jedzenia. Czym on żyje? Pije tylko kawę? I co się dzieje za tamtymi zamkniętymi drzwiami? Powiedział, że ma coś do zrobienia. Z pewnością pracuje nad tym mikroblem. Co zrobi potem, kiedy doprowadzi do końca swój eksperyment? Ogarnęła ją przemożna chęć skontaktowania się z Warrenem. Ale jak ma to zrobić?

Na kuchennym stole, obok dzbanka na kawę i kubka ze skwaśniałym mlekiem, zobaczyła pęk kluczy. Wynajęty samochód! Wróciła do pokoju i spojrzała w ciemny korytarzyk.

- Ian! - zawołała. - Może pojedę na targ i kupię coś do jedzenia? - Czekala chwilę na odpowiedź. - Ian?

- Rób, co chcesz - doszedł ją wreszcie stłumiony głos zza zamkniętych drzwi. - Tylko zostaw mnie w spokoju.

Przez chwilę stała jeszcze niezdecydowana, ale po chwili wzruszyła ramionami i poszła po kluczyki.

Malia okazała się miastem większym, aniżeli Margery sobie wyobrażała. Znajdowały się w nim ruiny pałacu, drugiego co do wielkości po wspaniałym pałacu króla Minosa w Knossos. Były tak niepozorne, że w obecnym stanie ducha Margery byłaby ich nie zauważyła, gdyby nie drogowskaz w języku angielskim.

Obserwowała przechodniów. Mężczyźni w typie Greka Zorby mieli ciemne oczy, baryłkowate klatki piersiowe i berety na głowach. Wiele kobiet, często przygarbionych, sprawiało wrażenie wieśniaczek, ale nie brakowało typów nowoczesnych, o dynamicznych ruchach.

Pojechała na rynek, blisko centrum miasta, na którym sprzedawano ryby, z daleka dające znać o sobie charakterystycznym zapachem. W okresie zimowym warzyw nie sprzedawano na placu, tylko w sklepikach ciągnących się wokół rynku. Można tam było kupić także inne produkty spożywcze. Jak wszędzie, był tam również nieodzowny wielobranżowy dom towarowy. Margery zaparkowała samochód na jednej z pobliskich uliczek i poszukała budki telefonicznej. Ku jej

zmarwieniu książka telefoniczna wydrukowana była w alfabecie greckim. Na szczęście przypomniała sobie, że ma w torbie klucz do swego pokoju w hotelu, przy którym na plastikowym kartoniku przyczepiony jest numer telefonu hotelowego.

Warrena nie było w pokoju. Nie odpowiadał także telefon w pokoju Rose.

– Czy zostawi pani wiadomość?

Margery poprosiła o powtórzenie, że nazajutrz będzie o trzeciej na targu rybnym w Malia.

– Targ rybny – powtórzyła po raz drugi. – Zrozumiał pan?

– Tak, proszę pani. Ryby.

Powiesiła słuchawkę niespokojna, czy Warren na pewno otrzyma tę wiadomość. A jeżeli otrzyma, to czy z niej coś zrozumie?

Po zrobieniu zakupów wróciła do samochodu i odjechała, kierując się na zachód od centrum. Po drodze rozmyślała o swojej sytuacji, dziwiąc się przede wszystkim, co ją skłoniło do tego, żeby polecieć do Atlanty. Czyżby już wtedy była zakochana w Warrenie? Czy zwariowała?

Posłużył się nią i okłamał. Zdradził także miłość Rose, jakkolwiek była to miłość szalona. Gdyby choć jedno z nich zaprzeczyło zarzutom Morty'ego! Ale czy może wyjść coś dobrego z wiecznego rozmyślania nad tymi sprawami?

Wjeżdżając na podjazd prowadzący do domku Iana, Margery zadała sobie pytanie, czy warto było angażować się w tę aferę. Prowadziłaby teraz spokojnie wykłady, przyjaźniłaby się z profesorem Ricktersem... Och, z pewnością byłaby samotna, jak zawsze, ale przynajmniej w zgodzie z samą sobą.

Kiedy z lekkim niepokojem wyciągnęła z samochodu torbę z zakupami, przyszło jej na myśl, że może lepiej było zostawić prośbę, żeby Warren przyjechał natychmiast.

Ale co by się stało, gdyby wtedy zaskoczony Ian spowodował jakiś wypadek z tym mikroblem? Czy uśmierciłby tylko ich troje, czy dramat dotknąłby całą Krete? Czy można ogarnąć wyobraźnią tę całą sprawę?

Odkładając zakupy, drżała na całym ciele. Cokolwiek zrobi Warren, jakkolwiek zachowa się zobaczywszy Iana, musi być bardzo, ale to bardzo ostrożny.

Weszła do korytarzyka.

- Ian? Ian, wróciłam. - Zapukała do drzwi. - Jesteś tam?

- Margery, jestem zajęty.

Usłyszała brzęk szkła - próbówki? Odwróciła się i poszła do kuchni. Musi przecież kiedyś stamtąd wyjść.

Pokazał się dopiero o dziesiątej wieczorem. Wyglądał na wyczerpanego, był niespokojny. Margery zdecydowała, że lepiej nic nie mówić. Po prostu postawiła przed nim to, co ugotowała. Była to baranina w jarzynach, która niezbyt się udała, ale Ian nawet tego nie zauważył.

- Wyglądasz na zmęczonego - rzuciła siedząc naprzeciw niego.

Skinał potakująco głową i przetarł oczy drżącą dłonią.

- Musisz tak dużo pracować?

Podniósł głowę. Boże, te nieprzytomne oczy były jak dziury w ścianie! Patrzyło się na nie i widziało tylko pustkę.

- Już prawie koniec - powiedział znużonym głosem. - Jeszcze dzień, może dwa.

- Skończone?

- Nie przejmuj się. Zresztą lepiej, żebyś nie wiedziała.

- Jak chcesz - powiedziała łagodnie. - Ale gdybyś chciał o tym porozmawiać...

- Mówiłem, Margery. Och, ile i jak mówiłem! Tylko nikt mnie nie słuchał.

Nie odzywała się więcej. Wstała i zmyła talerze. Kiedy wytarła ręce, spytała:

- Może chciałbyś odetchnąć świeżym powietrzem? Może pójdziemy na spacer?

Pokręciła głową i odszedł, zostawiając ją z wilgotnym ręcznikiem w rękach. Usłyszała, jak drzwi laboratorium otwierają się i zamykają.

Znacznie później uniosła głowę znad książki, którą z sobą przywiozła. Usłyszała otwieranie drzwi, rzuciła okiem na zegarek. Wpół do drugiej, Ian wszedł do pokoju. Wydał jej się groźny, kiedy stanął przy niej i patrzył bez słowa zaczerwienionymi oczami. Wstrzymała oddech.

- Myślałem, że śpisz - powiedział znużonym głosem.

- Czytałam. - Pokazała mu książkę.

Pokiwał głową.

- Sypialnia znajduje się na lewo.

- Sy...pialnia?

- Tak, Margery. Sypialnia. Nie możesz przecież spać tutaj.

- Ale, Ian... ja...

Coś zapaliło się w jego oczach, błysk dawnego Iana MacLarena, którego poznała i prawie pokochała sto lat temu.

- Boisz się?

- Nie - powiedziała niemal bez tchu. - Oczywiście, że nie.

- No to chodźmy.

Z bijącym sercem ruszyła za Ianem do sypialni. Przypominała sobie wszystkie wycytane ongiś w książkach wymówki, zdając sobie sprawę z tego, jak śmiesznie każda z nich musiała brzmieć w uszach mężczyzny. Ból głowy? Absurd. Okres? Śmiechu warte. Co będzie, jeżeli jej dotknie...

Przedłużała pobyt w łazience w nieskończoność. Kiedy wreszcie weszła do pokoju, Ian nie spał. Patrzył na nią.

- Zgaszę światło.

- Dziękuję.

Wsunęła się do podwójnego łóżka, starając się leżeć na samym brzeżku, jak najbliżej drzwi. Jeśli dojdzie do najgorszego, może uciekać i próbować gdzieś się ukryć.

Ale Ian pocałował ją w czoło i odwrócił się na drugi bok. Prawie natychmiast usłyszała lekkie chrapanie, przerywane od czasu do czasu drgnięciem całego ciała.

Leżała nieruchomo i szeroko otwartymi oczami patrzyła w sufit. Modliła się, żeby Ian się nie obudził. Na czarnym prostokacie sufitu widziała wyraźnie tylko jeden obraz – Warren i Rose. Gdzie teraz są? Czy Morty odleciał? Jeśli tak, to czy zabrał Rose?

Czy Warren i Rose są sami w swoich pokojach? Czy może razem?

Leżała sztywno. Bała się poruszyć, bała się oddychać, drżała na całym ciele z napięcia, strachu i wyczerpania. Co będzie jutro? Jak się zachowa Ian? Czy Warren przyjedzie na rynek? Boże, jaka czuła się opuszczona, jaka przestraszona.

Pytania bez końca cisnęły się jej do głowy i nie znajdowała na nie odpowiedzi. Jedynym dźwiękiem, jaki rozbrzmiewał w pokoju, był udręczony oddech Iana.

15

- Proszę, Morty, przestań – płakała Rose.
- Warren z trudem zachowywał spokój.
- Czy nie moglibyśmy stąd wyjść i porozmawiać?
- Nie mam zamiaru z nim rozmawiać. – Morty odwrócił się i ciężkim krokiem wytoczył się z jadalni.
- Niech go diabli wezmą – zaklął półgłosem Warren. – Niech idzie, jest kompletnie pijany.
- To moja wina. – Rose opadła na krzesło. – To ja doprowadziłam go do tego.
- Słuchaj – powiedział Warren – nie ma tu niczyjej winy. Nic nie zrobiliśmy i niech mnie diabli wezmą, jeśli miałbym się tłumaczyć ze śmiesznych zarzutów. – Położył rękę na policzku.
- Mój Boże! – zawołała Rose. – Twoja twarz!
- Nic mi nie jest – powiedział zirytowany.
- Dlaczego ona nie zostawi go w spokoju? Czy nie zdaje sobie sprawy z tego, że powinna się zająć Mortym?
- Skoro tak twierdzisz... – Zamilkła na chwilę. – Warren, nie mogę teraz zdobyć się na to, żeby zostać z nim sam na sam.
- Lepiej będzie, jeśli się na to zdobędziesz. Jest zupełnie wytrącony z równowagi.
- Ale to nie takie proste. Morty i ja... no...
- Nie chciał słuchać jej zwierzeń. Chciał poszukać Margery. Gdzie mogła pójść? Do swojego pokoju? Czy na spacer? Jak jej powiedzieć, że jego i Rose nic nie łączy? Czy powinien się przyznać do tego jednego razu? Czy zrozumie i uwierzy? Musi ją przekonać. Może już dawno powinien był powiedzieć jej całą prawdę?

- To małżeństwo było pomyłką - mówiła Rose - Kiedy spotkałam Morty'ego, byłam... chciałam się zemścić... Warren.

Szukała wzrokiem jego spojrzenia. Warren czuł się okropnie.

- Wydaje mi się, że nie chcesz tego słuchać.

- Tak. To naprawdę nie są moje sprawy - Wypił łyk wody. Niech to licho porwie! - Myślę, że powinnaś natychmiast poszukać Morty'ego.

Ale Rose nie miała zamiaru tego słuchać.

- Nie jestem pewna, co będzie z Mortym i ze mną. On chce mieć dzieci, a ja nie zrezygnuję z kariery zawodowej. Właściwie sama nie wiem, czego chcę.

- Czas wszystko rozwiąże - wymamrotał Warren, skrepowany. Na studiach powinien był poświęcić więcej uwagi chorobom psychicznym.

- Niezła rada, ale trudno ją wprowadzić w życie.

- Hm.

- Czy mogę o coś zapytać? - wyjąkała drżącym głosem. Widać było, że znowu jest bliska łez.

- Wiesz, ja... No, dobrze.

- Czy zależy ci na mnie?

- Oczywiście, że tak. Co za grupie pytanie. Na Boga, gdzie może być Margery?

- Czy kochasz Margery? - spytała po chwili.

Szybko rzucił wzrokiem dookoła, jak gdyby zamierzał uciec.

- Rose... Myślę, że powinniśmy stąd wyjść.

- Przestań się wykręcać. Proszę cię, to było poważne pytanie.

- Nie wiem. Co więcej, nie wiem, co to jest miłość. Może mnie na nią nie stać. - Podniósł się niecierpliwie.

Dlaczego, do cholery, Margery poszła gdzieś sama? Jest mu przecież potrzebna.

- Chodźmy, Rose. Musimy uspokoić dwie osoby.

Morty'ego nietrudno było znaleźć. Siedział na kamiennych schodkach przed hotelem, zapatrzony w przestrzeń. O jego nogi ocierał

się kot, najchudszy, jakiego Warrenowi zdarzyło się widzieć. Morty głaskał go, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

Co ma właściwie powiedzieć Morty'emu? Czuł, że w gardle mu zaschło. Zszedł na dół do ostatniego stopnia, żeby spojrzeć Morty'emu w twarz. Rose nie odstępowała go na krok.

- Posłuchaj. - Odchrząknął i wsunął ręce do swoich przepastnych kieszeni. - Posłuchaj, Morty, chciałbym... chciałbym cię... przeprosić.

Ależ to było trudne! Musiał się powstrzymać, żeby nie pocierać szczęki.

Morty zdecydował się podnieść oczy.

- To ja powinienem cię przeprosić - powiedział cicho. - Nie miałem prawa rzucać się na ciebie. Chyba wczoraj wieczorem wypłem na lotnisku o jednego za dużo. Właściwie, dzisiaj rano.

- Rozumiem - mruknął Warren i spojrzał spod oka na Rose. - Musisz wiedzieć, że między Rose i mną... nic nie było. Naprawdę. Przykro mi, że mogłeś myśleć inaczej.

Urwał. Skoro powiedział już tyle, równie dobrze może do-kończyć.

- I jeszcze jedno. - Szukał wzrokiem jakiegoś punktu, na którym mógłby go zatrzymać, i ostatecznie utkwił go w siwiejącej, rozczochranej głowie Morty'ego. - Ja... hm... Margery i ja... - Widział, jak Rose sztywnieje. - Margery i ja... mamy romans - wykrztusił z trudnością. - Więc, jak widzisz...

Morty tępo patrzył przez chwilę na Rose, po czym zwrócił się do Warrena.

- Mówisz prawdę?

- Tak.

Morty objął głowę rękoma i palcami przeczesał włosy.

- Ależ jestem osioł.

- No nie, Morty, bo Rose i ty... Ona, jak sędzę, chciała, żebyś się tu pojawił.

Coś takiego! Warren Yeager w roli psychologa od spraw małżeńskich!

Morty podszedł do żony, ujął ją za rękę i ze szczerym wyrazem twarzy powiedział

- Przepraszam, Rosie.

Rose była blada jak ściana.

- Ja też cię przepraszam. Nie powinnam była...

W tym momencie kot zaczął miauczeć domagając się pieśczoł i Warren wykorzystał tę chwilę, żeby się wreszcie wycofać. Biegł na górę po dwa stopnie na raz, stanął przed drzwiami Margery i zapukał. Cisza. Zszedł wobec tego na dół i, żeby się nie natknąć na Rose i Morty'ego, wyszedł z hotelu bocznymi drzwiami. Przez jakiś czas krążył uliczkami w nadziei, że spotka Margery.

Po powrocie zapukał do drzwi Rose. Był zrozpaczony, nie wiedział, co robić dalej. Rose otworzyła natychmiast. Oczy miała podpuchnięte, ale była spokojna.

- Warren, Morty właśnie zasnął - powiedziała zmieszana!

Musiał więc czekać do lunchu, póki Rose i Morty nie zeszlą wreszcie do jadalni. Morty był blady i z niechęcią patrzył na karafkę z retsiną. Rose uśmiechała się nerwowo i co chwila dotykała ramienia męża. Warren zaś, pochłonięty swoimi problemami, zupełnie nie wykazywał zainteresowania ich sprawami.

- Do licha - mruzczał pod nosem. - Gdzie ona mogła pójść?

- Pewnie niedługo wróci. Może robi zakupy, albo zwiedza miasto.

- Margery nie robi zakupów.

- Rose mówiła mi, że dała ci adres tego MacLarena. Może pojechała do niego? - zapytał Morty.

W głowie Warrena zawyła syrena alarmowa.

- Nie sędzę - powiedział lekko zaniepokojony. - Nie zdążyliśmy się zastanowić, jak ma podejść MacLarena. - Wstał i zaczął krążyć wokół

stolika. – Nie postąpiłaby tak lekkomyślnie. Jest na to zbyt zrównoważona. Nie...

Poczuł na ramieniu rękę Rose.

– Warren, w czasie tego... nieporozumienia przy śniadaniu widziałam, że była bardzo zdenerwowana. Kto wie, może zdecydowała się tam pojechać...

Warren zachmurzył się.

– Nie. Wykluczone. On jest przecież niebezpieczny.

– Ale jej nic nie robi – upierała się Rose. – Mówiłeś mi przecież... – Zaczzerwieniła się i spuściła oczy. – Chyba mówiłeś mi, że między nimi coś było?

Warren poczuł się tak, jak gdyby dostał bolesny cios. Morty obrzucił go spojrzeniem i gwizdnął.

– To się staje coraz bardziej skomplikowane – powiedział cicho.

– Ale czy nie tego oczekiwałeś od niej? – zapytała Rose. – To znaczy, czy nie z tego powodu tu się znalazła?

– Tak... ale... ale nie w ten sposób. Mieliśmy obmyślić strategię – jękał się Warren.

Kartkę, którą Margery wsunęła pod jego drzwi, znalazł dopiero po południu. Natychmiast pobiegł do pokoju Rose.

– Mój Boże, ona jest u niego! – zawołał wpadając jak burza.

– Uspokój się. – Rose szczerzej otuliła się szlafrokiem. – Jestem pewna, że nic się jej nie stało.

– Jesteś pewna? Jak możesz być pewna?

– Może jednak Warren ma rację – zaczął Morty wyłaniając się z łazienki. – Coś jej jednak może zagrażać?

– Oczywiście! – Warren był zdenerwowany. – Zadzwoń po taksówkę i natychmiast tam jadę.

– Weźmiemy mój samochód. Odłóż słuchawkę, tylko coś na siebie włożę. – Morty znów zniknął w łazience.

– Jaki twój samochód? – zawołała za nim Rose.

- Wynająłem go na lotnisku, dziś rano.
- Na naszą kartę kredytową?
- Noo... tak.

W tym momencie Warren wymknął się z pokoju. Postanowił, że poczeka na nich na dole.

Kiedy przechodził obok recepcji, usłyszał głos recepcjonisty.

- Doktorze Yeager, wiadomość dla pana.

Warren wziął do ręki żółtą karteczkę, szybko przebiegł ją wzrokiem i zdenerwował się. Znowu po grecku!

- Nie potrafię tego odczytać.
- Och, przepraszam, panie doktorze. Tu jest napisane, żeby się państwo spotkali na rynku.
- Dzisiaj?
- Jutro. Jutro o trzeciej na targu rybnym.
- Na targu rybnym, ale gdzie?
- W Malia, panie doktorze.

Warren powlókł się w kierunku schodów, mnać kartkę w dłoni. Jego ofiarny plan ocalenia Margery został przekreślony w jednej chwili. Więc pojechała do Iana i, choć z bólem, musiał przyjąć do wiadomości, że widocznie nie jest jej źle z byłym... kochankiem. Powinien był się tego domyślić.

Obudził się gwałtownie. Przetarł oczy i siadł na łóżku sztywno wyprostowany. Ciągle miał w oczach scenę ze snu: Margery i Ian spleceni w miłosnym uścisku, twarze tchnące ekstazą, ręce błądzące po nagiej skórze. To tylko sen, pomyślał i spróbował się roześmiać. Zapalił nocną lampkę i spojrzął na zegarek. Czwarta rano. Obiema rękami przegarniał włosy. No tak, już nie zaśnie.

Jak to się stało, że wszystko przybrało tak fatalny obrót? Odkąd Greg przysłał mu tego mikroba, nic nie układało się jak trzeba. Jego świat jak gdyby zachwiał się w posadach. Wstał i powlókł się do

łazienki, spoglądając po drodze na biurko, na którym wraz z kilkoma monetami leżała zgnieciona kartka z wiadomością od Margery, jego kieszonkowy nóż i portfel.

Spuścił wodę w toalecie i spojrzął w lustro, kładąc rękę na nie ogolonej szczęce z widocznym siniakiem. Wszystko wymyka mu się spod kontroli od chwili niespodziewanego przyjazdu Morty'ego.

Przyjazd Morty'ego...

Skulił się w sobie. Obaj zachowali się jak idioci i cała ta ohydna scena przyprawiała go o mdłości. Ale czuł się jeszcze gorzej, kiedy pomyślał o Margery. Ciągłe na nowo widział ją w wyobraźni z MacLarenem, jako kochanków. Zdawał sobie sprawę, że popełnił błąd. Właściwie popchnął ją na powrót w ramiona MacLarena.

Czy spali... razem? Czy może w tym momencie tulą się do siebie? Czy aksamitna dłoń Margery gładzi go po plecach?

- Cholera!

A może jest inaczej? Może związał ją i uwięził w tym domu na odludziu? Ale w takim razie, jak jej się udało przesłać mu wiadomość?

Nie, zdecydował z bólem. To jasne, że dobrze jej z MacLarenem.

Zastał Rose i Morty'ego przy śniadaniu w tej samej jadalni, w której wczoraj wybuchiła awantura. Zamówił tylko mocną kawę, nie czuł głodu.

- Jadę zaraz do MacLarena - oświadczył zdecydowanie.

- Posłuchaj - odezwał się Morty. - Nie sądzę, żeby to było mądre. Rozumiem twój niepokój, ale jechać na pertraktacje, kiedy nie masz jasnego obrazu...

- Wszystko mi jedno, do cholery.

Rose pochyliła się nad stołem.

- Warren, Morty ma rację. Jeśli pojawisz się tam niespodziewanie, MacLaren może wpaść w panikę. Możesz narazić Margery na jeszcze większe niebezpieczeństwo.

- Więc co mam robić? Czekać tu do trzeciej?

- Musisz. Jesteśmy już tak blisko końca, że nie ma sensu teraz wszystkiego ryzykować.

- No dobrze. Ale jeżeli nie będzie jej o trzeciej na targu, pojedę do niego.

Wypił dwie filiżanki kawy i trochę się uspokoił.

- Chcieliśmy ci z Mortym o czymś powiedzieć - zaczęła Rose po śniadaniu. - Zdecydowaliśmy się na wizytę w poradni rodzinnej po powrocie do domu.

- To dobrze - wymamrotał w odpowiedzi, zastanawiając się, jak ta wiadomość ma pomóc w jego udreće.

Dla zabicia czasu jeździli po okolicy, oglądając co się dało. Na koniec zwiedzili starożytny pałac króla Minosa w Knossos, tuż pod Iraklionem.

Widoczna tu była wielka duma i staranie, aby zachować jak najwięcej z tego, co jeszcze zostało z pałacu po czterech tysiącach lat. Warren jednak nie dostrzegł piękna tego miejsca.

- Słuchaj, Morty. To wszystko jest wspaniałe, ale czy nie powinniśmy już jechać?

- Dopiero w pół do drugiej. - Rose przestąpiła niski, kamienny murek i wyciągnęła szyję.

- Morty, chodź, popatrz. Sala tronowa!

Morty dołączył do niej.

Warren chodził tam i z powrotem zaciskając zęby.

- Może już pojedziemy?

Dopóki nie zostawili za sobą łagodnych wzgórz otaczających Knossos, Warren nie mógł się uspokoić. Tyle rzeczy obejrzał tego dnia na Krecie, ale przed oczami miał tylko jeden obraz - Margery. Niemal jak na jawie widział jej jasnoblonde włosy rozwiane przez morski wiatr, chwytające złote błyski słońca, jej niezwykle przejrzyste oczy, jasnoniebieskie z ciemniejszymi obwódkami wokół tęczówek. Jej ciepły,

nieśmiały uśmiech, jej subtelną i delikatną kobiecość. Podobał mu się nawet jej chód: uważny, niepewny, wprost piękny.

Jak mogła go zostawić i pojechać, ot tak sobie, do MacLarena! Z bólem w sercu spoglądał na uliczki miasteczka, gdy krążyli w poszukiwaniu rynku.

Morty zaparkował samochód.

- Czy chciałbyś, żebyśmy poszli z tobą?

- Wolałbym porozmawiać z nią bez świadków. - Nie uszedł jego uwagi nagły grymas twarzy Rose.

Znalazł targ rybny. Spojrzał na zegarek. Za kilka minut trzecia. Czekał niecierpliwie, zły i nieszczęśliwy na przemian. Dostrzegł Margery na długo, zanim ona zobaczyła jego, ale stał jak skamieniały. Była jeszcze ładniejsza, aniżeli pamiętał, kiedy tak szła między przekupniami, omijając stragany z krewetkami i stosami ryb. Rozglądała się uważnie na boki. Odchrząknął i podniósł rękę, która mu lekko drżała.

- Jestem tutaj!

Odwróciła się i zobaczyła go. Pomyślał, że oprócz wyraźnej ulgi, w jej twarzy dostrzegł jakby smutek. O czym myślała?

- Dzień dobry, Warren - powiedziała, zbliżając się do niego.

- Dzień dobry, Margie! - Z bliska spostrzegł, że jest zmęczona i blada. - Dobrze się czujesz?

- Tak, nic mi nie jest.

Dlaczego nie chce mu spojrzeć w oczy?

- Miałaś jakieś trudności z wyjściem z domu?

- Nie. - Zaczęła się wycofywać poza stragany, na obłany popołudniowym słońcem rynek. - Cuchnie tu. - Wzruszyła ramionami.

- MacLaren pozwala ci wychodzić, kiedy chcesz?

Potwierdziła skinieniem głowy.

- Myśli, że przyjechałam sama.

- Co zrobiłaś, żeby go o tym przekonać? - zapytał Warren nierozważnie.

Margery zeszywniała, jak gdyby ją uderzył. Więc dobrze, będzie bardzo uważał.

- Miałem tylko na myśli...

- Wiem, co miałeś na myśli. Nie mówmy o tym, dobrze?

Nie była to ta sama Margery, którą znał, którą trzymał w ramionach i kochał. To była królowa lodu. Może powinien jej zaraz wytłumaczyć, że tamto zajście z Mortym było jednym wielkim nieporozumieniem...

- Ian pracuje nad tym mikroblem - zaczęła Margery.

Warren zmuszał się, żeby słuchać i rozumieć. Mikrob. Tak. Poczul ściskające mu gardło dobrze znane podniecenie.

- Tak zwyczajnie, w twojej obecności?

- Nie. Używa do tego drugiej sypialni.

- Czy wydostałaś coś z niego? Coś na temat jego kontaktów, czy coś z tych rzeczy? Pertraktacji w sprawie mikroba?

- Nie. Nic nie mówi, tylko pracuje.

Druga sypialnia, pomyślał Warren. Gdzie Margery spała tej nocy? Z trudnością opanował zdenerwowanie. Czy odważy się teraz ją o to zapytać?

- Margery - powiedział łagodnie, zmuszając ją, żeby na niego spojrzała. - Czy on ci czegoś nie zrobił?

- Widzisz przecież, że jestem cała i zdrowa.

Skierowała się z powrotem ku straganom i zaczęła oglądać, różne błyskotki, biżuterię z muszelek i ręcznie tkane wełniane dywaniki.

- Czy ci się nie narzucał, Margery? - Zdawał sobie sprawę ze swego wzburzonego głosu, ale nawet nie próbował tego ukryć.

Spojrzała na niego chłodnym wzrokiem.

- A gdyby tak było, co byś zrobił?

- Jak możesz o to pytać! - Chwycił ją za rękę. - Myślisz, że się z tego cieszę? Ulotniłaś się wczoraj i uciekłaś do MacLarena! Nie prosiłem cię o to!

Próbowała wyrwać rękę.

- Naprawdę? Czy nie o to przez cały czas chodziło? Niech Margery zbliży się do niego pierwsza - ona wie, jak z nim rozmawiać!

- To było przed...

- Przed czym? Przed naszą wspólną podróżą? Przed przylotem Rose? - Wydawało się, że z jej oczu sypią się okruchy lodu, kłujące jak żądla. - Puść moją rękę.

Warren usłuchał.

- Margery... Margie.

- Idę już, Warren. Postaram się zrobić, co tylko będę mogła, żeby się dowiedzieć, co Ian naprawdę zamierza. W jakiś sposób dam ci znać.

- Nie chcę, żebyś tam wracała! - zawołał. - Margery!

Ale Margery zniknęła za rogiem i już jej nie widział. Długo jeszcze stał w tym samym miejscu. W głowie miał zamęt, czuł się zraniony i zagubiony. W końcu tak energicznie włożył ręce do kieszeni, że rozpruł w jednej szew. Zaklął i szybkim krokiem ruszył w kierunku samochodu Morty'ego.

Margery z bolącym sercem rozstawała się z Warrenem. Czy spostrzegł, jaką toczyła ze sobą walkę? Gdyby powiedział chociaż jedno miłe słowo i uczynił choć jeden ciepły gest, padłaby mu w ramiona i odjechała z nim.

A on tymczasem chwycił ją ze złością za rękę, oskarżał, podejrzewał i obwinił. Czy nie rozumiał, że to z powodu jego zachowania pojechała do Iana? Czy naprawdę nie chciał, żeby wracała do Iana? Czy może przemawiała przez niego złość i zraniona duma?

Krajobraz drżał i skakał jej przed oczami, zniekształcony łzami cisnącymi się uparcie do oczu. Zastanawiała się, jak długo wytrzyma u

Iana, nie zdradzając się. Jaki ma przyjąć plan działania? Czy ma próbować nakłonić go, żeby dał za wygraną? Czy może powinna zatelefonować do Warrena z prośbą, żeby przyjechał w nocy i wpuścić go do domu? Czy ma gdzieś poza domem zastawić na Iana pułapkę? Co ma robić?

Zatrzymała samochód pod domem, ostatni raz wycierając łzy. O Boże! Zapomniała o zakupach! Ian może coś podejrzewać, zorientuje się, że zakupy to tylko pretekst. Będzie musiała coś wymyślić. A może siedzi w swoim pokoju i nawet nie zauważy...

Ale sztuczny uśmiech zniknął z jej twarzy, kiedy po wejściu do pokoju zobaczyła siedzących z Ianem dwóch dziwnych mężczyzn. Mieli wprawdzie ciemne włosy i czarne oczy, ale najwyraźniej nie byli Grekami. Byli także nieco dziwnie ubrani. Ze zdumieniem zauważyła wypolerowane, europejskie półbuty o spiczastych noskach.

Spróbowała się jednak uśmiechnąć. Kim oni są? Jak się tu dostali? Nigdzie nie widziała samochodu.

- Kim są twoi przyjaciele, Ian? - zapytała lekkim tonem.

Obaj mężczyźni obserwowali ją obojętnie.

- Nie musisz wiedzieć, jak się nazywają, Margery - powiedział Ian pospiesznie, po czym wstał i podszedł do niej.

Zdziwiło ją, że mężczyźni zachowywali się tak, jak gdyby w ogóle nie dostrzegali jej obecności.

Ian ujął ją za łokieć i wyprowadził do korytarza.

- To są znajomi, którzy przyszli w interesie.

- Skąd oni są? Jak się tu dostali?

- Nie musisz tego wiedzieć. - Odniosła wrażenie, że przez zapadnięte oczy w twarzy Iana patrzy na nią ktoś zupełnie obcy, ktoś, kogo nigdy nie widziała, ani nie знаła.

- Ian, proszę. - Wyrwała rękę z jego uścisku i odwróciła się do niego twarzą. - Powiedz mi, co się tu dzieje! Mam prawo wiedzieć. Jechałam za tobą, postanowiłam z tobą zostać. Powiedz, proszę!

Ian rzucał niespokojne spojrzenia, wargi mu drżały. Sprawiał wrażenie człowieka, który nie jest w stanie zapanować nad swoimi ruchami.

- Są z północnej Afryki. Z jednego z tamtych państw. Zostaw nas samych.

Interesy. Północna Afryka. Sprzedaje im mikroba. Warren wszystko przewidział. Warren miał rację.

- Ian - zaczęła dramatycznym tonem - czy to... czy ty wiesz, co robisz? Czy jesteś pewny.

Wstrząsnęła nim gwałtowna furia. W oczach pojawiły się złe błyski. Margery cofnęła się, przestraszona.

- Czy jestem pewny? - zapytał chrapliwym głosem. - Czy jestem pewny? Margery, czy nie rozumiesz? To moja wielka szansa! Dobrze płacą za mój sekret. Pieniądze. O to właśnie chodzi! Będę miał pieniądze na wszystko!

- Ale to jest bardzo niebezpieczne. - Nie udawała już, że nic nie wie o mikrobie.

- Nigdy nie zrobią z niego użytku - powiedział z politowaniem. - Nigdy. Dla nich jest to tylko przedmiot przetargu w rozmowach politycznych.

- Ian, proszę...

Wyprostował się i spojrzał na nią. Była teraz w jego postaci jakaś tajemnicza siła, moc człowieka zaślepionego, potęga szaleńca.

- Będę miał pieniądze, Margery, i dokończę swoje badania. Nikt mnie teraz nie zatrzyma. Ani ten cholerny rząd, ani Warren Yeager. Ani nawet ty, Margery. Zostaw mnie. Mam sprawę do załatwienia.

Odwrócił się i odszedł.

- Ian, poczekaj! - krzyknęła - Nie rób tego. Są jeszcze inne sposoby. Proszę cię!

Nawet nie odwrócił głowy. Poszła za nim do saloniku i dotknęła jego ramienia.

- Ian, jeszcze raz porozmawiam o tobie w Ministerstwie Zdrowia. Jakoś sobie poradzimy! Nie możesz tego zrobić!

Nie słuchał jej.

Dwóch mężczyzn wpatrywało się w nią, ale nic sobie z tego nie robiła. Mocniej zacisnęła dłoń na jego ramieniu.

- Nie, nie możesz! Odeślij ich!

Ian szarpnięciem ręki uwolnił się od niej, nie zwracając uwagi na to, co mówi.

- Ian, jeszcze raz cię proszę...

Wtedy jeden z tych dwóch wstał i powiedział coś w obcym języku. Zbliżył się do Margery i mocno chwycił ją za rękę. Zmartwiła ze strachu.

- Ian - szepnęła bez tchu - powiedz mu...

Ale Ian jak gdyby jej nie słyszał.

Mężczyzna pociągnął ją w stronę korytarza. Potykała się, bolała ją ręka.

- Iść tam - powiedział łamaną angielszczyzną. - Doktor MacLaren robić z nami interes.

- Nie wolno wam tego robić! - Czuli, że zachowuje się śmiesznie, ale strach i złość były silniejsze. - Niech mnie pan puści! Doktor MacLaren jest moim przyjacielem.

Mężczyzna wepchnął ją do sypialni i spokojnie zatrzasnął drzwi.

Co robić? Nie odważyła się wyjść z pokoju. Usiadła na brzegu łóżka, roztrzęsiona. Ten mężczyzna. Oczy miał jak dwa węgle, usta jak purpurowa szrama na twarzy, ręce mocne, nieustępliwe. Zadrzała, przypominając sobie uchwyt jego żelaznych palców. Masowała bolące miejsce, jak gdyby chciała jak najprędzej zetrzeć ten dotyk.

Dochodziły do niej stłumione przez drzwi głosy. Mężczyźni mówili coś do Iana. Gdyby natężyła słuch, mogłaby zrozumieć poszczególne słowa. Położyła się na łóżku, podciągnęła nogi pod brodę i nasłuchiwała.

–...trzymać ją tutaj. Nie bójcie się. Nie będzie więcej przeszkadzać. Obiecuję. – Głos Iana.

– Kiedy mikrob?

– Dziś wieczorem. Spisuję ostatnie szczegóły. Probówki mam przygotowane. – Mówił głosem drżącym, ale zdecydowanym.

– Połowa pieniędzy jest na pana koncie w Zurychu. Reszta zostanie przekazana, kiedy mój szef przekona się o skuteczności tego mikroba.

– Oczywiście. Mam do panów zaufanie – pospiesznie powiedział Ian.

– Dzisiaj wieczorem – stanowczym głosem mówił jeden z Arabów. – Wrócimy tu o szóstej, najpóźniej.. Czy wszystko będzie przygotowane?

– Tak, tak. Z pewnością.

Drzwi frontowe otworzyły się i zamknęły. Margery bała się ruszyć. Naciskali go. Było jasne, że są tu nie pierwszy raz i że znecierpliwiło ich czekanie. Nic dziwnego, że Ian pracował bez wytchnienia, starając się doprowadzić hodowlę mikroba do perfekcji. Dziś wieczór, ostateczny termin. Mój Boże, co robić?

Musi zawiadomić Warrena, ale jak? Jaki znaleźć powód, żeby Ian uwierzył? Przyrzekł tym mężczyznom, że ona nie będzie się wtracać. Czy wyjść przez okno i ukraść samochód? Albo dojść pieszo do szosy i pojechać autostopem lub zatrzymać autobus? Czasu zostało niewiele. Było już po czwartej.

Usłyszała za drzwiami kroki, Ian już trzymał rękę na klamce. Wstrzymała oddech. Nie mogła oderwać oczu od drzwi. Otwierały się bardzo powoli, czarna szpara stawała się coraz szersza. Co on zamierza?

Czy jest naprawdę niebezpieczny?

Stanął w progu. Oczy – te obce, straszne oczy – były przekrwione, rozgorączkowane.

– Zachowałeś się bardzo nierozsądnie, Margery – odezwał się złowieszczo, postępując krok w jej kierunku.

16

Po późnym lunchu Morty zjechał pod hotel i odwrócił się do siedzącego na tylnym siedzeniu Warrena.

- Idźcie z Rose do hotelu, a ja poszukam parkingu.

W tej właśnie chwili Warren postanowił działać.

- Morty, możesz dać mi samochód?

Rose odwróciła się do tyłu z szeroko otwartymi oczami.

- Nie możesz tam jechać. Zepsujesz wszystko! Zdawało mi się, że ustaliliśmy...

- Rose, muszę pojechać. Margery nie powinna tam siedzieć tyle czasu. To ja odpowiadam za wszystko, nie ona.

- Działasz pod wpływem emocji, przestałeś myśleć - rzuciła Rose ostro.

- Rose - odezwał się spokojnie Morty - zostaw go w spokoju. Warren wie, co robi.

- Morty, nie wtrącaj się. To nie twoja sprawa - warknęła Rose.

W normalnych warunkach Warren byłby się jej podporządkował, dziś jednak był zbyt zdenerwowany, by ulec starym przyzwyczajeniom. Chciał się tylko ich pozbyć i zobaczyć Margery. Wysiadł z samochodu i stanął zniecierpliwiony przy drzwiach od strony kierowcy.

- Do diabła, Rose! - dobiegł go głos Morty'ego. - Przestań wszystkim rządzić. Jestem tu z wami i to jest także moja sprawa! - Morty wysunął głowę przez opuszczoną szybę i rzekł do Warrena: - Pojadę z tobą, może ci być potrzebna pomoc.

- Lepiej nie - odparł Warren. - Tu trzeba działać ostrożnie. Wystarczy jedna osoba. Gdyby MacLaren poczuł się przyciśnięty do muru... Nie mogę ryzykować i zjawiać się z całą armią.

Morty wysiadł z samochodu i wręczył Warrenowi kluczyki.

- Proszę. Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

- Ja też mam taką nadzieję - odparł Warren zaszepcując.

- Warren, może ja... - powiedziała Rose, nie ruszając się ze swojego miejsca.

- Nie, Rose - przerwał jej Morty stanowczo.

Warren niecierpliwił się, pragnąc jak najprędzej ruszyć w drogę. Pobrząkiwał kluczykami, chcąc tym ponaglić Rose. Kiedy wreszcie zdecydowała się wysiąść, przypuściła kolejną szarżę. Okrzykiwała samochód i położyła rękę na jego ramieniu, nie pozwalając mu otworzyć drzwi.

- Bądź ostrożny. - W jej dużych, piwnych oczach dostrzegł lęk. - Nie mogę znieść myśli...

Warren z premedytacją strząsnął jej rękę.

- Idź do Morty'ego - powiedział znużonym głosem. - Jesteś mu bardziej potrzebna niż mnie.

Wiedział, że ją rani, ale miał już tego powyżej uszu. Myślał tylko o tym, żeby wsiąść za kierownicę i jechać do Margery. Instynkt mu mówił, że coś się stanie.

- Morty - powiedział otwierając drzwi samochodu - jeżeli nie będzie mnie - tu spojrzął na zegarek - do ósmej, proszę, zawiadom policję. Opowiedz im wszystko. Niewiele wiem o policji greckiej, ale jeżeli powiesz, że porwano młodą Amerykankę, z pewnością zareagują.

- Dobrze. Do ósmej - przyrzekł Morty.

Ich oczy spotkały się na chwilę. Ależ on o wszystkim wie, pomyślał Warren w przebłysku olśnienia. Morty Freed wie od dawna, że jego żona pragnie innego mężczyzny, Morty widział, jak Warren nie zawsze zrećnie zachowywał się w tej sytuacji, a jednak chciał ją przy sobie zatrzymać mimo jej skomplikowanej psychiki, zaborczości i despotyzmu. Morty kochał Rose. Warren pojął nagle, że Rose nie może

odtrącić Morty'ego, pojął także, że on sam zdobył miłość kobiety i ją odtrącił.

Popołudnie było ciepłe, ale zauważył gromadzące się na horyzoncie chmury, które zbliżały się do wyspy. Kapryśne podmuchy wiatru pochylały drzewa, wzbijały kurz, który wirował w powietrzu, zanim wreszcie opadł na ziemię. Warren jechał z nadmierną szybkością, nie pozwalającą na podziwianie dzikiej urody krajobrazu wyspy. Pochylny nad kierownicą wyprzedzał ciężarówki i motocykle, niebaczny na niebezpieczeństwo.

Było już po szóstej, kiedy zaczęło się ściemniać. Nieco dziwne wydawało się, że mimo ciepłego powietrza słońce zachodzi tak wcześnie, ale w końcu jest styczeń. To dobrze, pomyślał Warren. W razie konieczności zmrok będzie jego naturalną zasłoną przed MacLarenem.

Co się dzieje teraz z Margery? Czy okłamywanie MacLarena przychodzi jej z trudem? A może dobrze jej z nim? Zna MacLarena dłużej niż jego, Warrena. Czy byli ze sobą blisko, czy łączyła ich namiętność? Nie mógł sobie wyobrazić Margery z innym mężczyzną, nie mogła być taka sama z MacLarenem jak z nim. Nie, nigdy w to nie uwierzy.

Starał się nie przeoczyć polnej drogi. W świetle reflektorów samochodu dostrzegł wreszcie drogowskaz z napisem, który porównał z tym, co miał na kartce. Tak, to tu. Jak daleko od szosy jest dom? Psiakrew, powinien był zapytać o to Margery. Bojąc się podejźdzać za blisko w obawie, żeby go nie zobaczył bądź usłyszał MacLaren, zatrzymał samochód w krzakach, zarysowując przy tym karoserię. Nieważne, pomyślał. Wysiadł i ruszył pod górę.

Niebo było granatowe, podbite purpurą, między ciemnostalowymi chmurami połyskiwało kilka gwiazd. Drzewa wokół kołysały się i zginały na wietrze. Między uderzeniami wiatru słyszał szum morza i odgłos fal uderzających o brzeg. Chyba już blisko.

Przystanął. Przez gałęzie drzew dostrzegł światło w miejscu, gdzie droga skręcała w prawo. Kuląc się między krzakami, ruszył w tamtym kierunku i szybko dotarł do domu – niewielkiego, pobielonego bungalowu pokrytego dachówką.

Zbudowano go na samym skraju występu skalnego. Przed frontowymi drzwiami chwiała się na wietrze palma. W oknie niedaleko drzwi paliło się światło, przy bocznej ścianie domu stał samochód.

Warren był zadowolony, że odnalazł dom Iana, ale wciąż rosło w nim napięcie. Co ma teraz zrobić?

Czy wejść bez pukania, na wszelki wypadek trzymając w pogotowiu scyzoryk? Czy próbować dać znać Margery, że tu jest, i porwać ją niepostrzeżenie? Może zamknąć gdzieś MacLarena? Do licha, co on tu robi, skradając się między drzewami i obmyślając strategię uwolnienia Margery? Jest przecież doktorem medycyny, naukowcem, a nie bohaterem marnych powieścideł.

Ale w tym domu znajduje się Margery.

Przystanął i ostrożnie podszedł do bungalowu od strony samochodu. Okazało się, że w ścianie, pod którą stał samochód, dom nie ma drzwi ani okna. Niech to szlag! Przykucnął i nisko pochylając głowę przemknął obok drzwi frontowych, instynktownie przeczuwając, że nie powinien się spieszyć z wejściem do środka.

Poszedł zobaczyć, jak wygląda sytuacja od strony stromej cypla. Mimo ciemności dostrzegł krętą, biegnącą w dół ścieżkę i mały pomost z zacumowaną zdumiewająco dużą łodzią. Czy ta łódź należy do wyposażenia bungalowu?

Spojrzał w górę na ścianę domu od tej strony. Surowy, nierówno położony tynk i dwa niewielkie okienka. Jedno z nich, dalsze, wychodziło na morze. Próba dostania się tam oznaczałaby samobójstwo. Natomiast pod tym bliższym, między ścianą a urwiskiem, biegł wąski pas ziemi. Mógłby ostrożnie, krok po kroku, dotrzeć pod to okienko i próbować podciągnąć się do niego na rękach.

O mdłości przyprawiła go myśl, że mógłby przez nie zobaczyć Margery i MacLarena razem w sypialni. Głęboko wciągnął powietrze w płuca i zaczął ostrożnie posuwać się po wąskim skrawku ziemi. Silny wiatr szarpał jego ubraniem. Kiedy dotarł do okna, wyciągnął szyję i zajrzał do środka.

Było to laboratorium. Prowizoryczne, ale miało wyposażenie pozwalające na normalną pracę. Zobaczył probówki i szklane rurki, słoje z chemikaliami opatrzone napisami i różne papiery, takie jak teczki z dokumentacją i inne. Czy w tych warunkach udało się MacLarenowi doprowadzić swego mikroba do pełnej dojrzałości?

Przylepiony do ściany, z sercem tłukącym się jak u zwierzęcia, przesunął się do drzwi frontowych. Odważył się zajrzeć do oświetlonego okna obok drzwi, ale przez firankę niewiele widział. Usłyszał natomiast głosy.

Głosy.

Przesunął się trochę, tak żeby móc coś zobaczyć przez szparę w zasłonach. Profil MacLarena. Z brodą wyglądał inaczej, jakoś groźnie. Po drugiej stronie pokoju siedziało dwóch mężczyzn, dziwnych.

Jeden z nich coś mówił, ale szum drzew i huk morza zagłuszały słowa. Kim są ci dwaj?

Szybko pochylił głowę i przeczołgał się na drugą stronę okna. Zadrapał się o jakąś gałązkę, ale przez szparę mógł dostrzec drugą część pokoju.

Skurcz serca i pulsowanie w skroniach. Margery. Dzięki Bogu, nie się jej nie stało. Widział jednak, że jest blada i chyba przestraszona. Nerwowo obracała na palcu pierścione, patrząc kolejno to na obu cudzoziemców, to na Iana.

Co robić?

Było jasne, że mężczyźni ubijają z MacLarenem jakiś interes. Motorówka należała naturalnie do nich. Zmienił pozycję, żeby im się lepiej przyjrzeć. Arabowie, prawdopodobnie z północnej Afryki albo z

Bliskiego Wschodu. Tak jak przypuszczał. Zrobiliby wszystko, żeby dostać w swoje ręce straszną broń biologiczną, powodującą natychmiastową śmierć! Mogliby wtedy zachwiać równowagę sił na całym świecie.

Co robić?

Przykucnięty w narastających ciemnościach, szarpany przez podmuchy wiatru za rogiem domu, intensywnie myślał. W pewnej chwili uśmiechnął się wyzywająco i przekradł znów w kierunku morza, wyciągając po drodze szczyryk.

Okno laboratorium. Ciekawe, czy jest zamknięte? Czy zdoła je otworzyć? Jeśli wybije szybę, zaalarmuje wszystkich. Stał na palcach i podciągnął się do krawędzi okna. Oparty na łokciu, wsunął ostrze szczyryka między parapet i okno. Ostrożnie poruszał nim w górę i w dół, starając się za każdym razem wepchnąć ostrze głębiej. Co chwila musiał odpoczywać.

Była to praca denerwująca, posuwała się zbyt wolno. Nie ustawał jednak, póki nie wyłobilił dziury, w którą zapadła się żelazna zasuwka. Zsunął się na ziemię, żeby rozruszać omdlałe ręce, po czym znowu podciągnął się do okna. Było teraz ciemno choć oko wykol i trudniej było coś zobaczyć, ale udało mu się unieść zasuwkę tak wysoko, że odskoczył rygiel i okno otworzyło się do wewnątrz.

Podciągnął się na parapet. Ręce miał podrapane, rozdarł spodnie, ale przerzucił nogi do środka i powoli zsunął się na podłogę. Przykucnął pod ścianą, ciężko dysząc. Palce miał obolałe od podważania zamka.

Na szczęście, nikt go nie usłyszał. Zapalił lampkę na biurku i szybko zbierał notatki MacLarena, upychając je w jednej z kieszeni spodni. Następnie spojrzął na próbówki. Zainteresowały go te z żółtawym płynem, domyślał się, że to one zawierają mikroby. W pokoju były jeszcze tylko słoje z chemikaliami i dzbanek z wodą do picia. Nie odważył się niczego dotknąć, nie mógł przecież szukać pudeł, żeby

zapakować probówki. Niedobrze. Ale zabierze je, jak tylko uda mu się unieszkodliwić MacLarena.

Wyjął z metalowego stelaża dwie probówki, napełnił je wodą i zatkał gumowymi koreczkami. Nie było czasu, żeby płyn jakoś zabarwić, ale spróbuje trzymać je w rękach tak, żeby się to nie rzucało w oczy.

Usłyszał nagle stuknięcie i szybko podniósł głowę. Ktoś tu jest! Nie, to tylko okno uderzyło pod naporem wiatru. Dlaczego zostawił je otwarte! Ktoś może usłyszeć. Ostrożnie zamknął okno, wziął obie probówki i ruszył w kierunku drzwi. Nie wiedział dokładnie, co robi, ani co powie, ale jednego był pewien – nie wyjdzie z tego domu, dopóki Margery nie będzie bezpieczna.

Już wyciągał rękę do klamki, kiedy się poruszyła i drzwi otworzyły się szeroko. Tak szeroko i tak blisko niego, że musiał się cofnąć. Nie miał nawet czasu na to, żeby się przestraszyć, kiedy światło szeroką smugą wlało się do pokoju.

W progu stał nieruchomo Ian MacLaren, ciągle z ręką na klamce i z wyrazem takiego zdumienia na twarzy, że byłoby to aż komiczne, gdyby Warren miał czas to ocenić.

- Co? – MacLaren nie mógł złapać tchu. – Mój Boże, to Yeager.

- Tak, to ja – powiedział Warren, nagle dziwnie spokojny i całkowicie opanowany. – Koniec, MacLaren. Wiem wszystko o twoich małych przyjaciółkach, tych tutaj. – Podniósł do góry probówki, pobrzękując nimi MacLarenowi pod nosem.

- Nie! Nie rób tego, jedna kropla... Zabijesz nas wszystkich.

- Lepiej nas, aniżeli resztę świata. Przyłączmy się do reszty towarzystwa. Prowadź, MacLaren.

- Nie rozumiesz tego – powiedział śmiertelnie błady Ian. – Robię to wszystko dla dobra ludzkości. Moja praca naukowa...

Jego oczy gorączkowo przenosiły się z probówek na Warrena.

- Przepraszam, przyjacielu. W mojej książce na temat wojny biologicznej jest takie słowo: stop. Idziemy.

Ian odwrócił się i ruszył w kierunku pokoju, co chwila jednak odwracał głowę, żeby spojrzeć na Warrena, który w wyciągniętych rękach trzymał probówki. Są lepsze od pistoletu, pomyślał Warren. Chciało mu się śmiać.

Oczy obu Arabów skierowały się na wchodzącego Iana i za chwilę szeroko rozwarły na widok Warrena.

Margery skoczyła na równe nogi.

- Warren! - zawołała i znowu opadła na krzesło blada jak ściana, kiedy zobaczyła, co Warren niesie. Rozpaczliwie chciał jej powiedzieć, że wszystko w porządku, ale przecież nie mógł. Nie teraz. Teraz musiał tylko nie spuszczać z oka trzech mężczyzn, nie tracić zimnej krwi i zapanować nad nieprzepartą chęcią, żeby wziąć w ramiona Margery.

Dwaj przestraszeni Arabowie, szwargocząc coś przerażonym tonem, przesuwali się bokiem w kierunku drzwi. Byli bliscy paniki.

- Nie odchodźcie - błagał ich Ian. - On ich nie użyje. On tylko blefuje. Musimy dobić interesu.

Ale Warren napierał na nich nieubłaganie, potrzęsając probówkami. W jaką się wdał szaloną grę! Ż trudem hamował wybuch śmiechu.

Jego blef był skuteczny. Arabowie wycofywali się w kierunku drzwi z tak przerażonymi minami, jak gdyby Warren groził im granatem. W mgnieniu oka znaleźli się za drzwiami i pognali w dół do swojej motorówki.

- Yeager! - krzyknął MacLaren. - Na Boga, czy wiesz, co zrobiłeś?! - Twarz wykrzywił mu straszny grymas, dłonie miał zaciśnięte w pięści, ciało napięte.

Warren odwrócił się do niego twarzą, ciągle trzymając w wyciągniętej ręce swą broń.

- Wszyscy umrzemy, MacLaren, i po nas zapewne cała ludność Krety, chyba że twojego mikroba można unieszkodliwić działając na niego tlenem?

Ian stał w pozie szykującego się do walki boksera. Patrzył na nich obłąkanym wzrokiem, w kącikach ust pojawiła się piana. Z głębi gardła wydobywały mu się ponure pomruki. Podniósł ręce do góry i z palcami rozczapierzonymi jak szpony ruszył w kierunku Warrena. Pomruki zamieniły się w jeden potężny ryk, który przeszedł w wycie o tak wielkim natężeniu, że Warren cofnął się o krok. Nadal trzymał próbówki w górze, jak gdyby były krzyżem, a MacLaren szatanem.

Warren widział, że Margery znowu zerwała się z krzesła, ale całą uwagę musiał skupić na Ianie, który chwiejąc się stał przed nim i nie odrywał wzroku od próbówek.

- Wszystko skończone, MacLaren - oświadczył Warren spokojnie. - Policja jest w drodze. To koniec.

Banalne kłamstwo, ale może się okazać użyteczne. Musi w jakiś sposób zatrzymać tu MacLarena, żeby Margery mogła bezpiecznie wyjść.

- Kłamiesz - warknął MacLaren.

- Widzisz, spotkałem wczoraj na targu Margery. Opowie- działa mi o tobie i o twojej pracy. Tak się złożyło, że akurat teraz przebywają w Iraklionie przedstawiciele Centrum z Atlanty. Jak widzisz, nie ma sensu tego ciągnąć. Poddaj się, MacLaren. - Jeszcze jedno zniekształcenie prawdy, ale przecież Morty i Rose są pracownikami Centrum i w tej chwili istotnie przebywają w Iraklionie. Ian odwrócił głowę w kierunku Margery.

- Czy to....prawda?

Margery była bliska płaczu. Przerazona, wyczerpana i zdruzgotana. Warren pojął, że cierpi, bo MacLaren właśnie w tej chwili dowiedział się o tym, że go zdradziła. Ogarnął go gniew, przez moment czuł się nawet zraniony.

- Tak - wyszeptala. - To prawda, Ian. Poddaj się, proszę.

Wszyscy troje zamarli w bezruchu, Ian stał z oczami utkwionymi w Margery, Warren z próbówkami trzymanymi w górze, a Margery ocierała

z pobludłej twarzy ły. W pewnym momencie Ian opuścił ramiona. W tej chwili jego postać przypominała worek, z którego wysypuje się piach. Wyciągnął rękę i po omacku szukał krzesła. Opadł na nie i ukrył twarz w dłoniach.

- O Boże. Tak ciężko pracowałem. Nie chciałem rozwijać tej komórki, to był przypadek. Pracowałem nad wyodrębnieniem czynnika zapobiegającego koagulacji... Czysty przypadek.

- Ale wiedziałeś, że masz w rękach śmiertcionośną broń, kiedy Keith przypadkowo się z nią zetknął.

- To był przypadek - powtarzał Ian. - Przysięgam.

Oczy Margery i Warrena spotkały się nad pochyloną głową Iana. Margery wydawała się tak udęczone poczuciem winy, taka napięta, że Warren chciał natychmiast ją objąć, ukoić, powiedzieć, że się nią będzie opiekował. Niestety, zamiast tego ujął mocno rękę MacLarena.

- Idziemy, doktorze. Do sypialni.

- Co masz zamiar z nim zrobić? - spytała.

- Zamknąć go do czasu przybycia policji. - Unikał jej wzroku w obawie przed tym, co mógłby zobaczyć.

- Musisz to zrobić?

- Tak. Nie można mu ufać. Poza tym chcę mieć pewność, że jesteś bezpieczna, Margery.

Ian poszedł z Warrenem potulnie jak dziecko. Zaczerwienione oczy ciągle zachodziły mu łzami, a drgające nerwowo usta wykrzywiały nieopanowane grymasy. Nie powiedział ani słowa, kiedy Warren zapalił światło i sprawdzał, czy okno rzeczywiście wychodzi na urwisko. W końcu Warren zamknął drzwi na klucz i przyparł je krzesłem.

- No, na jakiś czas wystarczy - powiedział do siebie.

Następnie włożył próbówki z wodą do kieszeni, poszedł do laboratorium i zapakował resztę, te z żółtym płynem, do specjalnie zabezpieczonych pojemników. Odetchnął z ulgą, kiedy już się tam znalazły. W tych dwóch niewielkich pudłach zawierało się wszystko:

śmierć Jamie'ego Keitha i sens pościgu za MacLarenem: Dwa niewielkie, lecz jakże groźne pojemniki. Pomyślał, że w tej chwili najchętniej znalazłby się z nimi w swoim laboratorium w Atlancie.

Pozostała mu jeszcze Margery. Czekala w pokoju zmęczona i zdenerwowana. Wyprowadził ją na dwór i dał jej kluczyki do samochodu Morty'ego.

- Ukryłem go jakieś dwieście metrów stąd, przy drodze, po prawej stronie. Przyjedź tu i zabierz to - wskazał na pudła - a potem jedź do hotelu. Powiedz Morty'emu i Rose, żeby tu natychmiast przysłali policję. Ja przypilnuję MacLarena.

Margery spojrzała na kluczyki oszołomiona.

- To znaczy, że policja jeszcze o niczym nie wie? A ci przedstawiciele Centrum?

Uśmiechnął się.

- Małe kłamstewka. Zrobiły swoje.

- Istotnie.

- Idź już, Margery - ponaglił ją łagodnie.

Ale Margery się ociągała. Jej niebieskie oczy nadal szukały jego wzroku w ciemnościach, czekały na coś, czego, jak się ze smutkiem obawiał, nie mógł jej w tej chwili dać. Spuścił wzrok.

- Nie powinienem był pozwolić, żebyś do niego jechała. Nigdy sobie tego nie daruję.

- Nic się nie stało - odpowiedziała, ale wyczuł w jej głosie napięcie. Chciał ją przytulić, pocałować jej usta, usłyszeć jej szept. Wiedział jednak, że nie jest to odpowiednia chwila... Nie teraz. Odwrócił od niej głowę.

- Idź, Margery. Szybko.

Po chwili usłyszał dochodzący z ciemności odgłos jej kroków. Nawet kiedy już podjechała samochodem i układał ostrożnie na tylnym siedzeniu oba pudła, nie mógł się zdobyć na właściwe słowa. Nie

wiedział, jak miałyby brzmieć. Stojąc na wietrze szarpiającym na nim ubranie, bezwiednie wyjął z kieszeni dwie próbówki z wodą.

- Uważaj! - zawołała Margery.

- To tylko woda. - Wzruszył ramionami i wylał zawartość próbówek na trawę.

- To było... sprytnie - powiedziała siedząc za kierownicą. Próbowała się uśmiechnąć. - Myślałam...

- Wiem, wiem. - Nerwowo pobrzękiwał próbówkami, trzymając je w dłoni.

- No to... - Włączyła stacyjkę.

- Jedź ostrożnie.

Przeglądał się, jak powoli manewruje samochodem ustawiając się maską w kierunku drogi, a potem widział już tylko czerwone tylne światła migoczące wśród zarośli.

Długo stał jeszcze na tym samym miejscu wpatrując się w drogę, którą odjechała Margery. Otulała go ciemność nocy, pełna tajemniczych szelestów i głosów.

Odnosił sukces, wykonał zadanie. A jednak czuł się w jakiś dziwny sposób przegrany. Więcej myślał o Margery i MacLarenie, niż o wyniku swojego pościgu... Czy MacLaren coś jej zrobił? Dotykał jej?

Wstrząsnął nim dreszcz. Noc była zimna. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że wpatruje się tylko w ciemność, że światła samochodu już dawno zniknęły. Boże, daj, żeby Margery dojechała bezpiecznie!

Margery. Piękna, kochająca Margery, jego jedyny podbój miłosny, jedyna próba zdobycia kobiety. A on zniszczył ten dar losu. Teraz pozostanie mu tylko praca, całymi dniami, tygodniami, miesiącami. Prawdopodobnie także badania nad mikroblem MacLarena. Może to dać bardzo wartościowy rezultat, dotąd zawsze miał tę satysfakcję. Nawet najzjadliwsza trucizna, dozowana w odpowiednich dawkach i pod kontrolą, może dać błogosławione skutki. A ten mikroorganizm jest

absolutną nowością. Może będzie nawet nazwany jego imieniem – Bacillus Yeageri, czy coś w tym rodzaju.

Stał i chłonał wszystkimi zmysłami chłód kreteńskiej nocy. Nagle to wszystko wydało mu się błahe i bez znaczenia. Co za sens ma największy triumf, jeśli nie może go dzielić z Margery? Wszystkie jego osiągnięcia wydały mu się w tę niespokojną noc jak piasek, unoszony wiatrem w nicość.

Odwrócił się, wyprostował ramiona i ruszył w kierunku jasno oświetlonego domu.

Scandalous

Margery wydawało się, że jazda do Iraklionu trwa bez końca. Mocno ścisnęła kierownicę i wpatrywała się w szosę. Wydarzenia ostatnich godzin przewijały się przed jej oczami seriami oderwanych scen. Była niespokojna.

Czy Warren jest bezpieczny? Co będzie, jeżeli Ian się uwolni z zamknięcia? Jego nastroje zmieniają się błyskawicznie. Może być groźny. Uspokajała ją myśl, że Warren jednak poradziłby sobie z nim. Widziała, jaki Ian był potulny, kiedy go Warren prowadził do sypialni.

Dzięki Bogu, że Warren przyjechał! Jak poradziłaby sobie bez niego? Ian nie był zdolny do logicznego myślenia. Wszystkie jej argumenty i perswazje, żeby go odwieść od sprzedaży mikroba, trafiły w próżnię.

Po południu, kiedy Arabowie już wyszli, Ian przyszedł do sypialni. Nie mogła zapomnieć zmienionych rysów jego twarzy i udręczonego wyrazu oczu. Porażona strachem, siedziała skulona na łóżku. Jak mogła tak nieprzytomnie bać się człowieka, który jeszcze niedawno był jej kochankiem? Zamknęła oczy widząc, że Ian wyciąga w jej kierunku rękę. Poczula jego palce gładzące jej włosy, powoli i delikatnie. Potem ukląkł przy łóżku i położył głowę na jej kolanach. W pierwszej chwili zeszytywniała ze strachu, ale po chwili ze wzruszeniem poczula, że jej spódniczka robi się mokra od łez.

- Margery - jęczał Ian w udręce. - Nikt mnie nie rozumie, nikt na świecie.

W tym momencie ona go jednak rozumiała. Ogarnął ją przejmujący smutek, kiedy pojęła, że Ian jest umyślowo chory.

Ostrożnie wyciągnęła rękę i głaskała go po głowie jak dziecko. Zdała sobie sprawę, że Ian, nie podporządkowując się podstawowym nakazom moralnym, przekroczył granicę, za którą może zdarzyć się już wszystko. Chcąc za wszelką cenę doprowadzić swoje badania do końca, wybrał złą drogę i znalazł się na krawędzi przepaści.

Nagle poruszył się, wstał i w ułamku sekundy przeistoczył się w groźnego człowieka.

- Chodź ze mną - powiedział rozkazującym tonem. - Muszę coś jeszcze zrobić w laboratorium. - Jego zaczerwienione oczy patrzyły na nią chłodno. - Rozumiesz, Margery? Wszystko jest już prawie gotowe i nie mogę ryzykować, że zrobisz coś... głupiego.

- Co masz na myśli?

Nabrała pewności, że gdyby uciekła albo zatelefonowała do Warrena, naraziłaby się na prawdziwe niebezpieczeństwo, Ian był teraz nieobliczalny.

- Chodź ze mną - powtórzył.

Siedziała więc w laboratorium, podczas gdy Ian dokonywał ostatnich obliczeń. Jej umysł nie przestawał pracować. Co się stanie potem, kiedy Arabowie znikną już z próbkami? Czy Ian pozwoli jej także odejść? Cały plan Warrena zawali się, jeżeli nie uda jej się stąd wydostać. Tajemnica istoty nowego mikroba znajdzie się w rękach ludzi, którzy mogą się nim posłużyć jak śmiertcionośną bronią. Było za późno, nie może już ostrzec Warrena. O Boże, wszystko na próżno.

Zamyśliła się, powodowana niedawnymi wspomnieniami. Porywisty wiatr unosił nad krętą drogą tumany kurzu, co utrudniało prowadzenie samochodu. Margery wyteżęła oczy w atramentowej ciemności, rozpraszaney jedynie światłami jej pojazdu. W pewnej chwili omal nie przeoczyła ostrego zakrętu. Z przerażenia oblała się zimnym potem. Jak daleko może być jeszcze do Iraklionu? Wczoraj rano była tak przygnębiona, że niewiele pamiętała z jazdy taksówką.

Na domiar złego coraz bardziej się niepokoila o Warrena. Trudno było przewidzieć, co Ian może zrobić. Kiedy odjeżdżała, był spokojny, ale wiedziała już, że może to być spokój pozorny. A Warren został z nim zupełnie sam.

Jak gdyby siłą woli wymusiła pojawienie się świateł Iraklionu. Wzgórza, na których leży miasto, zaczęły stopniowo wylaniać się z za zasłony spowijającej je mgły. Margery mocniej nacisnęła na pedał gazu. Nie zapominając o pudłach leżących na tylnym siedzeniu i ich śmiercionośnej zawartości, chciała jak najszybciej zawiadomić Morty'ego i policję. Zatrzymała się przy parkujących samochodach, niemal zastawiając jezdnię. Och, żeby tylko Morty był w hotelu!

Ostrożnie zanosła pudła na górę i stanęła przed drzwiami Freedów. Morty leżał wyciągnięty na łóżku, Rose siedziała na krześle. Na widok Margery zerwali się na równe nogi.

- Margery! - odetchnął z ulgą Morty. - Chwała Bogu!
- A gdzie Warren? - spytała Rose niespokojnie.
- Pilnuje Iana. Musimy wezwać policję...
- Czy to jest... ten mikrob? - Morty wskazał na pojemniki.
- Tak. Warren powiedział, że mam je dostarczyć tobie i prosił, żebyś zawiadomił policję.
- Ale jak... - zaczęła Rose.
- Dowiesz się później - przerwał jej Morty niecierpliwie. Chwycił marynarkę i dodał: - Zostań tu i na miłość boską uważaj z tymi pudłami.

Wyjął pojemniki z rąk Margery i ostrożnie postawił przy łóżku.

- Ale ja też chcę jechać. - Rose patrzyła na Morty'ego z niepokojem. - Warrenowi może tam grozić coś strasznego.
- Nic nie możesz zrobić - rzekła Margery z irytacją.

Czuła przypływ dziecinnej satysfakcji widząc, że Rose wprost umiera z ciekawości i ze złości, że musi zostać w pokoju sama. Wystarczy, że ona, Margery, niepokoi się o Warrena. Czy może być

bezpieczny sam na sam z szaleńcem? Czy zdaje sobie sprawę z jego choroby? Poczowała ukłucie zazdrości zmieszanej z gniewem. Dlaczego Rose musi tak ostentacyjnie manifestować swoje uczucia do Warrena? Czy odrobina przyzwoitości nie nakazuje, żeby tego nie robić w obecności męża?

- Jedziemy na policję - odezwał się Morty. - Rose, ktoś tu musi zostać z tymi pudłami. Jeżeli będzie się to przeciągało, zadzwonię do ciebie.

Po chwili Margery szybko schodziła z Mortym na dół. Oczywiście Rose, gdy ich żegnała, ciskały błyskawice.

W holu Margery przystanąła.

- Morty, załóżę się, że w komisariacie nie będzie nikogo, kto mówi po angielsku. Co wtedy zrobimy?

- Hmm. - Morty oparł ręce na biodrach. - Masz rację. Tutaj po angielsku mówią chyba tylko ci, co mają kontakty z turystami.

Margery skierowała wzrok na recepcjonistę.

- Ach! - wykrzyknął Morty idąc za jej spojrzeniem. Perswazje trwały kilka minut, ale w końcu speszony recepcjonista znalazł zastępcę i mogli jechać do komisariatu. Rozmowa na policji była jednak trudniejsza, niż przypuszczali.

- Policjant mówi - tłumaczył recepcjonista - że nie rozumie, na czym polega problem. Jakie popełniono przestępstwo?

- Niech mu pan powie - odezwali się Margery i Morty jednocześnie, ale dokończył Morty: - Niech mu pan powie, że w domu pod Malia znajduje się bardzo niebezpieczny człowiek i rząd angielski chce go ująć.

- Proszę jeszcze raz. - Recepcjonista machnął ręką. - Musi pan mówić powoli.

Margery westchnęła zrozpaczona. Minuty mijały, pogoda stawała się coraz gorsza, Margery coraz bardziej niepokoiła się o Warrena.

W pewnej chwili pociągnęła Morty'ego za rękaw.

- Wracam do Warrena. To się ciągnie w nieskończoność, a Ian...
Umieram z niepokoju.

- Nie - odparł Morty stanowczo. - Ty zostań tutaj i próbuj im to wszystko wytłumaczyć, a ja pojedę.

Ale ona była już przy drzwiach.

- Margery! - usłyszała jeszcze wołanie, ale nie miała zamiaru dyskutować z Mortym.

Gęste kłęby mgły wisiały nisko nad wąską szosą, wiatr prznosił je z miejsca na miejsce, ale Margery jechała szybko ledwo to zauważając.

Przeoczyła drogę prowadzącą do bungalowu Iana i musiała zawrócić. W drodze powrotnej zauważyła ją w ostatniej chwili. Zahamowała z piskiem opon i tak ostro skręciła kierownicą, że omal nie wyrzuciło jej z szosy. Była zlana potem, lecz w głowie kołatała się jej tylko jedna myśl: żeby się tylko nic nie stało Warrenowi.

Wiedziała, że jest na właściwym podjeździe, ale mgła była tak gęsta, że nie widziała domku. W pewnej chwili dojrzała słabe, pomarańczowe światło, jak gdyby ktoś świecił latarką w jej kierunku i mgła zmieniała barwę światła. Dostrzegła w końcu zarys domu i stwierdziła, że ten dziwny, migoczący blask wydobywa się z wnętrza.

Wyskoczyła z samochodu i stanęła jak wryta, wdychając zapach ciężkiego, wilgotnego powietrza. Dym? Zapach dymu? Dlaczego? Skąd pochodzi? W ułamku sekundy połączyła te dwa fakty: dziwna poświata i dym. Pożar! Uświadomiwszy to sobie, z przerażeniem pomyślała o Warrenie znajdującym się w domu razem z Ianem. O Boże!

Stała jak sparaliżowana. Co robić? Nie była w stanie podjąć żadnej decyzji. Odniosła wrażenie, że stoi już tak całą wieczność. Kłęby mgły owijały się wokół niej, wirowały dokoła domu. Słyszała już trzask ognia, na twarzy czuła coraz silniejszy żar. Myśl, myśl, nakazywała sobie, ale, ogarnięta paniką, na nic nie mogła się zdobyć.

Poświata wydobywająca się ze środka domu nabierała intensywności, zabarwiała mgłę na kolor musztardy. Margery w końcu zdecydowała się podejść bliżej. Może jeszcze uda się zajrzeć do środka?

Języki ognia ogarniały już salonik, lizały drzwi wejściowe.

Nie ma mowy, żeby się przez nie przedrzeć! Ale Warren jest w środku, a z nim Ian! A może już się wydostali? A jeśli nie zdążyli... Nagle przypomniała sobie, że Warren dostał się do środka nie przez drzwi frontowe. Więc przez okno? Które?

Ostry wiatr od huczącego w dole morza szarpał jej spódnice. Kiedy okrążyła narożnik domu, niemal zwała ją z nóg. Trzymała się mocno chropowatego tynku, przywarła do ściany całym ciałem. Czuła przenikliwy ból w kostce, serce biło jej jak oszalałe, ale musiała w jakiś sposób dostać się do środka.

Na ścianie dostrzegła okno. Wiedziała, że to laboratorium. Wydobywało się z niego światło, ale nie pomarańczowe światło płomieni, lecz elektryczne. Gdyby mogła się w jakiś sposób tam dostać...

Zadanie wydawało się niewykonalne, ale nie miała wyboru. Przytulona do ściany powoli zbliżała się do okna, starając się nie myśleć o kłębiących się w dole falach. Była bez tchu, ale stała tuż pod oknem. Wyciągnęła w górę rękę. Jest! Udało się! Szukała uchwyty dla rąk, znalazła, ale szukała pewniejszego; Jest. Wymacała stopą wystającą nierówność tynku. Stała pewniej i palcami dotknęła parapetu. Jeszcze trochę. Wyszukiwała stopami załamki tynku centymetr po centymetrze. Jeden. Drugi. Już dłońmi dotykała framugi okna. Gdyby się jeszcze mogła trochę podciągnąć i oprzeć łokcie na parapecie! Dobrze, jeszcze trochę. Przez podarty sweter kaleczyła skórę, ale się nie poddawała. Była tak blisko celu, że ból się nie liczył.

Pchnęła pięścią okno i otworzyła je. Opadła na parapet i powoli wciągnęła całe ciało do środka. Krztusiła się, dusiła, z trudem oddychała w wypełnionym dymem pokoju. Pożar!

Wreszcie podbiegła do drzwi i szarpnęła za kłankę. W korytarzu było jasno od płomieni, które ogarnęły salonik. Żar parzył jej skórę, lecz od sypialni oddzielały ją jedynie kłęby czarnego dymu. Ogień tu jeszcze nie dotarł. Skulona podbiegła do drzwi i pchnęła je modląc się, żeby Warren był tu, a nie we frontowej części domu.

Na podłodze zobaczyła leżące ciało. Czyje? Ciemne włosy i marynarka, którą dobrze знаła. Dzięki Bogu, to on!

- Warren - zawołała padając na kolana i potrząsając nim z całej siły. - Warren, o Boże, otwórz oczy!

Pokój był wypełniony dymem. Zostawiła otwarte drzwi, ale za późno było wracać i je zamykać.

- Odezwij się, Warren! Błagam, otwórz oczy! - Z siłą, której istnienia u siebie nie podejrzewała, zdołała przewrócić go na plecy.

Jęknął, zamrugał powiekami. Nagle zwinął się w ataku kaszlu.

- Warren - dyszała - musimy natychmiast stąd wyjść! Pali się! Słyszysz?

Podpierając ramieniem jego plecy, zdołała go posadzić. Boże, jak go zmusić, żeby stanął? Nie ustawała w wysiłkach, przerażona paniczną myślą, że oboje mogą zginąć w płomieniach.

W pewnej chwili Warren otworzył oczy. Odniosła wrażenie, że ją poznał i nawet uczynił jakiś gest, żeby wstać. Na jego skroni zobaczyła krew. Jakimś cudem pomogła mu stanąć na nogach. Całym ciałem oparł się o nią i niepewnie ruszyli w kierunku drzwi. Margery uginała się pod jego ciężarem. W korytarzu kłębił się dym, gryzący i czarny, tak gęsty, że bariera, jaką utworzył na ich drodze do laboratorium, wydawała się nie do przebycia.

- Pożar - wykrztusił Warren.

- Tak. - Kaszłąc ciągnęła go przez korytarz. - Musimy uciekać.

- Drzwi...?

- Nie, salon jest w płomieniach... Nie możemy.

Dobrnęli do laboratorium, teraz już wypełnionego gryzącym dymem. Margery zamknęła drzwi.

- Dasz radę wyjść przez okno? - spytała łkając. - Warren! Proszę! Musisz spróbować!

Puściła go na chwilę, żeby przyciągnąć do okna krzesło.

- Wejdz na nie - błagała. - Prędkiej!

Pomogła mu ukłknąć na krzesło, a potem sięść na parapecie. Huk ognia narastał. Odniosła wrażenie, że gdzieś w oddali wyje syrena, ale nie była tego pewna. Warren siedział niepewnie na parapecie, oparty jednak ramieniem o framugę.

- Warren! - wołała rozpaczliwie. - Odwróć się do mnie przodem! Kładź się. Przerzuc nogi na drugą stronę. Próbuj!

Zaniósł się dławiącym kaszlem.

Rozejrzała się panicznie dokoła. O, dzbanek z wodą. Sięgnęła po niego i wylała całą zawartość na głowę Warren'a. Ten szok jak gdyby poskutkował.

- Warren, szybko!

Z trudem zastosował się do jej rozkazów, potem przez chwilę odpoczywał. Margery była złana potem - w pokoju było chyba ponad czterdzieści stopni. Płuca rozrywał jej ostry kaszel, na drzwiach zaczęła pękać farba.

- Warren, szybciej! - krzyknęła.

Przerzucił nogi przez parapet i zniknął. Udało się. Margery westchnęła z ulgą i poczuła w sobie przypływ nadludzkiej siły. Słyszała za plecami huk ognia, szorstki parapet do krwi ocierał jej skórę, ale nie miało to w tej chwili znaczenia.

- Uciekaj - szeptała sama do siebie, opuszczając się w dół. Wreszcie dotknęła stopami ziemi.

Nagle wstrząsnął nią dreszcz. Warren, gdzie jest Warren? Zrozpaczonym głosem powtarzała jego imię.

- Margie? - usłyszała nagle. Warren leżał nie opodal i ciężko dyszał. - Margie, nic ci się nie stało?

Kiedy wreszcie dotarli do frontowej części bungalowu, płomienie wydostawały się przez płonące drzwi na zewnątrz. Dokoła panowało istne piekło - wyły syreny, błyskały światła, ktoś wykrzykiwał komendy. Wśród biegających postaci dojrzała Morty'ego. Na ich widok uśmiech rozjaśnił jego przerażoną twarz. Ktoś zaopiekował się Warrenem.

Potykając się co chwila boleśnie, Margery dowlokła się do miejsca, gdzie policjanci owinęli już Warrena kocem. Niedaleko leżała druga postać, także opatulona pledem. Margery spojrzała pytająco na Morty'ego.

- Ian?

- Tak - odparł. - Udało się go wyciągnąć.

- Czy...?

- Tak - szybko odpowiedział Morty. - Jeszcze żyje, ale nawdychał się dużo dymu.

Z tego, co było później, zapamiętała tylko chaotyczne wrażenia: hałas, straszliwe zmęczenie, ból obtartej skóry, nie kończące się pytania policji, za głośnie i niespójne, w dodatku po grecku. Biedny recepcjonista drżącym głosem próbował tłumaczyć w jedną i drugą stronę. Strażacy biegali, ich wozy wyły.

Warren. Kaszłał bez przerwy, dopóki ktoś z karetki pogotowia, która wreszcie przyjechała, nie podał mu tlenu. Morty smarował maścią antyseptyczną najrozleglejsze otarcia na skórze Margery, ona zaś miała wrażenie, że to wszystko to tylko zły sen. I Ian, i pożar, i mikrob...

- Jedziesz do szpitala - usłyszała głos Morty'ego.

- Do diabła, kto tu jest lekarzem? - zaprotestował Warren i zaniósł się kaszlem.

- Może nam wreszcie powiesz, co się stało? - spytała Margery, kiedy Warren wreszcie doszedł do siebie.

- Popeliłem głupi błąd. - Wzruszył ramionami, jak gdyby robienie błędów było rzeczą codzienną. - Poszedłem do pokoju, gdzie zamknąłem MacLarena, żeby mu zadać kilka pytań. Po aresztowaniu trudno byłoby wydobyć z niego cokolwiek. Wiecie, jak to jest. Adwokaci kazaliby mu wszystkiemu zaprzeczać i nic nie mówić. Jego mikrob ma pewne właściwości, których zrozumienie zajęłoby mi całe miesiące, a MacLaren mógł mi wszystko wyjaśnić w parę minut.

Margery starała się panować nad głosem.

- I dla tych kilku marnych odpowiedzi ryzykowałeś życie?

- Ależ tak, Margery. Jestem przecież naukowcem. - Warren patrzył na nią zdumiony, że może zadawać takie pytania. - Tak czy owak muszę się przyznać, że zapomniałem na chwilę o swojej funkcji strażnika. MacLaren chętnie opowiadał, jak to jego nocny woźny w Dunclde przypadkowo wszedł do jego prywatnego laboratorium i jak mu bardzo przykro z powodu śmierci tego chłopca. Potem zmienił temat. Mówił o funduszach, jakie dostawał od swego rządu i o tym, że żadne z państw Trzeciego Świata nie odważyłoby się użyć tego mikroba jako broni biologicznej. Popeliłem błąd, odwracając się do niego plecami. Wtedy rzucił się na mnie. - Warren dotknął ręką skroni. - Przypuszczam, że ogień podłożył zaraz potem. Chyba chciał zniszczyć wszystkie dowody, a może miał zamiar popełnić samobójstwo i jednocześnie zabić mnie.

Morty ze smutkiem kręcił głową, Margery zaś przyglądała się swoim dłoniom, brudnym od sadzy i krwi.

- Czy Ian będzie żył? - zapytała.

- Nie jestem pewny - odparł Morty cicho. - Może mieć uszkodzone płuca.

- O Boże. Biedny Ian. Co z nim będzie?

- Przypuszczam - powiedział Morty po namyśle - że zostanie wydany Anglii. Ostatecznie, to przecież rząd angielski finansował jego badania. Z pewnością zostanie także poddany badaniom

psychiatrycznym, a potem odbędzie się proces, jeśli Ian zostanie uznany za zdolnego do odpowiadania za swoje czyny. Jego adwokaci bez wątpienia będą utrzymywali, że jest niepoczystalny.

Margery drgnęła. Niepoczystalny? Taki błyskotliwy, tak świetnie zapowiadający się doktor Ian MacLaren!

Pół nocy spędzili w komisariacie odpowiadając na kolejne pytania i podpisując dokumenty. Przed izolatką szpitala w Iraklionie, do którego zawieziono MacLarena, policja zdecydowała się ustawić strażnika i czekać na papiery o ekstradycję, które – jak się spodziewano – zostaną przysłane lada dzień.

– Chcą się pozbyć MacLarena jak najszybciej – powiedział Morty.

– Nie dziwię się – odezwał się Warren. – Rano zadzwonię do Grega i powiem, żeby tu natychmiast kogoś przysłał. Teraz kolej na ich ruch.

Wreszcie pozwolono im wrócić do hotelu. Margery usiadła sama na tylnym siedzeniu zbyt zmęczona, żeby nawet rozmawiać. Cały czas czuła bliskość Warrena, przysłuchiwała się jego rozmowie z Mortym i nie mogła powstrzymać łez, które bez przerwy napływały jej do oczu.

– Margery – powiedział ciepło Warren, odwracając się do tyłu. – Czy już ci podziękowałem? Ocaliłaś mi życie.

Siedziała bez ruchu, udając, że nie słyszy tkliwości w jego głosie. Nie mogła się zdobyć na spojrzenie w te ciemne oczy, utkwione w niej z nadzieją. Potem nie mogła sobie przypomnieć, czy mu w ogóle coś odpowiedziała. Wiedziała tylko, że zamyka się w sobie, nakłada maskę i usuwa w swoje samotne zacisze, w którym się czuje bezpieczna.

Utulone mgłą Knossos, wolne od zwiedzających, było miejscem smutnym, odpowiednim do zastanowienia się nad własnym życiem. Margery zapłaciła taksówkarzowi i weszła zwiedzić ruiny labiryntu. Utykała bardziej niż zwykle, ciągle czuła ból w kostce, na całym ciele miała siniaki i rozległe obtarcia.

Zapięła szczelniej płaszcz i przytrzymując jego poły chodziła po wyłożonym płytami dziedzińcu, mijając stosy starożytnych gruzów.

Kolumny i ściany rozrywały mgłę na strzępy. Między gałęziami wysokich czarnych cyprysów okalających wzgórze umieszczono tablice z informacjami. Margery czuła tu zimę. Błąkała się bez celu myśląc o tym, co się kończy, a co zaczyna w jej życiu. Freski na murach zachowały żywe kolory i dynamikę obrazów sprzed trzech i pół tysiąca lat. Przedstawiały kobiety i mężczyzn dźwigających urny, grających na różnych instrumentach, czy pracujących. Byli to piękni ludzie o smagłej cerze i ciemnych włosach, weseli i pełni życia.

Wędrowała oglądając freski, ale myślała tylko o czekającej ją pustej przyszłości. Przechylna przez kamienną balustradę przyglądała się sali tronowej. Dokoła panował spokój i kiedy przymknęła powieki, w wyobraźni zmartwychwstał miniony świat, kobiety o wijących się włosach, w zwiewnych szatach przemierzające ulice miasta, dumne kobiety, których mężowie panowali na morzach, a dzieci wyrastały na przywódców.

Ona nie będzie miała domu, nie będzie miała męża. Wczoraj w nocy Warren razem z Mortym omawiał plan badań nad mikroblem. Trudno było nie dostrzec jego ożywienia, kiedy podnieconym głosem mówił o różnych opcjach, koniecznych badaniach i budżecie, jaki jest mu potrzebny.

W tych planach nie było miejsca dla niej.

Przechodząc na otwarty plac otoczony ogromnymi murami, Margery uniosła twarz, na której poczuła maleńkie kropelki mgły! Czy przed kilkoma tysiącami lat też jakaś nieszczęśliwa kobieta tędy przechodziła? Czy także straciła ukochanego, czuła się odarta ze złudzeń i skazana na samotność? Czy w starożytności ludzie także odczuwali porażki w sposób tak dojmujący?

Jutro wszyscy opuszczą Kretę. Morty, Rose i Warren mieli odlecieć zaraz po przybyciu przedstawicieli Grega Smythe'a. Wszystko zostało dokładnie zaplanowane dziś rano – oczywiście przez Rose – dzięki kilku

telefonom. Margery musiała przyznać, że Rose jest naprawdę niezastąpiona.

Warren wróci do Atlanty z jeszcze jednym sukcesem na koncie. A ona? Och, także odleci do domu, ale powitać ją miał zdenerwowany szef i ostra zima Minnesoty. Pewnie utraci ten etat. Odzyskanie go zajmie jej dwa lata, podczas gdy Warren osiągnie jeszcze większą sławę. Jaka była naiwna! Czy krótka idylla, którą przeżyła z Warrenem, warta była tak bolesnego zakończenia?

Szła właśnie korytarzem, na którego murach widniały rządy rozet pomalowane na niebiesko. Gdyby można żyć w tak uroczym otoczeniu, w słonecznym klimacie Krety, jak w czasie tamtych pierwszych dni...

Sala tronowa miała kwadratowy portal i zaskakująco mały, kamienny tron króla Minosa. Na murze za tronem namalowano kwiaty, czerwone i białe. Margery zamknęła oczy i wyobraziła sobie, jak musiała wyglądać ta sala, kiedy wypełniona była ludźmi, którzy rozmawiając i śmiejąc się czekali na pojawienie się króla. Kiedy je otworzyła, dostrzegła po przeciwnej stronie jakiegoś mężczyznę. Przemknęło jej przez myśl, że to sam Minos, ale rozwiany na wietrze tencz mógł należeć tylko do turysty.

- Margery? - zawołał mężczyzna i już wiedziała, kto to jest. Stała nieruchomo patrząc, jak zbliża się do niej szybkim, zdecydowanym krokiem.

- Szukam cię wszędzie w tym cholernym labiryncie - zaczął niecierpliwym tonem. - Rose powiedziała mi, dokąd posłaś.

Margery westchnęła. Rose, zawsze Rose.

- Tak, Warren?

- Rose powiedziała mi, że nie lecisz z nami. Dlaczego?

- Ponieważ wy lecicie do Atlanty, a ja do Minneapolis.

- Ale, Margie, myślałem... Hm, moglibyśmy dolecieć razem do Nowego Jorku...

- A potem?

- Cóż, myślę... Nie wiem. Mógłbym do ciebie zadzwonić.

Odwróciła się i powoli szła wzdłuż murów sali tronowej, wyciągniętym palcem wiodąc w powietrzu po kolorowych girlandach na freskach.

- Po co, Warren?

Szedł za nią krok w krok.

- No, wiesz...

Serce jej się ścisnęło. Nie powiedział tego, na co tak czekała. Nie poprosił, żeby z nim leciała, nie powiedział, że ją kocha albo że chce z nią być. Nie mógł się zdobyć na zdjęcie maski, ale ona także nie mogła.

Jedno jego słowo i poszłaby z nim na koniec świata. Ale nie mógł się na to słowo zdobyć, wiedziała o tym. Może dlatego właśnie tak długo błąkała się po tym labiryncie - była to ucieczka od wiedzy o sobie, wiedzy o tym, że nie potrafi brać z życia tego, co chce, gonić za tym, uchwycić i zatrzymać.

- Warren - powiedziała - to się skończyło. Czy tego nie widzisz? Jaki sens ma... - Nie mogła dokończyć. Było jej zimno, podciągnęła wyżej kołnierz płaszcza i wtuliła głowę w ramiona.

Warren stał bez ruchu na środku sali tronowej. Markery pomyślała, że wygląda jak małe dziecko, które zgubiło zabawkę. Ale, tak jak każde dziecko, zapomni o tym. Ktoś - może Rose? - kupi mu nową. Ona jednak nie zapomni. Będzie przechowywać w pamięci i pielęgnować każde wspomnienie - bliskość śpiącego obok kochanego mężczyzny, jego oddech, smak ust, kiedy ją całował. Zachowa w pamięci każdy rys jego twarzy, rysunek brody, sposób, w jaki ściągał brwi, jak marszczył czoło. Będzie pamiętała drżenie jego warg, urok uśmiechu, dotyk jego łagodnych dłoni...

- Muszę już iść - oświadczyła nagle.

- Ale, Margery..

- Naprawdę. Muszę załatwić jeszcze kilka spraw. - Głos załamał jej się na ostatnim słowie. Unikając jego spojrzenia, szybko ruszyła w stronę wyjścia.

- Proszę cię, chciałem...

- Do widzenia, Warren. - Minęła portal i wśród mnóstwa przejść i sal z kolorowymi freskami na murach, które widziała jak przez mgłę, szła szybko mimo utkania, szukając wyjścia z labiryntu.

Scandalous

Dzień Zakochanych, pomyślała Margery patrząc przez okno swego gabinetu na iskrzący się śnieg na kwadratowym dziedzińcu uniwersytetu. Serduszka z czerwonego aksamitu, białe, koronkowe serwetki i pudełka ze słodyczami. Jej studenci nie zabawiali się już tymi sentymentalnymi akcesoriami, ale pamiętała dobrze, jak w szkole podstawowej robiło się „walentynki”, wycinając serca, sklejjąc je mączką kasztanową i pisząc „kocham cię” w środku karty.

Z kwaśnym uśmiechem powiedziała sobie, że w tym roku nie dostanie żadnej walentynki. Ani od Iana, który nadal przebywa w sanatorium w Anglii, ani od Warrena Yeagera, który się w ogóle nie odezwał. Zresztą, nie spodziewała się tego.

Daremnie zastanawiała się, co robi Warren. Czy pracuje nad mikroblem Iana, czy ugania się gdzieś po świecie za jakąś śmiertelną chorobą? Próbowwała uwolnić się od tych natrętnych pytań, ale uparcie nasuwały się same.

Cóż, może będzie mogła zadać je Warrenowi jutro, w Nowym Jorku. Z pewnością będzie na spotkaniu zorganizowanym przez Światową Organizację Zdrowia, którego tematem jest chorobotwórczy mikroorganizm wyhodowany przez Iana. Uprzejmie, ale zdecydowanie zaproszono ją do uczestnictwa w przesłuchaniu. Nie mogła się uchylić od tego obowiązku, lecz doprawdy nie wiedziała, co powie naukowcowi, który był delegatem centralnego zarządu Światowej Organizacji Zdrowia w Genewie. Przypuszczała, że chciano się zapoznać z jej wersją wydarzeń opisanych w raportach.

Warren przyjedzie na pewno. Robiło jej się na przemian gorąco i zimno, gdy o tym myślała, serce biło ciężkim rytmem, w piersiach

brakowało tchu. Będzie to kolejne bolesne przeżycie. Zastanawiała się, czy czasem o niej myśli. Może tak? Pewnie wtedy, kiedy wspomina tamten zwariowany pościg przez całą Europę.

To, że straciła etat, nie było winą Warrena. Mogła przecież odmówić i nie pojechać z nim. A jednak miał rację – prawdopodobnie nigdy w porę nie ujęliby Iana, gdyby nie podstęp, na który się zdecydowała.

Westchnęła i zabrała się do porządkowania papierów, które miała zabrać do domu. Doktor Rickters był niezadowolony, że się spóźniła o tydzień.

- Pani Lundstrom - powiedział zaciskając usta - nie wiem, co pani robiła uganiając się po całej Europie z kimś z Centrum w Atlancie. Zadzwoniłem do tego doktora Yeagera i dowiedziałem się, że była to misja ściśle tajna i że pani pomoc była niezwykle owocna. Nie zmienia to faktu, że pani zajęcia musiał przejąć Mark Wheeler i doprawdy to nie było w porządku. Nie mogę zwrócić się do zarządu o etat dla pani na ten rok i prawdę mówiąc, musiałbym bardzo naciskać, żeby mogła go pani otrzymać w przyszłym roku. Może się pani rozejrzy za innymi możliwościami.

I na tym się skończyło. Margery włożyła płaszcz i rękawiczki, szyje owinęła jasnoniebieskim szalem, zmieniła pantofle na wysokie boty i sięgnęła po teczkę.

Powietrze było czyste, ale przejmująco zimne. Szybko szła do samochodu. Było popołudnie. Studenci z czerwonymi nosami biegali rażno między budynkami. Jedni odnosili książki do biblioteki, inni trzymając się za ręce przechodzili uprzątniętymi ze śniegu chodnikami.

Miłość młodych otaczała Margery ze wszystkich stron, była jakby częścią uniwersyteckiego programu. Młodzież poznawała siebie nawzajem, poznawała swoje ciała, tak jak ona i Warren, tyle że byli znacznie starsi. Tym mocniej odczuwała swoją samotność teraz, kiedy poznała miłość. Nie miała nawet kogoś, z kim mogłaby o tym mówić.

Siostra zajęta była dzieckiem, które niedawno urodziła, a rodzice nie chcieli o niczym wiedzieć. Jej znajomi na wydziale byli po prostu znajomymi.

Margery postanowiła wyjechać z Minneapolis. Najwyższa pora, żeby coś zmienić. Napisała kilka ofert, które zamierzała wysłać do kilku uniwersytetów w Kalifornii, a teraz przygotowywała swój życiorys.

Nigdy nie była w Kalifornii, ale pociągał ją ciepły klimat. Nie zapomniała łagodnej, styczniowej pogody we Włoszech i Grecji... Wydawało jej się to bardzo egzotyczne.

Czy to jest ucieczka? – zastanawiała się jadąc dobrze sobie znanymi, zaśnieżonymi ulicami do domu. Może tak. Teraz niewiele ją obchodziło. Wyjazd z Minneapolis był czymś, co musiała zrobić. Czy było coś niestosownego w takiej ucieczce, jeżeli komuś życie tak się nie układa jak jej?

Była przyjemnie podniecona, kiedy doszło do pakowania walizki. Jaka będzie temperatura w Nowym Jorku, czy będzie ciepło? Czy potrzebne jej będą jasnoszare botki? Zdecydowała, że tak. Przyda się także ten elegancki, szary tweedowy kostium i jasnoróżowa jedwabna bluzka. W żywej pamięci zachowała scenę, kiedy w Atenach Warren podszedł do niej z tyłu i, napotykając jej spojrzenie w lustrze, powiedział: „Wyglądasz cudownie”. Więc będzie nosiła tę bluzkę.

Jakie to zabawne pakować się z myślą o Warrenie. Wrzuciła do walizki czerwoną suknię we wzorki i niedawno kupioną koszulę nocną w pastelowym kolorze, a także koronkowy stanik. Margery, po co? – pytała samą siebie. Nie chciała odpowiedzieć na to pytanie.

Światowa Organizacja Zdrowia ulokowała ją w hotelu Plaża. Czy Warren też się tam zatrzyma? Czy przyleci z nim Rose? Kto wie? A Morty? Margery chciała, żeby Rose doceniła Morty'ego. Był taki opanowany i wprost nieoceniony po pożarze. Przejął dużo cech Rose. Czy uda im się ocalić małżeństwo?

Tej nocy źle spała. Była podniecona, nie mogła się uspokoić. Zabawne, ale czuła się, jak gdyby miała w głowie talie kart. Odkrywała coraz to nową: zimna mgła w Szkocji, Warren zjadający fondue w Aigle, autostrada wzdłuż Adriatyku do Bari, gaje pomarańczowe na wzgórzach nad Arta, czerwone i białe kwiaty w sali tronowej w Knossos. Wspomnienia całego życia.

Wcześniej rano zatelefonowała do Marka Wheelera, żeby omówić ostatnie szczegóły – miał ją zastąpić przez dwa dni – i... w drogę. Jeszcze tylko szczoteczka do zębów do torby konduktorki i ostatnie spojrzenie na mieszkanie.

Wszystko w porządku – talerze pozmywane i wstawione na miejsce, szafki i szuflady zamknięte, półki odkurzone, łóżko posłane.

Miała dziwne uczucie, że opuszcza swoje czyste, przytulne mieszkanie na zawsze. Oczywiście z powodu planów przeniesienia się do Kalifornii. Wróci tu jutro wieczorem i znowu będzie tak, jak gdyby nigdy nie wyjeżdżała.

Kiedy wkładała płaszcz, zadzwonił telefon. Pomyślała, że to pewnie Mark z jakimś ostatnim pytaniem.

Tymczasem w słuchawce usłyszała głos Rose Freed.

- Margery, chciałam cię zawiadomić że Warren będzie w Nowym Jorku. Właśnie odwiozłam go na lotnisko.

- I dzwonisz, żeby mi o tym powiedzieć? - zapytała Margery chłodno.

- Pomyślałam, że będzie to dobra okazja dla ciebie i Warrena, żeby... hm... porozmawiać. Wiem, że mieliście pewne problemy, kiedy odlatywaliśmy z Krety. Warren był bardzo zmartwiony. Sądziłam...

- Naprawdę zdumiewa mnie, że ciągle myślisz za Warrena. Zdawało mi się, że to już dorosły chłopczyk. - Nie mogła wytrzymać, słowa same wymknęły się z ust.

W słuchawce zapadła cisza.

- Zasłużyłam na to - odezwała się po kilku chwilach Rose. - Ale tym razem chodzi mi wyłącznie o Warrena, nie o siebie. Jest naprawdę nieszczęśliwy. Chciałam, żebyś o tym wiedziała.

- Więc już wiem.

- Margery, proszę cię. Przepraszam. Robiłam mnóstwo... rzeczy, których się teraz wstydzę. Bardzo jestem przywiązana do Warrena i próbuję mu jakoś pomóc.

- Rose, to naprawdę nie jest...

- Z Mortym wszystko układa się teraz bardzo dobrze - przerwała Rose jednym tchem. - Chcemy mieć dziecko.

Teraz z kolei Margery zamilkła na chwilę.

- Cieszę się, Rose, ale to nie rozwiąże problemów Warrena.

- Mogłoby! Staram się wytłumaczyć ci, że jest nieszczęśliwy z twojego powodu. Nie rozumiesz?

- Rozumiem - westchnęła Margery - ale nie wiem, czy masz rację. Dziękuję ci, że o tym pomyślałaś, ale chyba nic tu nie można zrobić.

- Porozmawiaj z nim - prosiła Rose. - Po prostu z nim porozmawiaj. Zobaczysz, że się zmienił. Margery....

- Moja mama zawsze mi powtarzała, że mężczyźni się nie zmieniają - rzuciła Margery lekkim tonem.

Rose dała za wygraną.

- Próbowałam, miałam najlepsze chęci - powiedziała smutnym głosem. - Do widzenia, Margery.

- Do widzenia, Rose.

Odkładając słuchawkę Margery stwierdziła, że ma wilgotną dłoń. Dlaczego Rose czy jakakolwiek wzmianka o Warrenie wyprowadzają ją z równowagi? To zaczyna być śmieszne. Jak tylko skończy się przesłuchanie, nie zobaczy go więcej i będzie mogła zacząć się leczyć z tej miłości. Kalifornia. Nowa praca, może nowy mężczyzna. Wszystko jest możliwe.

Zapinając pas w samolocie Margery patrzyła przez okno na zamrażającą nawierzchnię pasa startowego i brudne zwały śniegu. Walczyła z uporczywie powracającą myślą, że Warren także w tej chwili leci do Nowego Jorku.

Przed lunchem Warren dziesiątki razy wyciągał rękę w stronę telefonu. Margery była w tym samym hotelu, sprawdził jej rezerwację. Za każdym razem, kiedy już dotykał słuchawki, opuszczała go odwaga i rezygnował. Co ma jej powiedzieć? Że myśli o niej bez przerwy? Że ją kocha? Że nie może bez niej żyć?

Nie potrafił się przemóc. Wiedział, że to tchórzostwo, ale nie mógł się zdobyć na powiedzenie jej tego wszystkiego, kiedy najwyraźniej jest jej obojętny. Ciągłe był tym samym niezręcznym Warrenem, któremu odmawiały dziewczęta, kiedy im proponował spacer, ale obecnie sytuacja jest o wiele gorsza. Jest dorosłym mężczyzną, znalazł kobietę, którą pokochał, a ona go odrzuca. Boże! Z głową wspartą na rękach siedział na brzegu starannie zasłanego łóżka i dręczyło go poczucie życiowej klęski.

Margery wezwano na przesłuchanie po południu. Oboje siedzieli po przeciwnych stronach wielkiego audytorium i czekali na złożenie zeznań. Wszystko odbywało się w sposób bardzo kulturalny, urzędowy, zorganizowany.

Na dźwięk jej głosu Warrena ogarnęła czułość. Poczul drżenie w całym ciele. Mówiła bardzo dobrze – cichym, ale ładnie modulowanym głosem, starannie dobierając słowa. Wszak była przyzwyczajona do mówienia przed grupą słuchaczy. Była pełna rezerwy i piękna ze swymi jasnymi włosami zaczesanymi gładko do tyłu i spiętymi klamrą. Delikatny róż bluzki rzucał ciepły refleks na jej skórę.

Warren zapomniał o bożym świecie. Wpatrywał się w nią tak zachłannie, jak gdyby całe lata, a nie jeden miesiąc, upłynęły od chwili,

kiedy ją widział po raz ostatni. Była najpiękniejszą kobietą na świecie, kobietą, którą zawsze będzie uwielbiał, choć nigdy jej nie zdobędzie.

Widząc, że Margery wkłada płaszcz i zbiera się do wyjścia, z trudem się koncentrował odpowiadając na stawiane mu pytania. Miał ochotę wstać i zawołać, żeby wróciła. Nie może przecież tak po prostu zniknąć z jego życia!

–...co pan ustalił w pańskim laboratorium, doktorze Yeager? – usłyszał pytanie. Otrząsnął się i szorstko zapytał:

– Czy pani Lundstrom będzie jeszcze zeznawać?

– Tak, panie doktorze – odpowiedział podrażnionym tonem członek komisji. – Wyszła ma krótki spacer. Czy możemy kontynuować?

Pytaniom nie było końca. Komisja składała się z sześciu osób i przewodniczącego, który przyleciał z Genewy. Przeglądali raporty, po czym zadawali pytania. I znowu zagłądali do raportów.

Margery wróciła około czwartej. Na jej widok Warren poczuł wielką ulgę. Odprężył się wiedząc, że jest na sali, choć nie umiałby wytłumaczyć dlaczego. Wystarczyło mu na nią patrzeć.

Kiedy znowu miała zeznawać, Warren usiadł na końcu sali i czekał. Uspokoił się, nie myślał o przeszłości ani przyszłości. Nie miał pojęcia, na co właściwie czekał.

Przesłuchiwanie przerwano o piątej, odkładając dalsze składanie wyjaśnień na dzień następny. Czekał na Margery z biciem serca, machinalnie odsuwając ciągle spadający mu na czoło kosmyk. Stał tuż przy drzwiach, żeby przechodząc musiała na niego spojrzeć. Myślał, że nigdy nie skończy zapinać płaszcza. Wreszcie zarzuciła na ramię torbę. Serce waliło mu jak oszalałe. W końcu doszła do drzwi.

– Witaj, Margery – powiedział spokojnie.

Unikała jego wzroku. Czyżby była zdenerwowana?

– O, Warren – zdziwiła się, jak gdyby go przedtem nie widziała.

Stali w samym przejściu, blokując je. Ktoś chciał wyjść, Warren więc usunął się mamrocząc:

- Przepraszam.

Co powinienem jej teraz powiedzieć? Rozpaczliwie chciał znaleźć się z nią sam na sam.

- Ładnie wyglądasz - usłyszał własny głos.

- Dziękuję. - Odsunęła się, żeby nie stać tak blisko niego.

- Wracasz do hotelu?

- Nie wiem. Miałam ochotę trochę się przejść. Nie widziałam dotąd gmachu Narodów Zjednoczonych.

Wydawało mu się, że próbuje się go pozbyć. Mniejsza z tym.

- Czy mogę pójść z tobą?

Spojrzała na niego z ciekawością.

- Myślę, że... tak. Jeżeli masz ochotę.

Nie mówiąc więcej wyszli z budynku, przecięli plac z rzędem flag narodów członkowskich i skierowali się na północ, do bulwaru nad East River. W Nowym Jorku było chłodno, słonecznie, nie było śniegu, ale wiał ostry wiatr. Otoczyło ich miasto, budynki pięły się w górę jak stalagmity, wysokie, połyskujące w popołudniowym słońcu.

- Margery, ja...

- Warren, czy...

Odezwali się do siebie jednocześnie i uśmiechnęli.

- Czy udało ci się ustalić, dlaczego mikrob Iana jest taki niebezpieczny? - zapytała patrząc w chodnik.

- Jeszcze nie, ale dojdę do tego. Będziemy mogli te bakterie reprodukcować.

- To dobrze.

- Posłuchaj, nie chcę mówić na ten temat - zaczął Warren.

- Hm...

Czekała.

- Margery, setki razy w ciągu tego miesiąca chciałem do ciebie zadzwonić. Na Krecie, cóż... Sądzę, że powinniśmy o tym porozmawiać.

- Zdaje się, że już nie ma o czym, Warren. - Nie podnosiła oczu.

Przystanął i zebrał się na odwagę.

- Jest o czym, Margery. Jest.

Położył rękę na rękawie jej płaszcza zmuszając ją, żeby stanęła twarzą do niego.

- Byłem głupcem pozwalając ci tak odejść. Ale była tam Rose i... w ogóle. Ja... - zająknął się - nie mam wprawy w rozmowach z kobietami. Z tymi, na których mi... zależy.

Margery stała z pochyloną głową i czekała.

- Proszę, wysłuchaj mnie. Powinienem... powinienem ci być powiedzieć o Rose. Kiedyś, bardzo dawno temu, coś, no wiesz... Ale to był tylko ten jeden raz. Zdawałem sobie sprawę, że Rose mnie lubi, może nawet za bardzo, ale co mogłem na to poradzić? Nie wiedziałem, jak to zrobić, więc udawałem, że tego nie widzę. Uczciwie ci mówię, że z mojej strony nie ma mowy o jakimkolwiek uczuciu. Rose jest... przyjaciółką. Mam nadzieję, że mi wierzysz.

Czubkiem buta rysowała na chodniku esy-floresy.

- Cieszę się, że mi to powiedziałaś. Szkoda, że nie miałaś do mnie tyle zaufania, żeby mi to powiedzieć przedtem. - Podniosła głowę i spojrzała na niego poważnie. - Chciałabym ci wierzyć.

W tym momencie pojawiła się grupa Hindusek wesoło rozmawiających w swoim języku. Ubrane w płaszcze włożone na sari, stanowiły ciekawy przykład mieszania się kultur Wschodu i Zachodu. Kiedy odeszły kilka kroków dalej, Warren ujął dłoń Margery w obie ręce.

- Margery. Margie, czy mamy jakąś szansę? Nie jestem doskonały. Robię dużo błędów. Nie mogę prosić cię o przebaczenie, ale Margie, ja ciebie kocham.

Twarz jej się rozjaśniła, usta drżały.

- Warren, naprawdę?

- Oczywiście! - oświadczył, nagle lekko przestraszony tym, co powiedział, ale jednocześnie dumny z siebie.

- Czułam się taka nieszczęśliwa. To wszystko moja wina. Chciałam wierzyć we wszystko, co w tobie najgorsze. Czy kiedykolwiek mi wybaczysz?

- Wybaczyć tobie? - odparł z patosem, oniemiały.

Ruszyli przed siebie. Warren włożył jej rękę pod swoje ramię. Wiedział, że błąka mu się po twarzy na wpół przytomny uśmiech, ale nic sobie z tego nie robił. Mijały ich tłumy nowojorczyków spieszących do swoich spraw. Ledwo ich dostrzegał. Wiedział tylko jedno - że ma u swego boku Margery i że ją kocha.

- Warren, czy to prawda, że Ian pozostanie w szpitalu na zawsze? Delegat z Genewy powiedział... - urwała w połowie zdania i zapytała nieśmiało: - Chyba nie masz nic przeciwko temu, że mówię o Ianie, prawda?

- Tak długo, póki się nie dowiem, że go kochasz - zażartował, ale zaraz dodał poważniej: - Czy jesteś... czy byłaś w nim zakochana?

Spojrzała na niego kątem oka.

- Może trochę zawrócił mi w głowie. Przede wszystkim jednak było mi go żal.

- Margie, nigdy sobie nie daruję tego, że pozwoliłem ci pojechać do niego samej. Próbowalem ci to powiedzieć w Knossos, ale...

- Wiem, nie chciałam słuchać. Warren, tak mi przykro, przepraszam.

- Tak się o ciebie strasznie bałem. On nie... Ian chyba cię nie tknął? Margie, powiedz? - Widział, jak zaróżowiły się jej policzki, szarpnęła nim przez chwilę palącą zazdrość.

- Nie, Warren. Naprawdę. Za daleko się już zapędził. Myślał tylko o mikrobie. - Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami. - Chyba mi wierzysz?

- Tak, Margie, Królowo Lodu. A jakie są twoje uczucia teraz? - spytał żartobliwie. Miał ochotę skakać z radości.

Roześmiała się cicho.

- Kocham cię, Warren. Oświadczam ci to wprost. Co teraz zrobisz z tym oświadczeniem? - Położyła mu głowę na ramieniu, zwalniając kroku.

- Nie wiem. Będziemy musieli się pobrać. - Przyszło mu coś na myśl. - Co będzie z twoją pracą?

Posmutniała.

- Moja praca... tak, jakbym ją straciła. Spóźniłam się na zajęcia i doktor Rickters był nieugięty. Nie mam etatu.

- Tak mi przykro. - Nagle twarz mu się rozjaśniła. - Nie. Wcale nie. To rozwiązuje wszystkie nasze problemy. Możesz przyjechać do Atlanty. Nie mówiłem ci, że potrzebujemy w Centrum kogoś z twoimi kwalifikacjami? Margie! Wspaniale spełniasz wszystkie warunki! Porozmawiam z dyrektorem!

- Warren, semestr kończy się w czerwcu. Nie mogę wyjechać wcześniej.

Ściągnął brwi.

- No, tak. Rzeczywiście. Narobiłem ci kłopotu. - Chwilę się zastanawiał. - Ale mamy weekendy i wakacje.

- I telefon - dodała.

- Wszystko się ułoży. Będę musiał znaleźć dla nas mieszkanie. Albo dom. Chciałabyś, żebyśmy mieli dom?

- Nie wiem, naprawdę nie myślałam...

- Powiem Rose, żeby zadzwoniła do kilku agencji... - Urwał. - Nie, do cholery, zrobię to sam. Możesz przyjechać do Atlanty w czasie wiosennej przerwy i razem obejrzymy oferty.

- Warren, czy nie zagalopowałeś się trochę?

- Nic a nic. I tak za długo na ciebie czekałem.

- Czy mógłbyś przyjechać do Minneapolis, żeby poznać moich rodziców? - Kręciła w palcach pasek torby.

- Naturalnie. W ten weekend.

Roześmiała się i dotknęła jego twarzy.

- Mój drogi, czy możesz mi przyrzec jedną rzecz?

- Wszystko, co chcesz, Margie.

- Czy kupisz sobie nowy płaszcz przed ślubem?

Ze śmieszną miną spojrzał na swój bezkształtny, ukochany tweedowy płaszcz.

- Oczywiście. Tak, Margie, zrobię wszystko, co chcesz.

- A ten, jeśli chcesz, możesz sobie zatrzymać - powiedziała z czułością.

- Na zawsze?

- Na zawsze, Warren.

Scandalous